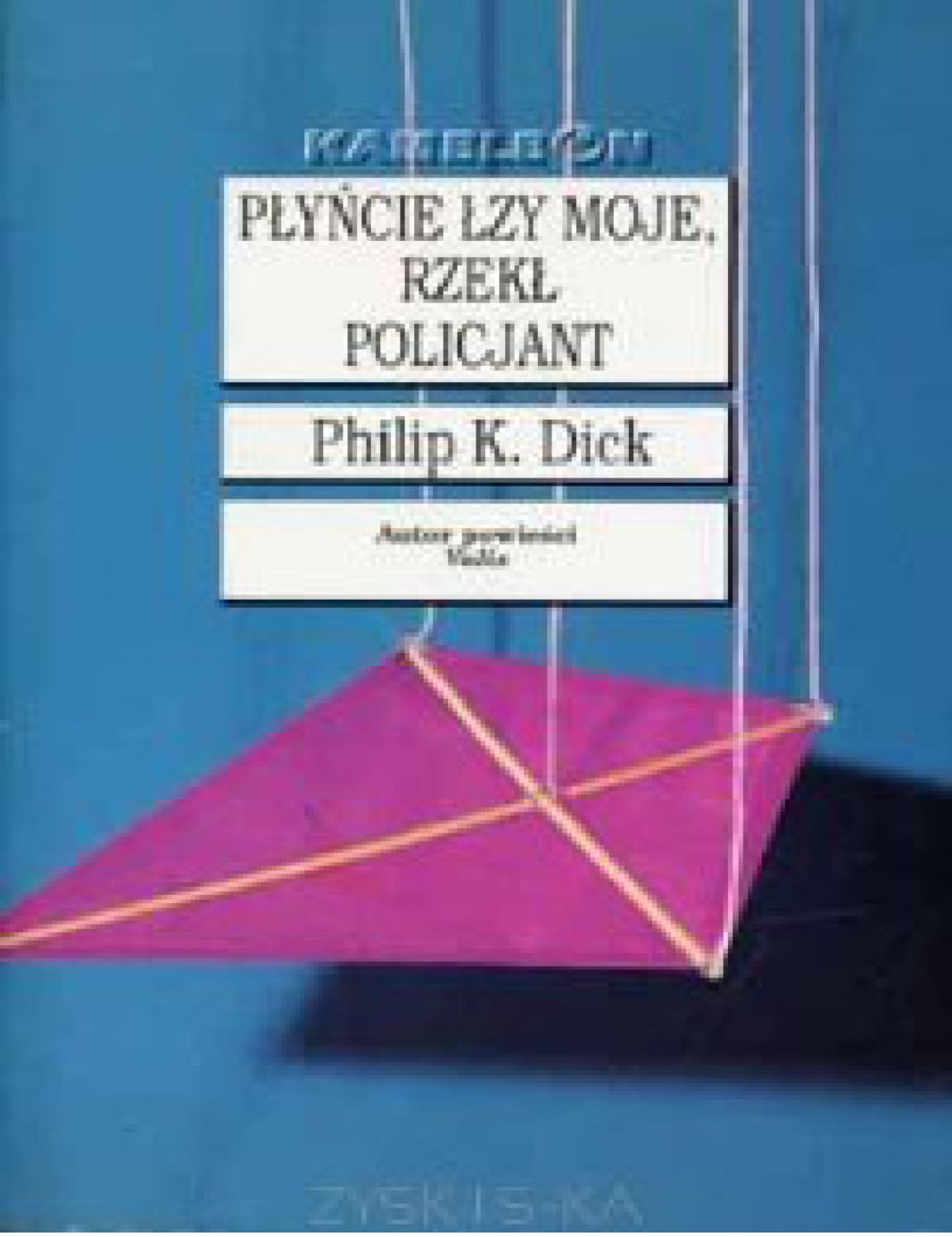
PŁYŃCIE ŁZY MOJE, RZEKŁ POLICJANT
Philip K. Dick
Autor powieści
Matrix
ZYSK I S-KA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Stany Zjednoczone po wojnie domowej. Niemal absolutną władzę sprawuje policja, na każdym rogu stoją jej posterunki. Gwiazda show-businessu Jason Taverner, który gromadzi przed telewizorami trzydziestomilionową widownię, pewnego dnia budzi się w obskurnym pokoju hotelowym. Nikt go nie zna, a nawet o nim nie słyszał, na domiar złego nie ma jakichkolwiek dokumentów — w gruncie rzeczy nie istnieje, jest wyrzutkiem bez żadnych praw. Nic z tego nie rozumiejąc, tropiony przez policję, stara się odzyskać tożsamość…

- Philip K. Dick
  -
  - CZĘŚĆ PIERWSZA
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
    - 5
    - 6
  - CZĘŚĆ DRUGA
    - 7
    - 8
    - 9
    - 10
    - 11
    - 12
    - 13
    - 14
    - 15
    - 16
    - 17
    - 18
    - 19
    - 20
  - CZĘŚĆ TRZECIA
    - 21
    - 22
    - 23
    - 24
    - 25
    - 26

- 27
- CZĘŚĆ CZWARTA
  - EPILOG

Philip K. Dick
Płyńcie łzy moje, rzekł policjant

Tę książkę dedykuję ukochanej Tessie. Ona jest moją pieśnią.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Płyńcie łzy moje poprzez smutku knieje!
Wygnani na wieki, niechże was opłaczę;
Gdzie czarny ptak nocy haniebną pieśń pieje,
Tam dni pędzić będę tułacze.

1

We wtorek, 11 października 1988 roku, *Jason Taverner Show* skończył się trzydzieści sekund przed czasem. Technik, obserwujący program przez plastikową bańkę kopuły kontrolnej, zamroził na ekranie ostatni wynik, po czym skinął na Jasona Tavernera, który zamierzał zejść ze sceny. Technik postukał palcem w przegub i pokazał na usta.

— Nadal nadsyłajcie do nas kartki i listy. A teraz pozostańcie przed ekranami, żeby obejrzeć *Przygody Scotty'ego, nadzwyczajnego psa* — gładko powiedział do mikrofonu Jason.

Technik uśmiechnął się, Jason odpowiedział mu uśmiechem; wyłączono zarówno fonię, jak i wizję. Godzinny show muzyczno-kabaretowy, zajmujący drugie miejsce na liście najlepszych programów telewizyjnych roku, dobiegł końca. Wszystko poszło dobrze.

— Gdzie zgubiliśmy pół minuty? — zapytał Jason specjalnego gościa swojego wieczoru, Heather Hart. Był lekko zdziwiony. Lubił kończyć punktualnie.

— Wszystko w porządku, świerszczyku — odrzekła Heather Hart. Położyła mu chłodną dłoń na lekko spoconym czole i czule pogładziła kosmyk jego jasnych włosów.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jaką masz nad nimi władzę? — spytał Jasona ich agent, Al Bliss, podchodząc bliżej — zbyt blisko jak zawsze. — Trzydzieści milionów widzów patrzyło dziś wieczór, jak zapinasz rozporek. To swego rodzaju rekord.

— Zapinam rozporek co tydzień — rzekł Jason. — To mój znak frmowy. Czyżbyś nie oglądał mojego programu?

— Trzydzieści milionów — powtórzył Bliss; na jego okrągłej rumianej twarzy perliły się krople potu. — Pomyśl o tym. A jeszcze będą powtórki.

— Prędzej umrę, zanim doczekam się jakichś pieniędzy za powtórki tego show. I Bogu dzięki — odparł krótko Jason.

— Pewnie umrzesz dziś wieczór — powiedziała Heather — bo na zewnątrz czeka zbity tłum twoich wielbicieli. Tylko czekają, żeby rozszarpać cię na kawałki wielkości znaczków pocztowych.

— Niektórzy z nich to pani wielbiciele, panno Hart — rzekł Bliss głosem zziajanego psa.

— Niech ich szlag — rzuciła szorstko Heather. — Czemu sobie nie pójdą? Czy w ten sposób nie łamią przepisów, na przykład o zgromadzeniach?

Jason wziął ją za rękę i mocno uścisnął, ściągając na siebie jej spojrzenie i groźne zmarszczenie brwi. Nigdy nie rozumiał jej niechęci

do fanów; dla niego byli podstawą publicznej egzystencji, a publiczne istnienie w roli artysty światowej sławy było kwintesencją istnienia i kropka.

— Skoro tak uważasz — powiedział do Heather — nie powinnaś być artystką kabaretową. Powinnaś dać sobie spokój, zająć się działalnością społeczną w jakimś obozie pracy.

— Tam też są ludzie — odparła ponuro Heather. Dwaj policjanci z ochrony przecisnęli się do Jasona i Heather.

— Oczyściliśmy korytarz najlepiej, jak było można — wysapał grubszy policjant.

— Chodźmy już, panie Taverner, zanim tłum obstawi boczne wyjścia. Dał znak trzem innym policjantom, którzy natychmiast ruszyli ku rozgrzanemu, zapchanemu przejściu wiodącemu na pogrążoną w mroku ulicę. Czekał tam zaparkowany rolls w całej swojej kosztownej wspaniałości, pulsując odrzutowym silnikiem na jałowym biegu. Jak mechaniczne serce, pomyślał Jason. Serce, które biło tylko dla niego — gwiazdy telewizji. No cóż, prawdę mówiąc, pulsowało również, odpowiadając na potrzeby Heather.

Zasłużyła na to; tego wieczoru śpiewała dobrze. Prawie tak dobrze, jak… Jason uśmiechnął się w duchu. Do licha, spójrzmy prawdzie w oczy, pomyślał. Oni nie włączają tych wszystkich trójwymiarowych odbiorników telewizyjnych, żeby oglądać specjalnego gościa programu. Na świecie jest co najmniej tysiąc specjalnych gości programu, a jeszcze kilku w koloniach na Marsie.

Włączają telewizory, pomyślał, żeby oglądać mnie. Ja zawsze tam jestem. Jason Taverner nigdy nie zawiódł i nie zawiedzie swoich wielbicieli, cokolwiek Heather myśli o swoich fanach.

— Nie lubisz ich — mówił Jason, gdy przepychali się, przeciskali i kluczyli dusznym, cuchnącym potem korytarzem — ponieważ nie lubisz siebie. Uważasz, że mają zły gust.

— Oni są głupi — mruknęła Heather i zaklęła pod nosem, gdy wielki płaski kapelusz sfrunął jej z głowy i zniknął na zawsze w wielorybim brzuchu napierających fanów.

— Są zwyczajni — rzekł Jason, przyciskając wargi do jej ucha, częściowo ukrytego w gąszczu płomienno-rudych włosów. Ta słynna kaskada włosów często i wiernie była kopiowana w salonach piękności całej Ziemi.

— Nie wymawiaj tego słowa — warknęła Heather.

— Są zwyczajni — powtórzył Jason — i stuknięci. Ponieważ — skubnął zębami jej ucho — ponieważ trzeba być stukniętym, żeby być zwyczajnym. Prawda?

— O Boże — westchnęła — znaleźć się w statku lecącym przez pustkę. Właśnie tego pragnę: nieskończonej pustki. Żadnych ludzkich głosów, żadnych ludzkich zapachów ani szczęk przeżuwających

plastikową gumę do żucia w dziewięciu opalizujących kolorach.

— Naprawdę ich nienawidzisz.

— Tak — kiwnęła głową. — Tak samo jak ty. Przystanęła na moment i obróciła się twarzą do niego.

— Wiesz o tym, że straciłeś ten swój cholerny głos; wiesz, że wykorzystujesz minione dni chwały, które już nigdy nie wrócą.

Po chwili ciepło uśmiechnęła się do niego.

— Czyżbyśmy się starzeli? — powiedziała, zagłuszając pomruki i piski tłumu. — Razem? Jak mąż i żona?

— Szóstaki się nie starzeją — odparł Jason.

— Ależ tak — rzekła Heather. — Tak. Uniosła rękę i dotknęła jego falistych jasnych włosów.

— Od jak dawna je farbujesz, kochanie? Od roku? Od trzech?

— Wsiadaj do statku — rzekł krótko, popychając ją przed sobą przy wyjściu z budynku i na trotuarze bulwaru Hollywood.

— Wsiądę — oznajmiła Heather — jeśli wyciągniesz wysokie B-dur. Pamiętasz, jak…

Siłą wepchnął ją do środka, wcisnął się za nią i obrócił, żeby pomóc Alowi Blissowi zamknąć drzwi; wkrótce byli już w górze, na zasnutym deszczowymi chmurami nocnym niebie. Wielkie, rozjarzone niebo Los Angeles było jasne jak w biały dzień. Właśnie tak jest, dla ciebie i dla mnie, pomyślał. Dla nas obojga, zawsze tak będzie. Zawsze będzie tak, jak teraz, ponieważ jesteśmy szóstakami. Oboje. Czy oni o tym wiedzą, czy nie.

A nie wiedzą, pomyślał posępnie, radując się ponurym humorem tego stwierdzenia. Wiedza, jaką oboje posiedli i zachowywali dla siebie, ponieważ tak miało być. I zawsze tak było… nawet teraz, kiedy wszystko poszło tak źle, źle przynajmniej w oczach projektantów. Wielkich uczonych, którzy zgadywali i pomylili się. Czterdzieści pięć wspaniałych lat temu, kiedy świat był młody, a krople deszczu ciągłe wisiały na uschniętych teraz drzewach wiśniowych w Waszyngtonie, D.C. I zapach wiosny unoszący się nad tym szacownym eksperymentem, przynajmniej przez krótki czas.

— Polećmy do Zurychu — powiedział głośno.

— Jestem zbyt zmęczona — odparła Heather. — A zresztą, to miejsce mnie nudzi.

— Dom?

Był zdumiony. Heather wybrała go dla nich obojga i całymi latami dawał im schronienie — szczególnie przed fanami, których Heather tak bardzo nie znosiła. Heather westchnęła i rzekła:

— Dom. Szwajcarskie zegarki. Chleb. Kamienie bruku. Śnieg na wzgórzach.

— Na szczytach — poprawił, wciąż rozzłoszczony. — No cóż, do licha — powiedział. — Polecę bez ciebie.

— I zabierzesz kogoś innego? Jason nie mógł jej zrozumieć.

— Czy chcesz, żebym zabrał tam kogoś innego?

— Ty i ten twój magnetyzm. Twój czar. Mógłbyś zaciągnąć do tego swojego wielkiego łóżka każdą dziewczynę na świecie. Chociaż potem nie byłbyś już taki wspaniały.

— Boże — odparł z obrzydzeniem. — Ty znowu o tym. Zawsze te same pretensje. A te całkowicie urojone powtarzasz z największym uporem.

Obróciwszy się do niego, Heather powiedziała z powagą:

— Jesteś świadomy swojego wyglądu nawet teraz, w twoim wieku. Wiesz, że jesteś piękny. Co tydzień trzydzieści milionów ludzi wpatruje się w ciebie przez godzinę. I nie interesuje ich twój śpiew… tylko twoja niezaprzeczalna uroda.

— To samo można powiedzieć o tobie — rzekł ostrożnie. Był zmęczony, pragnął odosobnienia i spokoju przedmieść Zurychu, cicho czekających na ich kolejny powrót. Wydawało się, że dom chce, by w nim zostali; nie na noc czy na tydzień, ale na zawsze.

— Po mnie nie widać, ile mam lat — odparła Heather. Zerknął na nią, następnie przyjrzał się uważniej. Gęstwina rudych włosów, jasna skóra z kilkoma piegami, silny rzymski nos. Głęboko osadzone, wielkie niebieskie oczy. Miała rację: nie było po niej widać, ile ma lat. Oczywiście, ona nigdy nie włączała się do seks-sieci telefonicznej, tak jak on. Prawdę mówiąc, robił to bardzo rzadko. Dzięki temu nie popadł w nałóg, nie miał uszkodzonej kory mózgowej ani przedwcześnie się nie zestarzał.

— Jesteś cholernie dobrze wyglądającą osobą — przyznał niechętnie.

— A ty? — spytała.

Nie powinno to nim wstrząsnąć. Wiedział, że wciąż ma swój urok, charyzmę wpisaną w chromosomy czterdzieści dwa lata temu. To prawda, że jego włosy były niemal całkiem siwe i musiał je farbować. Tu i tam pojawiło się kilka zmarszczek. Jednak…

— Dopóki będę miał głos — odparł — wszystko będzie dobrze. Zdobędę wszystko, czego zapragnę. Mylisz się co do mnie — to twoja szóstacza powściągliwość, twój ukochany, tak zwany indywidualizm. Dobrze, jeśli nie chcesz polecieć do domu w Zurychu, to dokąd chcesz lecieć? Do ciebie? Do mnie?

— Chcę cię poślubić — powiedziała Heather. — Wtedy nie będziemy mówili o twoim czy moim domu, ale o naszym. A ja przestanę śpiewać i będę miała troje dzieci, wszystkie podobne do ciebie.

— Dziewczynki też?

— Będą sami chłopcy.

Pochylił się i pocałował ją w nos. Uśmiechnęła się, wzięła go za

rękę i poklepała po niej czule.

— Możemy polecieć, dokąd zechcesz — rzekł do niej cichym, stanowczym, opanowanym, niemal ojcowskim głosem; to zazwyczaj działało na Heather, kiedy wszystko inne zawodziło. Zawsze mogę po prostu odejść, pomyślał.

Obawiała się tego. Czasami w trakcie kłótni, szczególnie w domu w Zurychu, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać i rozdzielić, widział lęk na jej twarzy. Perspektywa samotności przerażała ją; on o tym wiedział i ona wiedziała. Ten strach był częścią ich wspólnego życia, ale nie tego przeznaczonego na użytek publiczności, które jako zawodowi artyści całkowicie i racjonalnie kontrolowali. Jakkolwiek byliby zagniewani czy wzburzeni, funkcjonowali razem w wielkim świecie widzów, wielbicieli, hałaśliwych fanów. Nawet głęboka nienawiść nie mogła tego zmienić.

Między nimi nie mogło być jednak nienawiści. Zbyt wiele ich łączyło. Tak wiele brali od siebie wzajemnie. Nawet przelotny kontakt fzyczny, taki jak teraz, kiedy siedzieli w lecącym rollsie, sprawiał im przyjemność. Przynajmniej dopóki trwał.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni szytego na miarę garnituru z prawdziwego jedwabiu — zapewne jednego z dziesięciu na całym świecie — i wyjął plik banknotów z rządowym certyfkatem. Była to spora liczba banknotów ściśniętych w gruby zwitek.

— Nie powinieneś nosić przy sobie tyle gotówki — upomniała go Heather tonem apodyktycznej matki, którego tak bardzo nie lubił.

— To — odparł Jason, pokazując plik banknotów — utoruje nam drogę wszędzie…

— Jeżeli jakiś nie rejestrowany student, który zeszłej nocy wypełzł ze swojej nory w kampusie, nie odetnie ci ręki w przegubie i nie ucieknie z nią oraz z twoimi pieniędzmi. Zawsze lubiłeś imponować. Imponować i olśniewać. Spójrz na swój krawat. Tylko spójrz!

Podniosła głos; wyglądała na prawdziwie rozzłoszczoną.

— Życie jest krótkie — rzekł Jason. — A powodzenie jeszcze krótsze.

Umieścił jednak zwitek banknotów w wewnętrznej kieszeni płaszcza i wygładził wybrzuszenie powstałe w nienagannie skrojonej marynarce.

— Chciałem ci za to coś kupić — powiedział. Właściwie ten pomysł przyszedł mu do głowy dopiero w ostatniej chwili; zamierzał użyć tych pieniędzy w całkiem innym celu: chciał zabrać je do Las Vegas, do stołów gry w blackjacka. Jako szóstak mógł zawsze wygrywać w blackjacka — i robił to — ponieważ miał przewagę nad pozostałymi graczami, także nad rozdającym. A nawet, pomyślał z satysfakcją, nad szefem sali.

— Kłamiesz — rzekła Heather. — Niczego nie zamierzałeś mi kupić; nigdy tego nie robisz, jesteś zbyt samolubny i myślisz tylko o sobie. To pieniądze na dziwki; chciałeś kupić sobie jakąś piersiastą blondynę i pójść z nią do łóżka. Pewnie w naszym domu w Zurychu, którego, o ile pamiętasz, nie oglądałam już od czterech miesięcy. Równie dobrze mogłabym być w ciąży.

Uznał za dziwne, że ze wszystkich możliwych zarzutów, jakie mogły przyjść jej do głowy, wybrała właśnie ten. W Heather było jednak wiele rzeczy, których nie mógł zrozumieć; tak samo jak przed swoimi fanami, wiele przed nim ukrywała.

Jednakże w miarę upływu lat dużo się o niej dowiedział. Wiedział na przykład, że w 1982 roku przerwała ciążę, co starannie ukrywała. Wiedział, że przez pewien czas żyła w nieformalnym związku z przywódcą studenckiej komuny i mieszkała cały rok w norach Columbia University wśród brodatych, śmierdzących studentów ukrywających się przed policją i wojskiem. Policja i gwardia narodowa, otaczające każdy kampus, nie pozwalały, by studenci rozeszli się wśród społeczności jak rzesze czarnych szczurów uciekających z tonącego statku.

Wiedział też, że przed rokiem została zatrzymana za posiadanie narkotyków. Tylko bogata i wpływowa rodzina zdołała ją z tego wyciągnąć; jej pieniądze, urok i sława nie miały żadnego znaczenia w konfrontacji z policją.

Heather była trochę przestraszona tym, co ją spotkało, ale Jason wiedział, że doszła już do siebie. Jak każdy szóstak, miała nadzwyczajną zdolność regenerowania sił. Troskliwie obdarzono nią każdego z nich, obok wielu, wielu innych cech. Nawet on, w wieku czterdziestu dwóch lat, nie poznał jeszcze wszystkich. A przecież i jemu przydarzyło się wiele — długo wspinał się na szczyt kariery po trupach innych artystów.

— Te „wystrzałowe" krawaty… — zaczął, ale w tym momencie zadzwonił telefon.

Odebrał i powiedział „halo". Pewnie był to Al Bliss z informacjami o notowaniach dzisiejszego programu.

Okazało się, że nie. W słuchawce usłyszał dziewczęcy głos, świdrujący i piskliwy.

— Jason? — powiedziała głośno dziewczyna.

— Taak — odparł. Zasłaniając dłonią słuchawkę, rzekł do Heather: — To Marylin Mason. Po co, do diabła, dałem jej numer telefonu?

— Kim jest Marylin Mason?

— Powiem ci później. Zdjął rękę ze słuchawki.

— Tak, moja droga, tu naprawdę Jason we własnej reinkarnowanej osobie. O co chodzi? Masz taki dziwny głos. Znów

chcą cię eksmitować?

Mrugnął do Heather i skrzywił się. — Pozbądź się jej — powiedziała Heather. Ponownie zasłonił dłonią słuchawkę i rzekł:

— Zrobię to; przecież próbuję, nie widzisz? — Do telefonu powiedział: — No dobrze, Marylin. Wylej przede mną swoje żale, po to właśnie jestem.

Przez dwa lata Marylin Mason była jego protegowaną, jeśli można to tak nazwać. W każdym razie chciała zostać piosenkarką — sławną, bogatą, uwielbianą — jak on. Pewnego dnia pojawiła się w studiu podczas próby; zwrócił na nią uwagę. Ściągnięta, zatroskana twarzyczka, krótkie nogi, o wiele za krótka spódniczka — wszystko to, jak zwykle, dostrzegł na pierwszy rzut oka. Tydzień później załatwił jej przesłuchanie w Columbia Records, z ich zespołem i szefem nagrań.

Przez ten tydzień sporo się wydarzyło, ale nie miało to nic wspólnego ze śpiewaniem.

— Muszę się z tobą zobaczyć. Inaczej zabiję się i wina spadnie na ciebie. Na resztę twojego życia. I powiem tej Heather Hart, że przez cały czas sypialiśmy ze sobą — piszczała mu do ucha Marylin.

Westchnął w duchu. Do licha, był taki zmęczony, wykończony godzinnym show, podczas którego musiał uśmiechać się, uśmiechać i uśmiechać.

— Lecę do Szwajcarii, gdzie spędzę resztę nocy — powiedział stanowczo, jak do roz-histeryzowanego dziecka. To zwykle pomagało, kiedy Marylin wpadała w taki oskarżycielski, paranoiczny nastrój. Tym razem jednak tak się nie stało.

— Daję ci pięć minut na pojawienie się tu w tym twoim rollsie za milion dolarów — brzęczała mu do ucha. — Chcę tylko porozmawiać z tobą pięć sekund. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

— Cóż takiego możesz mi powiedzieć w pięć sekund, czego jeszcze nie wiem? — rzucił ostro. — Powiedz to teraz.

— Chcę, żebyś przy mnie był — powiedziała Marylin ze swoim zwykłym brakiem wyczucia. — Musisz przylecieć. Nie widziałam cię od sześciu miesięcy i przez ten czas sporo o nas myślałam, szczególnie o tym ostatnim przesłuchaniu.

— Dobrze — zgodził się, rozgoryczony i niechętny. Właśnie to usiłował zapewnić temu beztalenciu — karierę. Z trzaskiem odłożył słuchawkę, obrócił się do Heather i rzekł: — Cieszę się, że nigdy jej nie poznałaś; to naprawdę…

— Bzdura — przerwała mu Heather. — Nie poznałam jej, ponieważ postarałeś się, żebym nie miała po temu okazji.

— W każdym razie — rzekł, skręcając ostro śmigaczem w prawo — załatwiłem jej nie jedno, ale dwa przesłuchania, i skopała oba. Teraz, żeby zachować szacunek dla samej siebie, obwinia o to

mnie. To ja doprowadziłem do tego, że się wyłożyła. Rozumiesz, o co chodzi.

— Czy ona ma ładne cycki? — spytała Heather.

— Prawdę mówiąc, tak — wyszczerzył zęby w uśmiechu. Heather zaśmiała się. — Znasz moją słabość. Dopełniłem jednak mojej części umowy; załatwiłem jej przesłuchanie, a nawet dwa przesłuchania. Ostatnie było sześć miesięcy temu i cholernie dobrze wiem, że ona nadal je przeżywa i opłakuje. Ciekawe, co mi chce powiedzieć.

Wcisnął moduł kontrolny, ustawiając automatycznego pilota na kurs do budynku Marylin, który miał niewielkie, lecz wygodne lądowisko na dachu.

— Pewnie jest w tobie zakochana — powiedziała Heather, gdy zaparkował śmigacz i opuścił schodnie.

— Tak jak czterdzieści milionów innych — odparł wesoło Jason.

— Nie zabaw tam długo, bo odlecę bez ciebie — zażartowała Heather, sadowiąc się wygodnie w fotelu.

— I zostawisz mnie na pastwę Marylin? — zapytał. Oboje roześmiali się. — Zaraz wracam. — Przeszedł przez lądowisko do windy i nacisnął przycisk.

Kiedy wszedł do apartamentu Marylin, natychmiast spostrzegł, że dziewczyna straciła głowę. Twarz miała ściągniętą i napiętą, ciało skulone tak, jakby chciała zniknąć z jej oczy. Niewiele rzeczy u kobiet mogło go zaniepokoić, ale ta jedna tak. Jej oczy, zupełnie okrągłe, z olbrzymimi tęczówkami, przewiercały go, gdy stała patrząc nań w milczeniu, z założonymi rękami, twarda jak stal i nieustępliwa.

— Mów — powiedział Jason, usiłując zdobyć przewagę. Zazwyczaj — prawdę mówiąc niemal zawsze — kontrolował wszelkie sytuacje związane z kobietami; właściwie było to jego specjalnością. Jednak teraz… czuł się nieswojo. A ona wciąż nic nie mówiła. Jej twarz, pod warstwą makijażu, była zupełnie blada, wyglądała jak żywy trup.

— Chcesz mieć jeszcze jedno przesłuchanie? — zapytał. — O to chodzi?

Marylin przecząco potrząsnęła głową.

— No dobrze, powiedz, o co chodzi — rzekł ze znużeniem i niepokojem. Starał się jednak nie zdradzać niepokoju; był o wiele za bystry, o wiele zbyt doświadczony, żeby pokazać swoją niepewność. Wynik konfrontacji z kobietą niemal w dziewięćdziesięciu procentach opierał się na blefe. Wszystko zależało od tego, jak to zrobisz, a nie co zrobisz.

— Mam coś dla ciebie. Marylin odwróciła się i zniknęła w kuchni. Poszedł za nią.

— Wciąż obwiniasz mnie o niepowodzenie obu… — zaczął.

— Masz — powiedziała Marylin. Wyjęła ze zlewu plastikowy

worek, przez moment stała trzymając go w rękach, z twarzą bladą i bezkrwistą, wytrzeszczonymi i nieruchomymi oczami; wreszcie rozerwała worek, zamachnęła się i doskoczyła do Jasona.

Wszystko zdarzyło się niezmiernie szybko. Instynktownie cofnął się, ale za wolno i za późno. Żelatynopodobna gąbka czepna z Callisto przywarła do niego pięćdziesięcioma czułkami, wczepiając się w pierś. Czuł, jak zagłębiają się w ciało.

Doskoczył do szafek kuchennych, złapał do połowy wypełnioną butelkę szkockiej, drżącymi palcami odkręcił zakrętkę i oblał whisky żelatynopodobne stworzenie. Myślał jasno i trzeźwo; nie wpadł w panikę, stał polewając napastnika alkoholem.

Przez chwilę nic się nie działo, zdołał jakoś utrzymać nerwy na wodzy i nie rzucić się do panicznej ucieczki. Stwór zabulgotał, skurczył się i odpadł od jego piersi na podłogę. Sczezł. Ogarnięty nagłą słabością, Jason opadł na kuchenne krzesło. Walczył, by nie stracić przytomności; niektóre czułki pozostały w jego ciele i ciągle były żywe.

— Nieźle — zdołał wykrztusić. — Prawie mnie załatwiłaś, ty pierdolona mała dziwko.

— Nie prawie — powiedziała obojętnie Marylin głosem wypranym z emocji. — Niektóre czułki nadal są w tobie i dobrze o tym wiesz; widzę to po twojej twarzy. I nie pozbędziesz się ich za pomocą butelki szkockiej. Nie pozbędziesz się ich w żaden sposób.

W tym momencie zemdlał. Dostrzegł jeszcze, jak zielono-szara podłoga rusza mu na spotkanie, potem była tylko pustka. Otchłań, w której nie było nawet jego.

Ból. Otworzył oczy, ostrożnie dotknął piersi. Szyty na miarę garnitur zniknął; miał na sobie bawełnianą szpitalną koszulę i leżał na wózku.

— Boże — powiedział ochrypłym głosem, gdy dwaj pielęgniarze szybko potoczyli wózek korytarzem szpitala.

Heather Hart pochylała się nad nim, zmartwiona i wstrząśnięta, ale — tak samo jak on — zachowywała zimną krew.

— Wiedziałam, że coś jest nie w porządku — mówiła pospiesznie, gdy pielęgniarze wtaczali wózek do sali. — Nie czekałam w statku; poszłam za tobą do tego mieszkania.

— Pewnie myślałaś, że przyłapiesz nas w łóżku — rzekł słabym głosem.

— Lekarz powiedział — ciągnęła Heather — że po piętnastu minutach nastąpiłoby uszkodzenie somatyczne, tak to nazwał. Ta istota wtargnęłaby w twoje ciało.

— Załatwiłem ją — wymamrotał. — Nie wyjąłem jednak wszystkich czułków. Było już za późno.

— Wiem — powiedziała Heather. — Lekarz mi mówił. Chcą

przeprowadzić operację najszybciej, jak się da. Może zdołają coś zrobić, jeśli czułki nie weszły zbyt głęboko.

— Dobrze się spisałem w krytycznej sytuacji — chrypiał Jason; zamknął oczy, z trudem znosząc ból. — Jednak nie dość dobrze.

Otworzywszy oczy, zobaczył, że Heather płacze.

— Czy jest aż tak źle? — zapytał. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Poczuł siłę jej miłości, gdy ścisnęła jego palce — a potem nie było nic oprócz bólu. Nic więcej: nie było Heather, szpitala, pielęgniarzy, światła, żadnego dźwięku. To była chwila wieczności, która pochłonęła go bez reszty.

2

Światło znów się przesączyło, zasnuwając mu oczy membraną jaskrawej czerwieni. Otworzył oczy i podniósł głowę, żeby rozejrzeć się wokół i poszukać Heather albo lekarza.

Był sam w pokoju. Nikogo innego. Stolik z popękanym zwierciadłem, brzydkie stare kinkiety sterczące z zatłuszczonych ścian. Gdzieś w pobliżu ryk telewizora.

Nie leżał w szpitalu. Heather nie było z nim; poczuł jej nieobecność, całkowitą pustkę wywołaną jej zniknięciem.

Boże, pomyślał. Co się stało?

Ból w piersi całkiem ustąpił. Drżąc, Jason odrzucił brudny wełniany koc, usiadł, w zadumie potarł czoło i zebrał resztki energii.

To pokój hotelowy, uświadomił sobie. Nędzny, zawszony pokoik w tanim hoteliku. Żadnych zasłon czy łazienki. Tak mieszkał całe lata temu, na początku kariery, kiedy był jeszcze nieznany i nie miał pieniędzy. Ponure czasy, o których zawsze starał się zapomnieć.

Pieniądze. Pomacał ubranie, odkrył, że nie ma już na sobie szpitalnej piżamy, ale wymięty, szyty na miarę jedwabny garnitur. W wewnętrznej kieszeni znalazł plik banknotów o wysokich nominałach — pieniądze, które zamierzał wziąć do Vegas. Chociaż tyle.

Szybko rozejrzał się za telefonem. Nie, pewnie, że nie ma tu aparatu. Na pewno jednak znajdzie się w holu. Tylko do kogo zadzwonić? Do Heather? Do Ala Blissa, jego agenta? Do Mory Manna, producenta jego programu? Albo do adwokata, Billa Wolfera? A może powinien zadzwonić do nich wszystkich, jak tylko będzie mógł.

Niepewnie zdołał stanąć na nogach; chwiał się, przeklinając z jakiegoś powodu, którego nie mógł zrozumieć. Poczuł coś zwierzęcym instynktem: przygotowywał swoje silne ciało szóstaka do walki. Nie mógł jednak dostrzec przeciwnika, co go przerażało. Jak daleko mógł sięgnąć pamięcią w przeszłość, po raz pierwszy poczuł ukłucie paniki.

Czy upłynęło wiele czasu? — zadawał sobie pytanie. Nie miał pojęcia; nie potrafł powiedzieć. Dzień. Śmigacze przelatywały i świszczały na niebie za brudnym oknem. Spojrzał na zegarek: wskazywał dziesiątą trzydzieści. I co z tego? Równie dobrze mogło upłynąć tysiąc lat. Zegarek w niczym mu nie pomoże.

Ale telefon — tak. Wyszedł na zakurzony korytarz, odszukał schody, zaczął schodzić stopień za stopniem, trzymając się poręczy, aż w końcu znalazł się w ponurym pustym holu, pełnym trzeszczących, wysiedzianych krzeseł.

Na szczęście miał drobne. Wrzucił w otwór złotą ćwierćdolarówkę i wykręcił numer Ala Blissa.

— Agencja Talentów Blissa — usłyszał głos Ala.

— Słuchaj — powiedział Jason. — Nie wiem, gdzie jestem. Na rany Chrystusa, przyjedź i wydostań mnie stąd, zabierz mnie gdzieś. Rozumiesz, Al? Zrobisz to?

Cisza w słuchawce. Po chwili daleki, pełen rezerwy głos Ala Blissa zapytał:

— Z kim mówię?

Warknął ze złością swoje nazwisko.

— Nie znam pana, panie Jasonie Taverner — powiedział Al Bliss obojętnym, nieobecnym głosem. — Na pewno wykręcił pan właściwy numer? Z kim pan chce rozmawiać?

— Z tobą, Al. Z Alem Blissem, moim agentem. Co zaszło w szpitalu? Jak dostałem się stamtąd tutaj? Nie wiesz?

Panika minęła, gdy z trudem zapanował nad sobą; jego słowa nabrały sensu.

— Czy możesz mnie skontaktować z Heather?

— Z panną Hart? — spytał Al i zachichotał. Nie odpowiedział.

— Słuchaj — rzucił wściekle Jason — przestałeś być moim agentem. Kropka. Nieważne, co się stanie. Zwalniam cię.

Al Bliss nie przestawał chichotać mu do ucha, potem wyłączył się z cichym kliknięciem. Odłożył słuchawkę.

Zabiję sukinsyna, powiedział do siebie Jason. Rozerwę tłustego łysego drania na małe kawałki.

O co mu chodzi? Nie rozumiem go. Dlaczego nagle ma coś przeciwko mnie? Co ja mu zrobiłem, jak rany? Jest moim przyjacielem i agentem od dziewiętnastu lat. Jeszcze nigdy nie zachował się w taki sposób.

Spróbuję zadzwonić do Billa Wolfera, postanowił. On jest zawsze w biurze albo pod telefonem; połączę się z nim i dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. Wrzucił drugą złotą ćwierćdolarówkę w otwór automatu i ponownie wybrał numer.

— Wolfer i Blaine, adwokaci — usłyszał w słuchawce głos recepcjonistki.

— Daj mi pogadać z Billem — poprosił Jason. — Tu Jason Taverner. Wiesz, kim jestem.

— Pan Wolfer jest dzisiaj w sądzie. Może zechce pan zamiast niego porozmawiać z panem Blainem. A może poproszę, żeby pan Wolfer oddzwonił do pana, kiedy po południu wróci do biura? — powiedziała recepcjonistka.

— Czy pani wie, kim ja jestem? — zapytał Jason. — Czy wie pani, kim jest Jason Taverner? Ogląda pani telewizję?

W tym momencie głos niemal odmówił mu posłuszeństwa; usłyszał, jak się załamuje i staje piskliwy. Ogromnym wysiłkiem woli opanował go, ale nie mógł powstrzymać drżenia rąk; prawdę mówiąc,

dygotał na całym ciele.

— Przykro mi, panie Taverner — rzekła recepcjonistka. — Naprawdę nie mogę teraz połączyć się z panem Wolferem ani…

— Ogląda pani telewizję?

— Tak.

— I nie słyszała pani o mnie? *Jason Taverner Show* o dziewiątej wieczór w każdy wtorek?

— Przykro mi, panie Taverner. Musi pan porozmawiać osobiście z panem Wolferem. Proszę podać mi numer pańskiego telefonu, a postaram się, żeby zadzwonił do pana zaraz po powrocie.

Odłożył słuchawkę.

Oszalałem, pomyślał. Albo ona oszalała. Ona i Al Bliss, ten sukinsyn. Boże. Chwiejnie odszedł od telefonu i usadowił się na jednym z wyblakłych, wysiedzianych krzeseł. Dobrze było usiąść; zamknął oczy, oddychając powoli i głęboko. Rozmyślał.

Mam pięć tysięcy dolarów w banknotach rządowych o wysokich nominałach, powiedział sobie. Tak więc nie jestem zupełnie bezradny. To świństwo zeszło mi z piersi, razem z czułkami. Widocznie usunęli je chirurgicznie w szpitalu. Przynajmniej żyję, mogę się z tego cieszyć. Ile minęło czasu? — zadawał sobie pytanie. Gdzie jest jakaś gazeta?

Na pobliskiej kanapie znalazł „L.A. Timesa" i przeczytał datę. 12 października 1988 roku. Żadnego skoku w czasie. Minął dzień od chwili, gdy ostatni raz wystąpił przed kamerami, a Marylin wysłała go do szpitala.

Przyszło mu coś do głowy. Przejrzał gazetę, znalazł dział ogłoszeń. Ostatnio co wieczór występował w „Persian Room" hotelu Hollywood Hilton — faktycznie, produkował się tam od trzech tygodni, oczywiście, we wtorki trochę krócej ze względu na show.

Reklamy, jaką hotel zamieszczał na tej stronie przez trzy ostatnie tygodnie, nie było. Oszołomiony pomyślał, że może przeniesiono ją na inną stronę. Dokładnie przejrzał ten dział gazety. Reklama za reklamą, ale ani śladu jego nazwiska. A przecież jego twarz pojawiała się wśród informacji o spektaklach od przeszło dziesięciu lat bez przerwy.

Spróbuję jeszcze raz, postanowił. Zadzwonię do Mory'ego Manna.

Znalazł portfel i zaczął szukać kawałka papieru, na którym miał zapisany telefon producenta.

Portfel był bardzo cienki. Zniknęły wszystkie świadectwa tożsamości. Dokumenty pozwalające mu pozostać przy życiu. Przepustki, dzięki którym mógł przechodzić przez zapory policyjne i wojskowe, nie dając się zastrzelić ani wtrącić do obozu pracy.

Nie przeżyję nawet dwóch godzin bez moich zaświadczeń, powiedział sobie Jason. Nie odważę się wyjść z tego nędznego hoteliku na ulicę. Pomyślą, że jestem studentem albo nauczycielem zbiegłym z jakiegoś kampusu. Resztę życia spędzę jako ciężko

pracujący fzycznie niewolnik. Jestem człowiekiem bez osobowości prawnej.

A zatem moim najważniejszym zadaniem, pomyślał, jest pozostać przy życiu. Do diabła z Jasonem Tavernerem sławnym artystą; o to będę martwić się później.

Czuł, jak dochodzą do głosu zdeterminowane szóstaczym pochodzeniem cechy jego osobowości. Nie jestem taki, jak inni ludzie, powiedział sobie. Poradzę sobie z tym — cokolwiek to jest. Jakoś to będzie.

Na przykład, pomyślał, mając te pieniądze, mogę pójść do dzielnicy Watts i kupić sobie fałszywe dowody tożsamości. Nawet cały ich portfel. Z tego, co słyszałem, zajmuje się tym co najmniej setka facetów. Nigdy nie przypuszczałem, że skorzystam z usług jednego z nich. Ja, Jason Taverner. Sławny artysta oglądany przez trzydziestomilionową widownię.

Czy wśród tych trzydziestu milionów widzów, zadawał sobie pytanie, jest choć jeden, który mnie pamięta? Jeśli „pamięta" to właściwe słowo. Mówię tak, jakby upłynęło mnóstwo czasu, jakbym był już starcem, dawno zapomnianym, żyjącym wspomnieniami minionej chwały. A przecież tak nie jest.

Wrócił do telefonu i odszukał numer głównego biura ewidencji ludności w stanie Iowa; zużywszy kilka złotych monet, uzyskał w końcu połączenie.

— Nazywam się Jason Taverner — powiedział urzędnikowi. — Urodziłem się w Chicago, w Memoriał Hospital, 16 grudnia 1946 roku. Czy mógłby pan potwierdzić i przesłać mi kopię mojej metryki? Ubiegam się o pracę i jest mi potrzebna jako załącznik.

— Tak, sir. Urzędnik pozostał na linii; Jason czekał. Po chwili ponownie usłyszał jego głos.

— Pan Jason Taverner, urodzony w Cook County 16 grudnia 1946 roku?

— Tak — powiedział Jason.

— Nie mamy świadectwa urodzenia takiej osoby w tym czasie i miejscu. Czy jest pan całkowicie pewny tych danych?

— Pyta pan, czy znam swoje nazwisko oraz miejsce i datę urodzenia? — Głos znów wymknął mu się spod kontroli, ale tym razem Jason nie zdołał nad nim zapanować; wpadł w panikę.

— Dzięki — rzekł i odłożył słuchawkę, dygocząc jak w febrze. Ja nie istnieję, powiedział sobie. Nie ma Jasona Tavernera.

Nigdy nie było i nigdy nie będzie. Do diabła z moją karierą; ja po prostu chcę żyć. Jeśli ktoś lub coś chce zakończyć moją karierę, dobrze, a niech tam. Tylko czy w ogóle pozwolą mi istnieć? Czyżbym nigdy się nie urodził?

Coś poruszyło się w jego piersi. Nie wyjęli wszystkich czułków,

niektóre wciąż rosną i żywią się we mnie, pomyślał z przerażeniem. Ta przeklęta, nie mająca za grosz talentu dziwka. Mam nadzieję, że skończy na ulicy, szukając klientów za dwa dolce.

Po wszystkim, co dla niej zrobiłem: załatwiłem dwa przesłuchania przed ludźmi szukającymi nowych twarzy. Do diabła — przynajmniej przeleciałem ją kilka razy. Chyba jesteśmy kwita.

Gdy wrócił do pokoju hotelowego, dłuższą chwilę przyglądał się sobie w upstrzonym przez muchy lustrze. Jego wygląd nie uległ zmianie, tyle że powinien się ogolić. Nie postarzał się. Żadnych nowych zmarszczek czy siwych włosów. Niezłe bary i bicepsy. Brzuch bez fałd tłuszczu, pozwalający nosić modne, dopasowane ubrania.

To bardzo istotne dla twojego image'u, powiedział sobie, jakie marynarki możesz nosić, szczególnie te wcięte w talii. Mam ich chyba z pięćdziesiąt, pomyślał. Albo miałem. Gdzie są teraz? — zadawał sobie pytanie. Ptak odleciał i na jakiej łące teraz śpiewa? Czy coś w tym stylu. Coś z przeszłości, ze szkolnych dni. Zapomniane do tej pory. Dziwne, pomyślał, co człowiekowi przychodzi do głowy, kiedy znajdzie się w niezwykłej i groźnej sytuacji. Czasem są to zupełnie trywialne myśli.

Gdyby marzenia były końmi, żebracy mogliby latać. Jakoś tak. Wystarczy, żeby doprowadzić do szału.

Zastanawiał się, ile posterunków policji i gwardii znajduje się między tym nędznym hotelikiem a najbliższym fałszerzem w Watts. Dziesięć? Trzynaście? Dwa? Dla mnie, pomyślał, wystarczy nawet jeden. Jedna wyrywkowa kontrola wozu patrolowego z trzyosobową załogą. I to cholerne połączenie radiowe z policyjno-wojskową bazą danych w Kansas City, gdzie mają wszystkie akta.

Podwinął rękaw i obejrzał przedramię. Tak, był tam: wytatuowany numer identyfkacyjny. Somatyczna tablica rejestracyjna noszona przez całe życie i w końcu chowana razem z nim w grobie.

No tak, policjanci lub gwardziści z ruchomych patroli mogą sprawdzić jego numer w centrali w Kansas City, a wtedy… Co wtedy? Czy jego akta nadal tam były, czy też zniknęły, tak samo jak metryka? A jeśli ich tam nie ma, co by to oznaczało zdaniem policyjnych biurokratów?

Błąd urzędnika. Ktoś źle skatalogował mikroflm z jego dossier. Znajdzie się. Kiedyś, kiedy nie będzie potrzebny, kiedy spędzę już dziesięć lat życia w kopalni na Księżycu, machając kilofem. Jeśli nie znajdą moich akt, rozmyślał, uznają mnie za zbiegłego studenta, ponieważ tylko studenci nie mają policyjnych rejestrów — a najważniejsi z nich, przywódcy, mają je również.

Znalazłem się na dnie, pomyślał. Nie mogę nawet zapewnić sobie fzycznego istnienia. Ja, człowiek, który wczoraj miał trzydziestomilionową widownię. Pewnego dnia jakoś ją odzyskam, ale

nie teraz. Najpierw mam ważniejsze rzeczy do zrobienia. Każdy rodzi się z pewnym szkieletem swojej egzystencji; ja nie mam nawet tego. Będę jednak miał; szóstak nie jest zwyczajnym człowiekiem. Żaden zwyczajny człowiek ani fzycznie, ani psychicznie nie przeżyłby tego, co mnie spotkało — a już szczególnie tej dręczącej niepewności.

Szóstak, bez względu na warunki, zawsze zwycięży, ponieważ tak nas genetycznie zdefniowano.

Jeszcze raz opuścił pokój, zszedł po schodach i podszedł do recepcji. Mężczyzna w średnim wieku z cienkim wąsikiem czytał magazyn „Box". Nie podniósł głowy, tylko zapytał:

— Tak, sir?

Jason wyjął plik banknotów i położył na kontuarze pięćset dolarów. Recepcjonista zerknął na banknot, po chwili spojrzał ponownie, szeroko otwierając oczy. Potem ostrożnie popatrzył na Jasona, tym razem badawczo.

— Skradziono mi przepustki — rzekł Jason. — Ta pięćsetka będzie pańska, jeśli zaprowadzi mnie pan do kogoś, kto może je zastąpić. Jeśli chce pan to zrobić, proszę zrobić to teraz; nie będę czekać.

Czekać, aż zgarnie mnie policja czy wojsko, pomyślał. Schwytanego w tym zapchlonym hoteliku.

— Albo na chodniku przed wejściem — powiedział recepcjonista. — Jestem telepatą. Wiem, że ten hotel to nic nadzwyczajnego, ale nie ma tu robactwa. Kiedyś mieliśmy marsjańskie pchły piaskowe, ale już ich nie ma.

Wziął pięćset dolarów.

— Zaprowadzę pana do kogoś, kto może panu pomóc — oznajmił. Uważnie przyglądał się twarzy Jasona, zamilkł, a potem dodał: — Myśli pan, że jest pan sławny. No cóż, mamy tu najróżniejsze przypadki.

— Chodźmy — rzekł szorstko Jason. — Już.

— Natychmiast — powiedział urzędnik i sięgnął po swój błyszczący plastikowy płaszcz.

3

Prowadząc powolny, hałaśliwy, staromodny śmigacz, recepcjonista powiedział mimochodem do siedzącego obok Jasona:

— Odbieram mnóstwo dziwnych sygnałów z twojego mózgu.

— Wynoś się z moich myśli — burknął niechętnie Jason.

Nigdy nie lubił wścibskich, ciekawskich telepatów, a ten nie był wyjątkiem. — Wynoś się z moich myśli — powtórzył — i zaprowadź mnie do kogoś, kto mi pomoże. Omijaj zapory policji oraz wojska, jeśli chcesz wyjść z tego z życiem.

— Nie musi mi pan tego mówić; wiem, co się z panem stanie, jeśli nas zatrzymają.

Robiłem to już wiele razy. Dla studentów. Pan nie jest jednak studentem. Jest pan sławny i bogaty. A jednocześnie nie. Jednocześnie jest pan nikim. Pod względem prawnym pan nawet nie istnieje — mówił spokojnie urzędnik.

Zaśmiał się cichym, afektowanym śmiechem, ale patrzył nieruchomo przed siebie. Prowadzi jak stara baba, zauważył Jason. Obiema rękami ściska kierownicę.

Dotarli wreszcie do slumsów Watts. Po obu stronach wąskich uliczek znajdowały się niewielkie ciemne składy, przepełnione kontenery na śmieci; chodnik pokrywały odłamki potłuczonych butelek; niechlujny napis reklamował wielkimi literami coca-colę, a małymi nazwę sklepiku. Stary Murzyn chwiejnie przechodził przez skrzyżowanie, badając drogę, jakby oślepł z wiekiem. Ten widok budził w Jasonie dziwne uczucia. Tak niewielu czarnych pozostało przy życiu od kiedy, w strasznych czasach Insurekcji, Kongres przegłosował ustawę Tidmana o przymusowej sterylizacji. Recepcjonista ostrożnie przyhamował rozklekotany śmigacz, żeby nie spłoszyć starego Murzyna w pogniecionym, pękającym w szwach brązowym garniturze. Widocznie czuł to samo.

— Czy zdaje pan sobie sprawę — zwrócił się do Jasona — że gdybym go potrącił, dostałbym karę śmierci?

— Całkiem słusznie — odrzekł Jason.

— Oni są jak ostatnie stado żurawi — powiedział urzędnik, ruszając dalej, kiedy stary Murzyn przeszedł na drugą stronę. — Chroni ich tysiąc praw. Nie można z nich kpić, nie można wdać się w bójkę, nie ryzykując oskarżenia o napaść i dziesięciu lat więzienia. A jednak sprawiamy, że wymierają.

— Właśnie tego pragnął Tidman i założę się, że większość Uspokajaczy, ale… — Zrobił gest ręką, po raz pierwszy zdejmując dłoń z kierownicy — …brak mi ich dzieciaków. Pamiętam, jak miałem dziesięć lat, znałem czarnego chłopca, z którym się bawiłem… prawdę

mówiąc, niedaleko stąd. Na pewno do tej pory został już wysterylizowany.

— Jednak najpierw miał jedno dziecko — przypomniał Jason. — Jego żona musiała oddać zezwolenie na posiadanie dziecka po urodzeniu pierwszego i jedynego syna, ale mieli go. Prawo zezwala na to. Milion przepisów strzeże ich bezpieczeństwa.

— Dwoje dorosłych, jedno dziecko — rzekł recepcjonista.

— W ten sposób populacja czarnych co pokolenie zmniejsza się o połowę. Sprytne. Trzeba to przyznać Tidmanowi: rozwiązał problem rasowy.

— Coś trzeba było zrobić — powiedział Jason, siedząc sztywno w fotelu; wpatrywał się w ulicę, szukając śladów policyjnych punktów kontrolnych czy wojskowych barykad. Nie dostrzegł żadnych, ale jak daleko ujadą bez przeszkód?

— Prawie jesteśmy na miejscu — oznajmił zimno recepcjonista. Na chwilę obrócił głowę i spojrzał Jasonowi w oczy.

— Nie podobają mi się pańskie rasistowskie poglądy — powiedział. — Nawet jeśli płaci mi pan pięćset dolarów.

— Jak dla mnie, po świecie chodzi wystarczająco dużo czarnych — oświadczył Jason.

— A kiedy umrze ostatni?

— Umie pan czytać w myślach — odparł Jason. — Nie muszę panu mówić.

— Chryste — rzekł recepcjonista i skierował uwagę na ruch uliczny.

Skręcili ostro w prawo, w wąską uliczkę; po jej obu stronach były widoczne pozamykane drewniane drzwi. Żadnych znaków. Tylko pełna napięcia cisza. I sterty zalegających od wieków śmieci.

— Co jest za tymi drzwiami? — zapytał Jason.

— Ludzie tacy jak pan. Ludzie, którzy nie mogą wyjść z ukrycia. Pod jednym względem różnią się jednak od pana: nie mają pięciuset dolarów… a także wielu innych rzeczy, o ile dobrze odczytuję pańskie myśli.

— Słono będzie mnie kosztowało uzyskanie dokumentów tożsamości — rzekł cierpko Jason. — Pewnie wszystko, co mam.

— Ona nie zedrze z pana skóry — powiedział urzędnik, zatrzymując pojazd na chodniku. Jason wyjrzał, zobaczył zrujnowaną restaurację z zabitymi drzwiami i powybijanymi oknami. W środku było zupełnie ciemno. To miejsce wyglądało odpychająco, lecz widocznie właśnie o nie chodziło. Będzie musiał się z tym pogodzić, jeśli chce dostać to, po co przybył; nie może być wybredny.

Po drodze ominęli wszystkie barykady i punkty kontrolne, recepcjonista wybrał dobrą drogę. Tak więc, zważywszy wszystko, Jason nie miał powodu do narzekań.

Wraz z urzędnikiem podszedł do wyłamanych, wiszących na jednym zawiasie frontowych drzwi restauracji. Obaj milczeli; skupili się na unikaniu zardzewiałych gwoździ sterczących z pozabijanych deskami okien, zapewne dla ochrony.

— Proszę podać mi rękę — powiedział urzędnik, wyciągając dłoń w ciemności.

— Tutaj jest ciemno, a ja znam drogę. W tym budynku wyłączyli prąd trzy lata temu.

W ten sposób usiłowali skłonić mieszkańców do opuszczenia bloku, żeby go spalić.

Większość jednak została — dodał.

Wilgotna, zimna ręka recepcjonisty przeprowadziła go obok nieregularnych stert czegoś, co było chyba kiedyś krzesłami i stołami; pokrywały je teraz pajęczyny i grudy kurzu. W końcu trafli na gładką czarną ścianę; przewodnik przystanął, puścił dłoń Jasona i zaczął manipulować w ciemnościach.

— Nie mogę ich otworzyć — wyjaśnił. — Można to zrobić tylko z drugiej strony — z jej strony. Daję jej znać, że tu jesteśmy.

Jeden segment ściany ze zgrzytem odsunął się na bok. Zerkając w głąb, Jason nie dojrzał nic prócz ciemności i opuszczenia.

— Wejdź do środka — polecił recepcjonista i lekko go popchnął. Ściana po chwili zamknęła się za ich plecami.

Błysnęły światła. Chwilowo oślepiony Jason osłonił dłonią oczy i obejrzał sobie pracownię.

Była niewielka. Dostrzegł jednak kilka skomplikowanych i bardzo specjalistycznych urządzeń. Po drugiej stronie stał stół laboratoryjny. Setki narzędzi, wszystkie starannie umieszczone w uchwytach na ścianach pokoju. Pod stołem znajdowały się duże kartony, zawierające pewnie różne rodzaje papieru, oraz mała prasa drukarska napędzana przez generator.

Dziewczyna siedziała na wysokim stołku; ręcznie składała czcionki. Spostrzegł jasne włosy, bardzo długie, lecz rzadkie, opadające na plecy okryte niebieską koszulą fanelo-wą. Nosiła dżinsy, bardzo małe stopy miała bose. Wyglądała na piętnaście lub szesnaście lat. Nie miała wydatnych piersi, ale niezłe, długie nogi — spodobały mu się. Nie była umalowana; nadawało to jej twarzy bladą, lekko pastelową barwę.

— Cześć! — powiedziała.

— Idę — oznajmił recepcjonista. — Spróbuję nie wydać pięciuset dolarów na jeden raz.

Nacisnął guzik, segment ściany odsunął się na bok; jednocześnie światła w pomieszczeniu zgasły, pogrążając ich ponownie w kompletnej ciemności.

— Jestem Kathy — przedstawiła się dziewczyna na stołku.

— Ja jestem Jason.

Ściana wróciła na miejsce i zapaliły się światła. Ona jest naprawdę śliczna, pomyślał. Tylko ten jej spokój graniczący z obojętnością. Jakby nic nie miało dla niej znaczenia. Apatia? Nie, rozsądził po chwili. Ona jest po prostu nieśmiała — oto wyjaśnienie.

— Dałeś mu pięćset dolarów za przyprowadzenie tutaj? — dziwiła się Kathy. Patrzyła na niego krytycznie, jakby próbowała dokonać jakiejś sensownej oceny na podstawie jego wyglądu.

— Mój garnitur zwykle nie jest tak wygnieciony.

— To ładny garnitur. Jedwabny?

— Tak — skinął głową.

— Jesteś studentem? — zapytała Kathy, nadal bacznie go obserwując. — Nie, nie jesteś; nie masz takiej ziemistej cery jak oni, od życia pod ziemią. No cóż, to pozostawia tylko jedną możliwość.

— Że jestem przestępcą — powiedział Jason — i usiłuję zmienić tożsamość, zanim dopadnie mnie policja lub wojsko.

— A jesteś? — zapytała bez cienia zmieszania. To było zwyczajne, proste pytanie.

— Nie.

Nie wyjaśniał szerzej, nie teraz. Może później.

— Czy sądzisz, że wielu gwardzistów to roboty, a nie prawdziwi ludzie? Zawsze noszą maski gazowe, więc trudno powiedzieć.

— Wystarczy mi, że ich nie lubię — odrzekł Jason. — Nie zastanawiam się nad przyczyną.

— Jakich dokumentów potrzebujesz? Prawa jazdy? Przepustki policyjnej? Zaświadczenia o zatrudnieniu wydanego przez zakład pracy?

— Wszystkich. Z legitymacją członka Związku Muzyków w obwodzie dwunastym włącznie.

— Ach, jesteś muzykiem?

Teraz patrzyła na niego z większym zainteresowaniem.

— Piosenkarzem. Prowadzę godzinny program rozrywkowy w każdy wtorek o dziewiątej. Może go widziałaś? *Jason Taverner Show*.

— Już nie mam telewizora — odparła dziewczyna. — Pewnie dlatego cię nie poznałam. Czy to ciekawa praca?

— Czasami. Spotykasz wielu ludzi z show businessu, co jest miłe, jeśli to lubisz. Przeważnie okazują się zwyczajnymi ludźmi. Mają swoje obawy. Nie są idealni. Niektórzy są bardzo zabawni, zarówno przed, jak i poza kamerą.

— Mój mąż zawsze mi mówił, że nie mam poczucia humoru — powiedziała. — Uważał, że wszystko jest śmieszne. Śmiał się nawet wtedy, kiedy dostał powołanie do wojska.

— I śmiał się nadal, kiedy go zwalniali?

— Nigdy go nie zwolnili. Zginął podczas niespodziewanego ataku

studentów, ale to nie była ich wina; zastrzelił go inny gwardzista.

— Ile będzie mnie kosztowało wystawienie wszystkich dokumentów? Lepiej ustalmy to, zanim zabierzesz się do roboty.

— Od każdego biorę tyle, na ile go stać — odparła Kathy, ponownie zabierając się do składania. — Mam zamiar policzyć ci dużo, ponieważ widzę, że jesteś bogaty: dałeś Eddy'emu pięćset dolarów za przyprowadzenie cię tutaj, nosisz jedwabny garnitur. W porządku? — Rzuciła mu przelotne spojrzenie. — A może się mylę? Powiedz.

— Mam przy sobie pięć tysięcy dolarów — rzekł Jason. — A właściwie cztery i pół tysiąca. Jestem artystą światowej sławy; oprócz cotygodniowego programu każdego roku przez miesiąc występuję w Sands. Prawdę mówiąc, występuję w wielu klubach, jeśli tylko zdołam znaleźć jakąś lukę w wypełnionym rozkładzie zajęć.

— O rany — powiedziała Kathy. — Szkoda, że o tobie nie słyszałam; byłabym pod wrażeniem.

Roześmiał się.

— Czy powiedziałam coś głupiego? — zapytała nieśmiało.

— Nie — odparł Jason. — Kathy, ile masz lat?

— Dziewiętnaście. Urodziny obchodzę w grudniu, więc mam już prawie dwadzieścia. A ile dałbyś mi, sądząc po wyglądzie?

— Szesnaście.

Skrzywiła usta w dziecinnym grymasie.

— Wszyscy tak mówią — powiedziała cicho. — To dlatego, że nie mam biustu. Gdy bym miała piersi, wyglądałabym na dwadzieścia jeden. A ty ile masz lat? — Przestała składać i spojrzała na niego uważnie. — Na oko jakieś pięćdziesiąt.

Poczuł nagle wściekłość i żal.

— Wydaje się, że zraniłam twoje uczucia.

— Mam czterdzieści dwa lata — wycedził Jason.

— A co to za różnica? Chcę powiedzieć, że zarówno…

— Wróćmy do interesów — przerwał jej. — Daj mi pióro i papier, a napiszę ci, czego potrzebuję i co powinien mówić o mnie każdy dokument. Chcę, żeby to zostało zrobione dokładnie. Lepiej przyłóż się do roboty.

— Rozzłościłam cię, mówiąc, że wyglądasz na pięćdziesiąt lat — powiedziała Kathy. Sądzę, że przy uważniejszych oględzinach nie wyglądasz na tyle. Raczej na trzydzieści.

Podała mu pióro i papier, uśmiechając się wstydliwie i przepraszająco.

— Zapomnij o tym — rzekł Jason. Poklepał ją po ramieniu.

— Nie lubię, kiedy mnie ludzie dotykają — wyznała Kathy i odsunęła się.

Jak leśna nimfa, pomyślał. Dziwne, obawia się najlżejszego

dotknięcia, a nie boi się fałszować dokumenty, za co dostałaby dwadzieścia lat więzienia. Może nikt jej nie powiedział, że łamie prawo. Może po prostu nie wie.

Jego wzrok przykuło coś jaskrawego i barwnego na przeciwległej ścianie. Podszedł bliżej, żeby to obejrzeć. Uświadomił sobie, że to średniowieczny ilustrowany manuskrypt, a raczej jego jedna stronica. Czytał o takich księgach, ale jeszcze nigdy żadnej nie widział.

— Czy to cenne? — spytał.

— Gdyby była prawdziwa, byłaby warta ze sto dolarów — odparła Kathy. — Ale nie jest; zrobiłam ją wiele lat temu, kiedy chodziłam do szkoły Północnoamerykańskich Linii Lotniczych. Dziesięć razy kopiowałam oryginał, zanim zrobiłam wierną kopię. Kocham kaligrafę, uwielbiałam ją jeszcze jako dziecko. Może dlatego że mój ojciec projektował okładki książek, no wiesz, obwoluty.

— Czy muzeum dałoby się nabrać? Przez chwilę mierzyła go przenikliwym wzrokiem. Potem skinęła głową.

— Nie poznaliby po papierze?

— To pergamin z tamtych czasów. Tak samo fałszuje się stare znaczki. Bierzesz stary, bezwartościowy, zmazujesz nadruk, a potem…

Urwała.

— Chcesz, żebym szybko zabrała się do twoich dokumentów.

— Tak — przyznał Jason.

Podał jej kartkę papieru, na której zapisał dane. Większość dokumentów wymagała standardowych pieczęci wprowadzonych po zniesieniu stanu wojennego, odcisków kciuka, fotografi, hologramów podpisu; wszystkie miały krótki okres ważności. Przed upływem trzech miesięcy będzie musiał zapłacić za nowy zestaw.

— Dwa tysiące dolarów — powiedziała Kathy, obejrzawszy listę.

Miał ochotę zapytać: A czy za to będę mógł także pójść z tobą do łóżka? Na głos powiedział:

— Jak długo to potrwa? Kilka godzin? Dni? A jeśli dni, to gdzie…

— Kilka godzin — odparła Kathy. Poczuł głęboką ulgę.

— Usiądź i dotrzymuj mi towarzystwa — poprosiła, wskazując stojący z boku taboret na trzech nogach. — Możesz mi opowiedzieć o swojej karierze gwiazdy telewizji. To musi być fascynujące, tam trzeba iść po trupach, żeby dostać się na szczyt. Czy wszedłeś na szczyt?

— Tak — odparł krótko. — Jednak nie po trupach. To mit. Decyduje talent i tylko talent, a nie to, co mówisz lub robisz ludziom stojącym niżej czy wyżej. Poza tym, to ciężka praca. Nie wpada się na chwilkę, żeby szurnąć nogą i podpisać kontrakt z NBC lub CBS. To twardzi, doświadczeni ludzie interesu, szczególnie ci od A i R, artystów i repertuaru. Oni decydują, z kim podpisać umowę. Mówię o śpiewaniu. Od tego trzeba zacząć, żeby zdobyć ogólnokrajową sławę; oczywiście, można próbować występów we wszystkich możliwych

klubach, aż…

— Oto twoje prawo jazdy — oznajmiła Kathy. Ostrożnie podała mu mały czarny kartonik. — Teraz zajmę się twoją książeczką wojskową. To będzie trochę trudniejsze ze względu na fotografe en face i z proflu, ale zrobię je tam.

Wskazała na biały ekran, przed którym stał aparat na trójnogu, z umocowaną z boku lampą błyskową.

— Masz tu całe wyposażenie — rzekł Jason, siadając sztywno przed białym tłem.

W czasie wieloletniej kariery zrobiono mu tyle zdjęć, że doskonale wiedział, gdzie stanąć i jaką przybrać minę.

Tym razem jednak najwidoczniej zrobił coś nie tak, jak trzeba. Kathy spoglądała na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

— Jesteś zbyt uradowany — powiedziała, na pół do siebie. — Tryskasz pozornym zadowoleniem.

— To dla publiczności — odparł Jason. — Błyszczące odbitki osiem na dziesięć…

— Nie tym razem. Te zdjęcia mają uchronić cię przed dożywotnim zamknięciem w obozie pracy. Nie uśmiechaj się.

Posłuchał.

— Dobrze — powiedziała Kathy. Wyjęła zdjęcia z aparatu i ostrożnie przeniosła na stół, machając nimi, żeby wyschły. — Te przeklęte animowane fotki trójwymiarowe do książeczki wojskowej — kamera kosztowała mnie tysiąc dolarów, a używam jej tylko do tego i do niczego więcej… ale musiałam ją kupić. — Zmierzyła go wzrokiem. — To cię będzie kosztowało.

— Tak — odrzekł z niewzruszonym spokojem. Zdawał sobie z tego sprawę.

Kathy przez jakiś czas szperała w przyborach, potem gwałtownie odwróciła się i zapytała:

— Kim ty naprawdę jesteś? Umiesz pozować, widziałam, jak zastygłeś z tym sztucznym uśmiechem na twarzy i z błyszczącymi oczami.

— Mówiłem ci. Jestem Jason Taverner. Gospodarz telewizyjnego programu rozrywkowego. Występuję w każdy wtorkowy wieczór.

— Nie — powiedziała Kathy, potrząsając głową. — Ale to nie moja sprawa… Przepraszam, nie powinnam pytać.

Mimo to nadal mierzyła go wzrokiem, jakby z rozgoryczeniem.

— Popełniasz błąd. Naprawdę jesteś jakąś osobistością — widać to po sposobie, w jaki pozowałeś do zdjęć, ale nie jesteś nikim znanym. Nie ma żadnego Jasona Tavernera, który liczyłby się, który byłby kimś. A więc kim jesteś? Człowiekiem, któremu wciąż robiono zdjęcia, ale o którym nikt nigdy nie słyszał.

— Zachowuję się tak, jak zachowywałaby się każda osobistość, o

której nikt nigdy nie słyszał.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, potem wybuchnęła śmiechem.

— Rozumiem. No cóż, to dobre, naprawdę dobre. Będę musiała to sobie zapamiętać.

Znów zajęła się podrabianymi dokumentami.

— W tym interesie — powiedziała, zaabsorbowana pracą — nie chcę nic wiedzieć o ludziach, dla których robię papiery. Ciebie — zerknęła na Jasona — mam jednak ochotę poznać. Jesteś dziwny. Poznałam najróżniejsze typy ludzi — chyba całe setki — ale nikogo takiego jak ty. Czy wiesz, co mam na myśli?

— Myślisz, że jestem szaleńcem — rzekł Jason.

— Tak — kiwnęła głową. — W medycznym, prawnym czy jakimkolwiek znaczeniu tego słowa. Jesteś psychiczny, cierpisz na rozdwojenie jaźni. Pan Nikt i Pan Wszyscy. Jak zdołałeś przeżyć do tej pory?

Nie odpowiedział. Tego nie mógł jej wyjaśnić.

— W porządku — powiedziała Kathy. Jeden po drugim, fachowo i sprawnie, podrabiała niezbędne dokumenty.

Eddy, recepcjonista z hotelu, trzymał się na uboczu, paląc podróbkę hawajskiego cygara. Nie miał tu nic do roboty, ale z jakiegoś niejasnego powodu nie odchodził. Wolałbym, żeby stąd spierdalał, pomyślał Jason. Chciałbym swobodniej porozmawiać z tą dziewczyną…

— Chodź ze mną — powiedziała nagle Kathy. Ześlizgnęła się z drewnianego stołka i wskazała drzwi po prawej stronie stołu. — Chcę, żebyś pięć razy złożył swój podpis, za każdym razem inny, tak aby nie nakładały się na siebie. Właśnie w ten sposób wielu dokumentalistów — uśmiechnęła się, otwierając drzwi — bo tak siebie nazywamy — właśnie w ten sposób wielu z nas przepadło. Biorąc tylko jeden wzór podpisu i przenosząc go na wszystkie dokumenty. Rozumiesz?

— Tak — odrzekł, wchodząc za nią do zatęchłego pokoiku. Kathy zamknęła drzwi, przystanęła na moment, po czym oznajmiła:

— Eddy to policyjny kapuś. Jason spojrzał na nią ze zdziwieniem i wykrztusił:

— Dlaczego?

— Dlaczego? Co „dlaczego”? Dlaczego jest kapusiem? Dla pieniędzy. Z tego samego powodu, co ja.

— Niech cię szlag — warknął Jason. Złapał ją za prawy przegub i przyciągnął do siebie. Skrzywiła się, gdy zacisnął palce. — I już…

— Eddy jeszcze nic nie zrobił — odparła, usiłując wyrwać rękę. — To boli. Słuchaj, uspokój się, a coś ci pokażę. Dobrze?

Niechętnie, z sercem łomoczącym ze strachu, puścił ją. Kathy

włączyła małą, jasno świecącą lampę i położyła trzy podrobione dokumenty w kręgu jej blasku.

— Purpurowa plamka na brzegu każdego — objaśniła, pokazując niemal niewidoczny ślad — to mikronadajnik, który co pięć sekund wysyła sygnał, gdziekolwiek się ruszysz. Oni szukają konspiratorów, chodzi im o ludzi, z którymi nawiązujesz kontakt.

— Z nikim nie konspiruję — wykrztusił Jason.

— Oni o tym nie wiedzą. — Pomasowała nadgarstek, marszcząc brwi w ponurym, dziewczęcym grymasie. — Wy, gwiazdy telewizji, o których nikt nie słyszał, macie szybki refeks — mruknęła.

— Czemu mi o tym powiedziałaś? — zapytał. — Kiedy tyle się napracowałaś przy podrabianiu i…

— Chcę, żebyś im uciekł — odparła z prostotą.

— Dlaczego? — Wciąż nie rozumiał.

— Ponieważ… do licha! Ponieważ masz jakiś magnetyczny czar; poczułam to, jak tylko tu wszedłeś. Jesteś… — szukała odpowiedniego słowa — …seksowny. Mimo swego wieku.

— Moja prezencja.

— Tak — Kathy skinęła głową. — Widziałam to już wcześniej u różnych znanych osób, ale z daleka, nigdy tak blisko. Rozumiem, dlaczego wyobrażasz sobie, że jesteś gwiazdą telewizji; naprawdę wyglądasz tak, jakbyś nią był.

— Jak mogę uciec? Powiesz mi? Czy to będzie kosztowało trochę więcej?

— Boże, jaki ty jesteś cyniczny. Roześmiał się i znów złapał ją za rękę.

— Chyba nie mam ci tego za złe — powiedziała Kathy, potrząsając głową i przybierając nieprzenikniony wyraz twarzy. — No dobrze, przede wszystkim możesz przekupić Eddy'ego. Kolejne pięć setek powinno załatwić sprawę. Mnie nie musisz przekupywać, jeżeli, mówię jeżeli i tak myślę, zostaniesz ze mną przez jakiś czas. Jesteś… kuszący, jak dobre perfumy. Działasz na mnie tak, jak nigdy żaden mężczyzna.

— A więc wolisz kobiety? — rzekł drwiąco. Nie zwróciła na to uwagi.

— Zostaniesz?

— Do licha — powiedział. — Zaraz stąd pójdę. Otworzył drzwi za plecami dziewczyny, przecisnął się obok niej i wszedł do pracowni. Kathy szybko poszła za nim.

Dogoniła go w mętnym, pustym półmroku opuszczonej restauracji. Spojrzała mu w oczy. Dysząc, powiedziała:

— Już nosisz jeden nadajnik.

— Wątpię — odparł.

— To prawda. Eddy ci go przyczepił.

— Bzdura — rzekł i odsunął się od niej w kierunku opadniętych, rozbitych frontowych drzwi restauracji.

Idąc za nim jak szybkonogie roślinożerne zwierzę, Kathy westchnęła:

— Załóżmy, że to prawda, ponieważ to możliwe. — Stanęła w przejściu między nima wolnością i z uniesionymi rękami, jakby zasłaniając się przed ciosem, powiedziała pospiesznie: — Zostań ze mną na jedną noc. Chodź ze mną do łóżka. Dobrze? To wystarczy, obiecuję. Zrobisz to, tylko na jedną noc?

Część moich zdolności, pomyślał, moich powszechnie znanych umiejętności, pozostała mi i tu, w tym obcym świecie, w którym się znalazłem. W świecie, w którym nie istnieję, chyba że dzięki dokumentom podrobionym przez policyjną informatorkę. Upiorne, pomyślał, i zadygotał. Dokumenty z wszytymi mikronadajnikami, które wydadzą policji mnie i każdego mojego towarzysza. Nie spisałem się zbyt dobrze. Tyle że — jak twierdzi dziewczyna — mam jakiś powab. Jezu, pomyślał. I tylko to dzieli mnie od obozu pracy.

— Dobrze — rzekł w końcu. Na razie wydawało się to rozsądniejszym wyjściem.

— Idź zapłacić Eddy'emu — powiedziała. — Załatw to i niech stąd znika.

— Zastanawiałem się, dlaczego wciąż się tutaj kręci — rzekł Jason. — Wyczuł większe pieniądze?

— Chyba tak.

— Zawsze tak robicie — stwierdził Jason, wyjmując pieniądze. SSP: standardowy sposób postępowania. A on dał się nabrać.

— Eddy to telepata — odparła Kathy wesoło.

4

Dwa kwartały dalej, na piętrze nie pomalowanego, ale niegdyś białego drewnianego budynku, Kathy miała pokój z wnęką pozwalającą przygotowywać posiłki dla jednej osoby.

Rozejrzał się wokół. Dziewczęcy pokoik, wąskie łóżko nakryte ręcznie robioną kapą — rzędy drobnych, zielonych kulek splecionych ze sobą. Jak żołnierski cmentarz, pomyślał ponuro, kręcąc się tu i tam, przytłoczony ciasnotą pomieszczenia.

Na wiklinowym stoliku leżał egzemplarz *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta.

— Jak daleko dobrnęłaś? — zapytał.

— Do W *kwitnącym gaju.*

Kathy zamknęła drzwi na dwa zamki i włączyła jakieś elektroniczne urządzenie, którego nie rozpoznał.

— To niezbyt daleko — rzekł Jason.

— A ty jak daleko dobrnąłeś? — zapytała Kathy, zdejmując plastikowy płaszcz.

Powiesiła płaszcz w wąskiej szafce, razem z okryciem Jasona.

— Nigdy tego nie czytałem — odparł Jason. — W moim programie odgrywaliśmy kiedyś scenę z… którejś części tej powieści. Dostaliśmy mnóstwo listów z pochwała mi, ale nigdy nie próbowaliśmy tego robić ponownie. Z takimi rzeczami trzeba uważać, żeby nie przeciągnąć struny. Jeśli do tego dopuścisz, zupełnie wyeksploatujesz temat, wszystkim stacjom, na cały rok.

Krążył po pokoju, tu oglądając książkę, tam kasetę, ówdzie mikromagnetofon. Miała nawet mówiącą lalkę. Jak dziecko, pomyślał, ona nie jest jeszcze dorosła. Z ciekawości włączył mówiącą zabawkę.

— Cześć! — oznajmiła. — Jestem Miły Charley i nadaję dokładnie na twojej długości fal.

— Żaden Miły Charley nie nadaje na mojej długości fal — oświadczył Jason. Chciał go wyłączyć, ale zabawka zaprotestowała. — Przykro mi — rzekł Jason — ale wyłączam cię, ty stuknięty mały draniu.

— Przecież ja cię kocham! — narzekał Miły Charley blaszanym głosikiem.

Zawahał się z palcem na wyłączniku.

— Udowodnij — zażądał. W swoim programie zamieszczał reklamówki takiego złomu. Nienawidził ich tak samo jak tych zabawek. Jednakowo. — Daj mi trochę forsy.

— Wiem, że możesz odzyskać swoją sławę, imię i zabawę — poinformował go Miły Charley. — Czy to wystarczy na początek?

— Jasne.

— Odszukaj swoją dziewczynę — zabrzęczał Miły Charley.

— Kogo masz na myśli? — spytał ostrożnie.

— Heather Hart — pisnął Miły Charley.

— Już gnam jak chart — rzekł Jason, przyciskając język do górnych siekaczy. Kiwnął głową. — Masz jeszcze jakieś rady?

— Słyszałam o Heather Hart — powiedziała Kathy, wyjmując butelkę soku pomarańczowego z lodówki wbudowanej w ścianę pokoju. Butelka była już w trzech czwartych pusta; dziewczyna potrząsnęła nią i rozlała pienisty ersatz pomarańczowego soku do dwóch szklanek. — Ona jest piękna. Ma takie długie rude włosy. Naprawdę jest twoją dziewczyną? Czy Charley ma rację?

— Każdy wie — odparł — że Miły Charley ma zawsze rację. — Tak, to chyba prawda. — Kathy wlała do soku kiepski dżin (Mountbatten's Privy Seal Finest). — Śrubokręt — oznajmiła z dumą.

— Nie, dzięki — odmówił. — Nie o tej porze.

Nie, nawet gdyby to była whisky B L butelkowana w Szkocji, pomyślał. Ten przeklęty mały pokoik… czy ona nic nie zarabia na kapowaniu i podrabianiu dokumentów? Czy naprawdę jest policyjną informatorką, jak twierdzi? Dziwne. Może robi i jedno, i drugie. A może nie.

— Spytaj mnie! — pisnął Miły Charley. — Widzę, że coś cię dręczy. Nieźle wyglądający z ciebie facet.

Pominął to milczeniem.

— Ta dziewczyna — zaczął, ale Kathy natychmiast wyrwała mu Miłego Charleya; stała, trzymając zabawkę, ciężko oddychała przez nos i spoglądała z urazą.

— Do diabła, nie będziesz wypytywał o mnie mojego Miłego Charleya — powiedziała, unosząc brew. Jak dziki ptak, pomyślał, wykonujący skomplikowane manewry, żeby ochronić swoje gniazdo. Roześmiał się. — Co w tym śmiesznego? — spytała.

— Z tych gadających zabawek — odparł — więcej kłopotu niż pożytku. Powinni zakazać ich produkcji.

Podszedł do stolika telewizyjnego i leżącej tam sterty listów. Przejrzał je pobieżnie, odnotowując w pamięci, że koperty z rachunkami nie były otwierane.

— To moje — powiedziała obronnym tonem Kathy, obserwując go.

— Dostajesz sporo rachunków — rzekł — jak na dziewczynę mieszkającą w takiej norze. Kupujesz swoje ciuchy — a może coś innego — u Mettera? Interesujące.

— Ja… mam nietypowy rozmiar.

— A buty u Saxa i Crombiego.

— Moja praca… — zaczęła, ale przerwał jej gwałtownym machnięciem ręki.

— Nie wciskaj mi kitu — warknął.

— Zajrzyj do mojej szafy. Nie znajdziesz tam wiele. Nic nadzwyczajnego, tyle że wszystko w dobrym gatunku. Wolę mieć mniej, ale w dobrym gatunku… — powoli milkła. — No, wiesz… niż masę śmiecia.

— Masz drugie mieszkanie — powiedział Jason. Podziałało; zamrugała oczami, zaglądając w siebie w poszukiwaniu odpowiedzi. Ta mu zupełnie wystarczyła.

— Chodźmy tam — rzekł. Miał już dość tego ciasnego pokoiku.

— Nie mogę cię tam zabrać — tłumaczyła Kathy — bo dzielę je z dwiema innymi dziewczynami i z harmonogramu wynika, że teraz…

— Widocznie nie chciałaś zrobić na mnie wrażenia.

Był ubawiony, ale i zirytowany; czuł się dziwnie przygnębiony.

— Zabrałabym cię tam, gdyby dziś był mój dzień — powiedziała Kathy. — Właśnie dlatego wynajmuję ten pokoik; muszę gdzieś się podziać, kiedy to nie jest mój dzień.

A mój dzień, następny mój dzień, przypada w piątek. Od południa.

Jej słowa brzmiały teraz szczerze, jakby bardzo chciała go przekonać. Zapewne, rozmyślał, to prawda, ale cała ta sprawa denerwowała go. Ona i jej życie. Czuł się teraz tak, jakby coś go pochwyciło i wciągało w otchłań, o której istnieniu nie miał pojęcia, nawet w dawnych, kiepskich czasach. Nie podobało mu się to.

Chciał jak najszybciej się stąd wyrwać. Tym osaczonym zwierzęciem był on sam.

— Nie patrz tak na mnie — rzekła Kathy, sącząc „śrubokręt”.

— Rozwaliłeś drzwi życia tym swoim wielkim, tępym łbem. A teraz nie można ich zamknąć — głośno powiedział sam do siebie.

— Z czego to? — zapytała Kathy.

— Z mojego życia.

— Brzmi jak poezja.

— Gdybyś oglądała mój program — rzekł — wiedziałabyś, że często tryskam takimi mądrościami.

— Zamierzam przejrzeć program TV i sprawdzić, czy tam jesteś — odparła, mierząc go chłodnym spojrzeniem.

Odstawiła koktajl i zaczęła szukać w stosie gazet piętrzących się pod wiklinowym stolikiem.

— Ja nawet nie przyszedłem na świat — powiedział. — Sprawdziłem to.

— Twojego show nie ma w programie — stwierdziła Kathy, odwracając kolejną stronę gazety i studiując ramówkę.

— Zgadza się — potwierdził. — Teraz wiesz już o mnie wszystko. — Poklepał kieszeń, w której miał podrobione dokumenty. — Włącznie z tym. I ich mikronadajnikami, jeśli to

prawda.

— Oddaj mi je — powiedziała — a usunę mikronadajniki. To potrwa tylko sekundę. — Wyciągnęła rękę. Oddał jej dokumenty. — Nie obchodzi cię, czy je wyjmę czy nie?

— Nie, nie obchodzi — odparł obojętnie. — Straciłem zdolność odróżniania dobra i zła, prawdy i kłamstwa. Jeśli chcesz usunąć te plamki, zrób to. Jeśli masz ochotę.

Po chwili oddała mu dokumenty, uśmiechając się uśmiechem szesnastolatki. Patrząc na jej młodzieńczą, naturalną radość, powiedział:

— Czuję się stary jak ów wiąz.

— To z *Finnegans Wake* — zawołała uszczęśliwiona Kathy. — Kiedy stare praczki o zmierzchu zmieniają się w drzewa i skały.

— Czytałaś *Finnegans Wakel* — spytał ze zdziwieniem.

— Widziałam flm. Cztery razy. Lubię Hazeltine'a, uważam, że to największy z żyjących reżyserów.

— Gościłem go w moim programie — rzekł Jason. — Chcesz wiedzieć, jaki jest naprawdę?

— Nie — odparła Kathy.

— Może powinnaś wiedzieć.

— Nie — powtórzyła, potrząsając głową; lekko podniosła głos. — I nie próbuj mi tego mówić — dobrze? Wierzę w to, w co chcę wierzyć, i ty wierz, w co chcesz. W porządku?

— Jasne.

Dobrze ją rozumiał. Prawda, często myślał, jest przeceniana. W większości przypadków łagodne kłamstwo jest lepsze i bardziej litościwe. Szczególnie między mężczyznami a kobietami, prawdę mówiąc, zawsze, kiedy chodzi o kobietę.

Oczywiście, to właściwie nie była kobieta, ale dziewczyna. Dlatego postanowił, że tym bardziej należy uciec się do uprzejmego kłamstwa.

— To uczony i artysta.

— Naprawdę? — Spojrzała na niego z nadzieją w oczach.

— Tak.

Słysząc to, odetchnęła z ulgą.

— A zatem wierzysz — mówił, idąc za ciosem — że spotkałem Michaela Hazeltine-'a, najlepszego reżysera flmowego, jak sama powiedziałaś. Wierzysz więc, że jestem szó-stakiem… — urwał, nie to zamierzał powiedzieć.

— Szóstakiem — powtórzyła Kathy, marszcząc czoło, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. — Czytałam o nich w „Time". Przecież oni wszyscy nie żyją. Czyż rząd nie kazał ich otoczyć i wystrzelać, jednego po drugim, po tym jak ich przywódca… Jak on się nazywał? Teagarden; tak, tak się nazywał. Willard Teagarden. On

próbował… jak to określić? Załatwić Gwardię Narodową? Usiłował rozwiązać ją jako nielegalną, paromilitajną…

— Paramilitarną — poprawił Jason.

— Wcale nie słuchasz tego, co mówię.

— Ależ słucham — odparł szczerze. Czekał. Dziewczyna nie podjęła tematu. — Chryste! — burknął. — Dokończ to, co mówiłaś!

— Myślę — powiedziała w końcu Kathy — że to siódmacy udaremnili ten zamach.

Zamyślił się. Siódmacy. Nigdy nie słyszał o żadnych siódmakach. Nic nie mogło bardziej nim wstrząsnąć. Dobrze, pomyślał, że wymknęło mi się słowo „szóstak". Teraz naprawdę czegoś się dowiedziałem. Wreszcie. W tym labiryncie niepewności i półprawd.

Mały segment ściany odchylił się, skrzypiąc, i do pokoju wszedł czarno-biały, bardzo młody kot. Kathy natychmiast rozpromieniła się i wzięła go na ręce.

— Filozofa Dinmana — rzekł Jason. — Nieunikniony kot. Znał ten punkt widzenia; prawdę mówiąc, sam przedstawił Dinmana telewidzom podczas jednego ze swoich specjalnych programów.

— Nie, ja go po prostu kocham — oświadczyła Kathy, z radośnie błyszczącymi oczami podając mu kota.

— Jednak wierzysz — powiedział, gładząc łepek zwierzęcia — że posiadanie zwierzęcia zwiększa empatię właściciela…

— Pieprzyć to — odrzekła Kathy, przyciskając kota do piersi, jak pięciolatka swojego pierwszego ulubieńca. Tak przewiduje szkolny program: wspólna świnka morska. — To Domenico.

— Na cześć Domenico Scarlattiego?

— Nie, na cześć Domenico Market, kawałek dalej; mijaliśmy go, idąc tutaj. Kiedy jestem w mniejszym mieszkaniu — w tym pokoju — robię tam zakupy. Czy Domenico Scarlatti to muzyk? Chyba o nim słyszałam.

— Nie, to nauczyciel, który uczył Abrahama Lincolna angielskiego.

— Aha — z roztargnieniem kiwnęła głową, bawiąc się z kotem.

— Żartuję sobie z ciebie — powiedział — a to niеładnie. Przepraszam. Kathy spojrzała na niego, tuląc kotka.

— Nigdy bym się nie zorientowała — mruknęła.

— Dlatego to niеładnie z mojej strony.

— Dlaczego? — spytała. — Przecież nawet bym nie wiedziała. Chcę powiedzieć, że to oznacza, że jestem po prostu głupia. Prawda?

— Nie jesteś głupia — odparł Jason. — Tylko niedoświadczona. — Obliczył w przybliżeniu różnicę wieku między nimi. — Żyję dwa razy dłużej od ciebie — przypomniał. — A przez ostatnie dziesięć lat ocierałem się o najsławniejszych ludzi na Ziemi. A ponadto…

— A ponadto — powiedziała Kathy — jesteś szóstakiem. Nie zapomniała o tym. Oczywiście. Mógłby powiedzieć jej milion rzeczy i po dziesięciu minutach zapomniałaby o wszystkich, oprócz tej jednej, istotnej sprawy. No cóż, taki już jest ten świat. Zdążył się do tego przyzwyczaić; na tym polegała różnica między nimi.

— Czym jest dla ciebie Domenico? — zapytał Jason, zmieniając temat. Uświadomił sobie, że zrobił to niezręcznie, ale pytał dalej. — Czy daje ci coś, czego nie zapewniają kontakty z innymi ludźmi?

Zmarszczyła brwi i zamyśliła się.

— Jest zawsze zajęty. Wciąż coś robi. Na przykład śledzi jakiegoś owada. Bardzo dobrze radzi sobie z muchami, nauczył się je zjadać. — Uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Nie muszę zadawać sobie pytania, czy powinnam wydać go panu McNulty'emu. Pan McNulty to mój policyjny kontakt. Daję mu odbiorniki analogowe dostrojone do mikronadajników — tych plamek, jakie ci pokazałam…

— A on ci płaci. Skinęła głową.

— A jednak mieszkasz właśnie tak.

— Ja… — z trudem znalazła odpowiedź — nie mam zbyt wielu klientów.

— Nonsens. Jesteś dobra, widziałem cię przy pracy. Masz doświadczenie.

— Talent.

— Ale dobrze wyćwiczony.

— No dobrze, wszystko wydaję na mieszkanie w centrum, na mój apartament. Zacisnęła zęby; nie podobało jej się, że ją naciska.

— Nie. Nie uwierzył jej. Po krótkiej przerwie powiedziała:

— Mój mąż żyje. Jest w obozie pracy na Alasce. Usiłuję go wykupić, pracując jako informatorka pana McNulty'ego. On mówi, że za rok — z ponurym wyrazem twarzy wzruszyła ramionami — Jack wyjdzie na wolność i wróci do mnie.

A więc wysyłasz innych ludzi do obozu, pomyślał, żeby wydostać stamtąd swojego mężczyznę. To brzmi jak typowa intryga policyjna. I pewnie jest prawdą.

— Policja robi wspaniały interes — rzekł. — Wypuszczają jednego człowieka, a dostają… jak mówisz, ilu im przekazałaś? Dziesiątki? Setki?

— Około stu pięćdziesięciu — odpowiedziała po dłuższym namyśle.

— To okropne.

— Naprawdę? — zerknęła na niego nerwowo, tuląc Domenica do swej płaskiej piersi. Powoli ogarniała ją złość; widział to po jej twarzy i po tym, jak przyciskała kota. — Diabła tam! — rzuciła wściekle, przecząco potrząsając głową. — Kocham Jacka, a on kocha mnie. Wciąż do mnie pisze.

— Listy są podrabiane przez jakiegoś policyjnego fałszerza — uciął okrutnie Jason.

Łzy popłynęły jej z oczu zdumiewająco obftym strumieniem; przyćmiły ich blask.

— Tak myślisz? Czasem ja też tak uważam. Chcesz na nie spojrzeć? Mógłbyś to stwierdzić?

— Pewnie nie są podrabiane. Łatwiej i taniej utrzymywać go przy życiu i kazać je pisać.

Miał nadzieję, że dziewczyna poczuje się przez to lepiej, i widocznie tak się stało. Przestała płakać.

— Nie pomyślałam o tym — rzekła, kiwając głową, ale nadal bez uśmiechu. Patrzyła w dal, w zadumie gładząc czarno-białego kotka.

— Jeśli twój mąż jeszcze żyje — powiedział, tym razem ostrożnie — czy uważasz, że to w porządku iść do łóżka z innym mężczyzną, na przykład ze mną?

— Och, pewnie. Jack nigdy nie miał nic przeciwko temu, nawet zanim go złapali, i jestem pewna, że nadal nie ma. Jeśli o tym mowa, to napisał mi o tym. Zobaczmy, to było jakieś sześć miesięcy temu. Chyba mogę znaleźć ten list, mam je wszystkie na mikroflmie. W pracowni.

— Po co?

— Czasami wyświetlam je moim klientom, żeby później rozumieli, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam.

Po tym wyznaniu naprawdę nie wiedział, co do niej czuje ani co powinien czuć. Stopniowo, z biegiem łat, uwikłała się w sytuację bez wyjścia. Nie widział dla niej żadnej drogi ucieczki, to trwało zbyt długo. Wzór utrwalił się. Ziarnu zła pozwolono wy-kiełkować.

— Dla ciebie nie ma drogi powrotnej — rzekł, wiedząc, że ona dobrze o tym wie. — Posłuchaj — mówił łagodnym głosem. Położył rękę na jej ramieniu, ale natychmiast odsunęła się, tak jak poprzednio. — Powiedz im, że chcesz go mieć natychmiast i nie będziesz już wydawać ludzi.

— Czy oni wypuszczą go, jeśli tak powiem?

— Spróbuj.

To na pewno nie zaszkodzi. Jednak… mógł sobie wyobrazić McNulty'ego i to, w jaki sposób patrzy na dziewczynę. Ona nigdy mu się nie przeciwstawi; McNultym tego świata nikt nie zdoła się przeciwstawić. Chyba że coś pójdzie nie tak.

— Czy wiesz, kim jesteś? — spytała Kathy. — Jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Wzruszył ramionami. Jak większość prawd i ta była względna. Może był. Przynajmniej w tej sytuacji. W innych chyba nie. Kathy nie mogła jednak o tym wiedzieć.

— Usiądź — powiedział. — Głaszcz kota, pij koktajl. Nie myśl o

niczym, po prostu bądź. Potrafsz opróżnić umysł ze wszystkiego? Spróbuj.

Podsunął jej krzesło; posłusznie usiadła.

— Robię to przez cały czas — odparła głuchym głosem. — Pozbądź się negacji. Nastaw się pozytywnie.

— Jak? Co mam zrobić?

— Zrób to w jakimś konkretnym celu, nie po to, żeby oderwać się od paskudnej rzeczywistości. Zrób to, ponieważ kochasz męża i chcesz go odzyskać. Chcesz, żeby wszystko było tak, jak dawniej.

— Tak — zgodziła się — ale teraz spotkałam ciebie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — dociekał ostrożnie; jej odpowiedź zdumiała go.

— Masz więcej uroku od Jacka. On jest pociągający, ale ty o wiele, wiele bardziej. Może po spotkaniu z tobą nie będę go już tak kochać. A może myślisz, że można kochać dwóch mężczyzn jednocześnie, każdego inaczej? Moja grupa terapeutyczna mówi, że nie, że muszę wybrać. Mówią, że to jedna z podstawowych reguł w życiu. Widzisz, to zdarzyło się już kilkakrotnie; spotkałam mężczyzn bardziej pociągających od Jacka… ale żaden z nich nie był tak czarujący jak ty. Teraz naprawdę nie wiem, co robić. Bardzo trudno decydować w takich sprawach, ponieważ nie można z nikim porozmawiać: nikt tego nie rozumie. Trzeba przejść przez to samemu i czasem dokonuje się niewłaściwego wyboru. Na przykład, gdybym wybrała ciebie zamiast Jacka, a on wróciłby i ja miałabym go w nosie, co wtedy? Jak by się czuł? To ważne, ale ważne jest też to, co ja czuję. Jeśli polubię ciebie czy kogoś bardziej od niego, będę musiała to jakoś przeżyć, jak mawiano w naszej grupie terapeutycznej. Czy wiesz, że przez osiem tygodni byłam w szpitalu psychiatrycznym? Klinika Higieny Umysłowej Morningside w Atherton. Moi starzy za to zapłacili. Leczenie kosztowało fortunę, gdyż z jakiegoś powodu nie przysługiwała nam pomoc społecznej ani stanowej służby zdrowia. W każdym razie sporo dowiedziałam się o sobie i zyskałam wielu przyjaciół. Większość ludzi, których naprawdę znam, poznałam w Morningside. Oczywiście, kiedy spotkałam ich pierwszy raz, miałam wrażenie, że to sławni ludzie, tacy jak Mickey Quinn czy Arlene Howe. No wiesz — osobistości. Tacy jak ty.

— Znam zarówno Quinna, jak i Howe, i zapewniam cię, że niewiele straciłaś.

— Może nie jesteś żadną osobistością, może cofnęłam się do fazy urojeń. Mówili, że to może się kiedyś zdarzyć, prędzej czy później. Może właśnie teraz jest to „później” — powiedziała, mierząc go wzrokiem.

— Wtedy — przypomniał — ja byłbym twoją halucynacją. Postaraj się lepiej, jeszcze nie czuję się całkiem rzeczywisty.

Roześmiała się. Mimo to nadal była w ponurym nastroju.

— Czy to nie byłoby dziwne, gdybym cię wymyśliła, tak jak powiedziałeś? A kiedy doszłabym do siebie, ty byś zniknął?

— Nie zniknąłbym, tylko przestałbym być osobistością.

— To już się stało. — Podniosła rękę i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. — Może o to chodzi. Dlatego jesteś osobistością, o której nikt nigdy nie słyszał. Wymyśliłam cię, jesteś produktem mojego chorego umysłu, a teraz znów odzyskuję zdrowe zmysły.

— Solipsystyczne postrzeganie świata…

— Nie mów tak. Wiesz, że nie mam pojęcia, co oznaczają takie słowa. Za kogo ty mnie uważasz? Nie jestem sławna ani wpływowa tak jak ty; jestem tylko kimś, kto wykonuje okropną, straszną robotę, wsadzając ludzi do więzienia. Robię to, ponieważ kocham Jacka bardziej niż resztę ludzkości. Słuchaj — mówiła stanowczo i wyraźnie — jedyne, co trzymało mnie przy zdrowych zmysłach, to fakt, że kochałam Jacka bardziej niż Mickeya Quinna. Widzisz, myślałam, że ten chłopak imieniem David to naprawdę Mickey Quinn, a było powszechnie wiadomo, że Mickey Quinn zwariował i poszedł do szpitala psychiatrycznego, żeby dojść do siebie, o czym nikt nie miał wiedzieć, ponieważ to zniszczyłoby jego image. Dlatego udawał, że ma na imię David, ale ja znałam prawdę, a raczej myślałam, że ją znam. Doktor Scott powiedział, że muszę wybrać między Jackiem a Davidem, czy też między Jackiem a Mickeyem Quinnem, za którego go brałam. Wybrałam Jacka i tak doszłam do siebie. Może… — zawahała się, bliska płaczu — może teraz zrozumiesz, dlaczego muszę uważać, że Jack jest ważniejszy od wszystkiego i każdego, od wszystkich, inaczej… Rozumiesz? Zrozumiał. Kiwnął głową.

— Nawet taki mężczyzna jak ty — powiedziała Kathy — który ma więcej magnetyzmu od niego, nawet ty nie zdołasz odciągnąć mnie od Jacka.

— Nie zamierzam. Wydało mu się, że powinien to powiedzieć.

— Tak — zamierzasz. W pewien sposób. To współzawodnictwo.

— Dla mnie jesteś tylko małą dziewczynką w małym pokoiku w małym budynku. Dla mnie cały ten świat i każdy w nim jest mój.

— Nie wtedy, kiedy siedzisz w obozie pracy.

Musiał przyznać jej rację skinieniem głowy. Kathy miała denerwujący zwyczaj odpierania ataku.

— Teraz trochę rozumiesz — powiedziała — prawda? O mnie i Jacku, a także dlaczego mogę iść z tobą do łóżka, nie krzywdząc Jacka? Kiedy byłam w Morningside, poszłam do łóżka z Davidem, ale Jack zrozumiał: wiedział, że musiałam to zrobić. Czy ty byś zrozumiał?

— Jeśli byłaś psychicznie…

— Nie, nie dlatego. Ponieważ moim przeznaczeniem było pójść

do łóżka z Mickey-em Quinnem. Tak musiało być, odegrałam moją kosmiczną rolę. Rozumiesz?

— W porządku — rzekł łagodnie.

— Myślisz, że jestem pijana. — Kathy spojrzała na swój koktajl. — Masz rację, za wcześnie na drinka. — Odstawiła na pół opróżnioną szklankę. — Jack rozumiał, a przynajmniej mówił, że rozumie. Czyżby kłamał? Żeby mnie nie stracić? Ponieważ gdybym musiała wybierać między nim a Mickeyem Quinnem… — urwała. — Przecież wybrałam Jacka. Zawsze tak będzie. A jednak musiałam pójść do łóżka z Davidem. A właściwie z Mickeyem Quinnem.

Wpakowałem się w znajomość ze skomplikowaną, dziwną, chorą istotą, powiedział sobie Jason Taverner. Pokręconą tak samo jak Heather Hart, a nawet bardziej. Bardziej niż ktokolwiek, kogo spotkałem przez czterdzieści dwa lata życia. Tylko jak mam się jej pozbyć, żeby o wszystkim nie dowiedział się McNulty? Chryste, pomyślał z niesmakiem. Może nie zdołam. Może ona tylko bawi się mną, a kiedy się znudzi, wezwie gliny. A wtedy koniec ze mną.

— Czy nie uważasz — powiedział głośno — że przez ponad czterdzieści lat nauczyłem się, jak sobie z tym radzić?

— Ze mną? — spytała sprytnie. Kiwnął głową.

— Myślisz, że kiedy pójdziesz ze mną do łóżka, wydam cię glinom.

Jeszcze nie doszedł do tego wniosku. Był jednak bliski. Dlatego rzekł ostrożnie:

— Myślę, że na swój niezręczny, niewinny, dziewiętnastoletni sposób nauczyłaś się wykorzystywać ludzi. Uważam to za okropne. A kiedy raz zaczniesz, nie możesz przestać. Nawet nie wiesz, że to robisz.

— Nigdy bym cię nie wydała. Ja cię kocham.

— Znasz mnie zaledwie od pięciu godzin. Nawet mniej.

— Mimo to wiem. Jej głos, jej wyraz twarzy zdradzał głębokie przekonanie i powagę.

— Nawet nie jesteś pewna, kim jestem!

— Nigdy nie jestem pewna, kto kim jest. Co do tego musiał jej przyznać rację. Mimo to spróbował innej taktyki.

— Słuchaj. Jesteś dziwną kombinacją niewinnej romantyczki i… — urwał; nasuwało mu się słowo „podstępna”, ale szybko je odrzucił — i wyrachowanej, zręcznej manipulatorki.

Jesteś, myślał, umysłową prostytutką. Prostytuujesz się w myślach z każdym i ze wszystkim. Chociaż nigdy tego nie pojmiesz. A nawet gdyby, stwierdzisz, że zostałaś do tego zmuszona. Tak, zmuszona, tylko przez kogo? Przez Jacka? Przez Davida? Przez siebie samą, myślał. Przez to, że chciałaś dwóch mężczyzn jednocześnie — i miałaś obu.

Biedny Jack, myślał. Ty biedny, cholerny draniu. Szufujesz gówna gdzieś w obozie pracy na Alasce, czekając, aż uratuje cię ta wariatka. Nie wstrzymuj oddechu.

Tego wieczoru, bez entuzjazmu, jadł z Kathy kolację we włoskiej restauracji opodal jej pokoju. Zdawała się znać właściciela i kelnerów; w każdym razie powitali ją, a ona z roztargnieniem odpowiedziała na powitania, jakby ledwie je słyszała. A może, pomyślał Jason, ledwie zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest.

Dziewczynko, myślał, gdzie reszta twego ducha?

— Lasagna jest bardzo smaczna — powiedziała Kathy, nie patrząc na jadłospis; wydawała się teraz bardzo daleka i oddalała się coraz bardziej. Z każdą chwilą. Wyczuł nadchodzący kryzys. Jednakże nie znał jej dość dobrze, nie miał pojęcia, jaką przybierze formę. Nie podobało mu się to.

— Kiedy wybuchasz — spytał nagle, usiłując ją zaskoczyć — co robisz?

— Och — odparła obojętnie — rzucam się na podłogę i wrzeszczę albo kopię każdego, kto próbuje mnie powstrzymać, kto narusza moją wolność.

— Masz teraz na to ochotę? Spojrzała na niego.

— Tak.

Zobaczył, że jej twarz zmieniła się w maskę bólu i udręki. Oczy pozostały jednak suche. Tym razem nie będzie łez.

— Nie brałam leków. Powinnam zażywać dwadzieścia miligramów aktozyny dziennie.

— Dlaczego jej nie brałaś?

Nigdy nie przestrzegają zaleceń lekarza; już kilka razy spotkał się z takim przypadkiem.

— Otępia — odparła, dotykając nosa palcem wskazującym, jakby dopełniała jakiegoś skomplikowanego rytuału, który powinien być wykonany niezwykle dokładnie.

— Skoro jednak…

— Nie będą się pierdolić z moim umysłem — przerwała mu Kathy ostrym tonem. — Nie pozwolę na to żadnym UP. Wiesz, kto to jest UP?

— Chyba właśnie mi powiedziałaś.

Mówił cicho i spokojnie, kierując całą uwagę na nią… jakby próbował utrzymać ją w ryzach, zachować przy zdrowych zmysłach. Podano jedzenie. Było okropne.

— Czyż to nie jest cudownie, autentycznie włoskie? — spytała Kathy, nawijając spaghetti na widelec.

— Tak — przytaknął niepotrzebnie.

— Myślisz, że zamierzam wybuchnąć, i nie chcesz mieć nic z tym wspólnego.

— Zgadza się.

— To wyjdź.

— Ja… — zawahał się. — Lubię cię. Chcę mieć pewność, że nic ci nie jest.

Łagodne kłamstwo, z rodzaju tych, jakie aprobował. Brzmiało lepiej, niż gdyby powiedział: Jak tylko wyjdę, nie minie dwadzieścia sekund, a zadzwonisz do McNulty'ego. Był tego niemal pewien.

— Nic mi nie będzie. Odprowadzą mnie do domu. Niedbałym gestem wskazała na ludzi w restauracji: klientów, kelnerów i kasjera. Na kucharza pocącego się w przegrzanej, źle wietrzonej kuchni. Na pijaka przy barze, bawiącego się szklanką piwa Olympia.

— Nie bierzesz odpowiedzialności — rzekł, ostrożnie dobierając słowa, przekonany, że postępuje właściwie.

— Za kogo? Nie biorę odpowiedzialności za twoje życie, jeśli o tym mówisz. To twoja robota. Nie obciążaj mnie tym.

— Odpowiedzialności — powtórzył — za konsekwencje swojego postępowania.

Dryfujesz moralnie i etycznie. Wynurzysz się to tu, to tam, a potem znów idziesz pod wodę. Jakby nic się nie stało. Niech inni męczą się z falami przypływu.

Uniosła głowę, spojrzała mu w oczy i odparła:

— Zraniłam cię? Ocaliłam cię przed policją, to właśnie zrobiłam. A może źle postąpiłam? Co?

Jej głos przybrał na sile. Patrzyła na niego bezlitosnym, nieruchomym wzrokiem, nadal trzymając widelec z nawiniętym spaghetti. Westchnął. To beznadziejne.

— Nie — powiedział. — Dobrze zrobiłaś. Dziękuję. Doceniam to.

Mówiąc to, czuł, jak ogarnia go fala nienawiści za to, że tak go omotała. Jedna mała, zwyczajna dziewiętnastolatka, usidlająca takiego dojrzałego szóstaka jak on — to było tak nieprawdopodobne, że chwilami miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Z drugiej strony jego sytuacja wcale nie była zabawna.

— Czy jestem dla ciebie miła? — dociekała.

— Tak.

— Czujesz moją miłość do ciebie, prawda? Posłuchaj. Można ją niemal usłyszeć.

— Przez chwilę bacznie nasłuchiwała. — Moja miłość rośnie jak delikatna winorośl.

Jason skinął na kelnera.

— Co tutaj macie? — spytał szorstko. — Tylko piwo i wino?

— Jest jeszcze kompot, sir. Z najlepszej odmiany Acapulco Gold. I haszysz, pierwsza klasa.

— Ale żadnych mocniejszych trunków?

— Nie, sir. Ruchem ręki odprawił kelnera.

— Potraktowałeś go jak służącego — rzekła Kathy.

— Tak — przyznał i głośno jęknął. Zamknął oczy, pomasował nasadę nosa. Równie dobrze może dociągnąć to do końca; w końcu jednak zdołał wywołać jej gniew. — To kiepski kelner i kiepska restauracja. Chodźmy stąd.

— A więc tak zachowuje się osobistość. Rozumiem — powiedziała złośliwie Kathy i odłożyła widelec.

— Co wydaje ci się, że rozumiesz? — spytał, nie usiłując załagodzić sytuacji. Porzucił rolę wyrozumiałego przyjaciela i nigdy do niej nie wróci. Wstał i sięgnął po płaszcz.

— Idę — oznajmił. Włożył płaszcz.

— O Boże — powiedziała Kathy, zamykając oczy; jej usta, zniekształcone grymasem, były szeroko otwarte. — O Boże. Nie. Coś ty narobił? Czy wiesz, co zrobiłeś? Czy w pełni zdajesz sobie sprawę? Czy rozumiesz?

A potem, z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami, odchyliła głowę i zaczęła krzyczeć. Nigdy w życiu nie słyszał takich wrzasków; stał jak sparaliżowany, gdy te dźwięki — oraz widok skurczonej, wykrzywionej twarzy — ogłuszały go i otępiały. To krzyk udręczonej psychiki, mówił sobie, płynący z głębi podświadomości, nie wydawany przez jedną osobę, lecz przez całe społeczeństwo.

Wiedział, że to nie pomoże.

Właściciel i dwaj kelnerzy biegli do nich, wciąż ściskając jadłospisy. Jason widział i zapamiętał najdrobniejsze szczegóły. Wydawało się, że wszystko zastygło w bezruchu na dźwięk jej wrzasków: goście unoszący widelce, opuszczający łyżki, żujący… wszystko znieruchomiało, pozostał tylko straszliwy, okropny wrzask.

Słyszał wypowiadane przez nią słowa. Brzydkie słowa, jakby odczytywane z jakiegoś płotu. Krótkie, mszczące słowa skierowane do wszystkich w restauracji, także do niego. Szczególnie do niego.

Właściciel, gwałtownie ruszając wąsem, skinął na kelnerów, którzy podnieśli Kathy z krzesła, chwycili pod ręce i na znak szefa wyciągnęli zza stolika, przenieśli przez salę i wyprowadzili na ulicę.

Zapłacił rachunek i pospieszył za nimi.

Przy wyjściu zatrzymał go właściciel. Wyciągał rękę.

— Trzysta dolarów — powiedział.

— Za co? Za wyniesienie jej na ulicę?

— Za to, że nie wezwałem policji — odparł właściciel. Jason zapłacił w ponurym milczeniu.

Kelnerzy posadzili ją na chodniku, blisko krawężnika. Teraz siedziała cicho, zasłaniając rękami oczy, kołysząc się i bezgłośnie poruszając wargami. Kelnerzy obserwowali ją przez chwilę, widocznie sprawdzając, czy nie sprawi więcej kłopotów, a następnie pospieszyli z powrotem do restauracji. Zostawili go z Kathy na chodniku, pod

czerwono-białym neonem.

Klęknąwszy przy niej, położył rękę na jej ramieniu. Tym razem nie odsunęła się.

— Przykro mi — powiedział. I mówił szczerze. — Zdenerwowałem cię.

Sprawdziłem cię, powiedział sobie, i okazało się, że nie blefowałaś. Dobrze, wygrałaś.

Poddaję się. Od tej pory będzie, jak chcesz. Tylko powiedz, czego chcesz. Pomyślał: tylko pospiesz się, na Boga. Uwolnij mnie najszybciej, jak możesz. Miał przeczucie, że to nie nastąpi zbyt szybko.

5

Ręka w rękę szli razem wieczorną ulicą; wokół nich współzawodniczyły, błyskały, mrugały, jarzyły się barwne plamy tworzone przez wirujące, pulsujące, drgające światła neonów. Takie sąsiedztwo nie cieszyło go; widział to milion razy, w nieskończoność powielane w różnych miejscach kuli ziemskiej. Od czegoś takiego uciekł przed laty, wykorzystując swoje szóstacze zdolności, ale teraz musiał wrócić.

Nie miał nic przeciwko ludziom, widział w nich uwięzionych tu zwyczajnych, którzy bez własnej winy mieli pozostać tutaj na zawsze. Nie oni to wymyślili, nie lubili tego, znosili to z trudem, tak samo jak on. Prawdę mówiąc, miał poczucie winy, patrząc na ich ponure twarze i skrzywione usta, zaciśnięte i nieszczęśliwe.

— Tak — odezwała się wreszcie Kathy. — Chyba naprawdę zakochałam się w tobie, ale to twoja wina, to ten magnetyczny urok, jaki emanujesz. Czy wiesz, że ja go widzę?

— O rany! — rzekł machinalnie.

— Jest jak ciemnopurpurowy aksamit — oznajmiła Kathy, ściskając jego dłoń zdumiewająco silnymi palcami. — Bardzo intensywny. A czy widzisz moją magnetyczną aurę?

— Nie.

— To dziwne. Myślałam, że ją widzisz.

Teraz wydawała się całkiem spokojna; epizod z przeraźliwym krzykiem minął, przynosząc względne ukojenie. Osobowość zbliżona do pseudoepileptycznej, stwierdził. Tak mija jej dzień za dniem, aż…

— Moja aura — przerwała mu te rozważania — jest jasnoczerwona. Ma kolor namiętności.

— Cieszę się — odparł Jason.

Przystanęła i spojrzała mu w oczy. Chciała coś z nich wyczytać. Miał nadzieję, że nie zdoła.

— Jesteś wściekły, ponieważ przestałam panować nad sobą? — dopytywała się.

— Nie.

— Wydaje się, że tak. Myślę, że jesteś wściekły. No cóż, chyba tylko Jack to rozumie. I Mickey.

— Mickey Quinn — powiedział w zadumie.

— Czy to nie wspaniała postać? — spytała Kathy. Mógłby jej dużo o tym powiedzieć, ale to nie miało sensu.

Ona wcale nie chciała wiedzieć; uważała, że już wszystko wie. I w co jeszcze wierzysz, mała dziewczynko? — zastanawiał się. Na przykład, jak sądzisz, co wiesz o mnie? Równie mało co o Mickeyu Quinnie czy Arlene Howe i wszystkich pozostałych, którzy dla ciebie

w rzeczywistości nie istnieją? Pomyśl, co mógłbym ci opowiedzieć, gdybyś — choć przez chwilę — mogła mnie wysłuchać; ale ty nie możesz tego słuchać. Przeraziłyby cię moje słowa. A zresztą, przecież ty już wszystko wiesz.

— Jak to jest — zapytał — spać z tyloma sławnymi ludźmi?

Stanęła jak wryta.

— Uważasz, że spałam z nimi dlatego, że byli sławni? Za kogo ty mnie bierzesz, za jakąś dziwkę? Naprawdę tak o mnie myślisz?

Jak lep na muchy, pomyślał. Omotywała go każdym wypowiedzianym przez niego słowem. Nie mógł wygrać.

— Uważam — odparł — że miałaś interesujące życie. Jesteś interesującą osobą.

— I ważną — dodała Kathy.

— Tak — potwierdził. — I ważną. Pod pewnymi względami najważniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. To zdumiewające przeżycie.

— Naprawdę tak uważasz?

— Tak — powiedział z przekonaniem. W pewien szczególny, pokrętny sposób rzeczywiście tak było. Nikt nigdy nie omotał go tak dokładnie, nawet Heather. Nie mógł znieść tego, przez co musiał teraz przechodzić, ale nie był też w stanie uciec. Miał wrażenie, że siedzi za kierownicą swojego unikatowego, robionego na zamówienie śmigacza, patrząc, jak zapala się jednocześnie czerwone, zielone i pomarańczowe światło: sytuacja bez wyjścia. Sprawiła to irracjonalność jej zachowania. Straszliwa siła, myślał, braku logiki. Archetypów. Działająca z przepastnych głębi zbiorowej podświadomości, która łączyła go z nią — i z każdym — węzłem, którego nie da się rozsupłać, dopóki żyją.

Nic dziwnego, pomyślał, że niektórzy ludzie, wielu ludzi marzy o śmierci.

— Chcesz pójść pooglądać kapitana Kirka? — spytała Kathy.

— Jeśli masz ochotę — odparł krótko.

— Idzie całkiem niezły w kinie numer dwanaście. Akcja toczy się na planecie w układzie Betelgeuzy, coś jak planeta Tarberga… no wiesz, w układzie Proximy. Tym razem jest zamieszkana przez sługusów niewidzialnego…

— Widziałem to — przerwał. Istotnie, rok temu gościł w programie Jefa Pomeroya, który grał w tym flmie kapitana Kirka. Puścili nawet krótki urywek — zwykły chało-waty produkt studia Pomeroya o przybyszach z kosmosu. Nie spodobał mu się wtedy i wątpił, czy spodobałby mu się teraz. Poza tym gardził Jefem Pomeroyem zarówno na ekranie, jak i poza nim. I to, jeśli o niego chodzi, zamykało sprawę.

— Naprawdę był do niczego? — spytała ufnie Kathy.

— Jef Pomeroy — odpowiedział — jest, moim zdaniem, najstraszliwszym dupkiem na świecie. On i jemu podobni. Jego naśladowcy.

— Przez jakiś czas był w Morningside. Nie znałam go dobrze, ale był tam.

— Wierzę — rzekł, na pół przekonany.

— Wiesz, co mi kiedyś powiedział?

— O ile go znam — zaczął Jason — podejrzewam…

— Powiedział, że jestem najspokojniejszą osobą, jaką zna. Czy to nie interesujące? Widział, jak zapadam w jeden z moich transów… no wiesz: kiedy leżę i krzyczę, a jednak powiedział coś takiego. Myślę, że to bardzo bystry człowiek, naprawdę. Nie uważasz?

— O tak.

— Czy możemy teraz wrócić do mojego pokoju? — spytała Kathy. — I pieprzyć się jak króliki?

Jęknął ze zdumienia. Czy naprawdę to powiedziała? Obrócił się i usiłował wyczytać coś z jej twarzy, ale właśnie przechodzili między neonami; było ciemno. Jezu, powiedział sobie. Muszę się jakoś z tego wyrwać! Muszę odnaleźć drogę do mojego świata!

— Czy moja szczerość cię niepokoi?

— Nie — odparł ponuro. — Szczerość nigdy mnie nie niepokoi. Gdy się jest osobistością, trzeba do niej przywyknąć. — Nawet do takiej, pomyślał. — Do wszelkich rodzajów szczerości — ciągnął. — Przede wszystkim do takiej jak twoja.

— A jaka jest ta moja? — spytała Kathy.

— To szczera szczerość.

— A więc naprawdę mnie rozumiesz.

— Tak — skinął głową. — Naprawdę.

— I nie spoglądasz na mnie z góry? Jak na nic niewartą osóbkę, która powinna być martwa?

— Nie — rzekł. — Jesteś bardzo ważną osobą i bardzo uczciwą. Jedną z najuczciwszych i najbardziej bezpośrednich osób, jakie spotkałem w życiu. Tak uważam, przysięgam na Boga.

Przyjaźnie poklepała go po ramieniu.

— Nie musisz aż tak się podniecać. Zachowuj się naturalnie.

— Jestem naturalny — zapewnił ją. — Mówię szczerze.

— To dobrze — powiedziała Kathy. Była uszczęśliwiona. Najwidoczniej rozwiał jej obawy; była go już pewna. A od tego zależało jego życie… Czy rzeczywiście? Czy nie kapitulował przed jej patologicznym rozumowaniem? W tym momencie sam już nie wiedział.

— Słuchaj — zaczął niepewnie. — Zamierzam ci coś powiedzieć i chcę, żebyś uważnie słuchała. Powinnaś siedzieć w szpitalu dla umysłowo chorych. — Dziwne, przerażające, ale nie zareagowała; nic

nie powiedziała. — Ponadto — dodał — zamierzam uciec od ciebie najdalej, jak zdołam.

Wyrwał rękę, odwrócił się i poszedł w przeciwną stronę, ignorując ją. Zagubił się wśród zwyczajnych, którzy kłębili się na nędznych, oświetlonych neonami ulicach tej odpychającej dzielnicy.

Zgubiłem ją, myślał, a przy okazji zgubiłem też siebie.

I co teraz? Przystanął i rozejrzał się wokół. Czy noszę mikronadajnik, tak jak mówiła? — zadawał sobie pytanie. Czy zdradzam się przy każdym kolejnym kroku?

Miły Charley, pomyślał, radził mi odszukać Heather Hart. Jak wiedzą wszyscy związani z telewizją, Miły Charley nigdy się nie myli.

Tylko czy pożyję wystarczająco długo, żeby dotrzeć do Heather Hart? A jeśli do niej dotrę i noszę mikronadajnik, czy nie skażę jej w ten sposób na śmierć? Jak nosiciel choroby zakaźnej. Poza tym, myślał, jeśli nie zna mnie Al Bliss ani Bili Wolfer, dlaczego miałaby mnie znać Heather? Heather jest jednak szóstakiem, jak ja. Jedynym szóstakiem, jakiego znam. Może na tym polega różnica, jeśli w ogóle jest jakaś różnica.

Znalazł budkę telefoniczną, wszedł, zamknął drzwi, odcinając się od hałasu ulicznego, i wrzucił do otworu złotą monetę.

Heather Hart miała kilka zastrzeżonych numerów telefonu: kilka dla spraw służbowych, kilka dla bliskich przyjaciół, a jeden — mówiąc bez ogródek — dla kochanków. On, oczywiście, znał ten numer, będąc dla Heather tym, kim był — i — miał nadzieję — jest nadal.

Ekran rozjaśnił się. Dostrzegł przesuwające się kształty świadczące o tym, że odebrała telefon w samochodzie.

— Cześć — powiedział Jason.

— Kim do diabła jesteś? — spytała Heather, osłaniając oczy, żeby go dostrzec. Jej zielone oczy błyszczały. Rude włosy lśniły.

— Jason.

— Nie znam nikogo o imieniu Jason. Skąd masz ten numer? Była zaniepokojona, a także szorstka.

— Rozłącz się, do cholery! — wrzasnęła, marszcząc brwi, i spytała ponownie: — Kto dał ci ten numer? Podaj mi jego nazwisko.

— Ty podałaś mi ten numer sześć miesięcy temu, kiedy zainstalowałaś ten telefon. Najbardziej prywatna z twoich prywatnych linii, prawda? Czy nie tak powiedziałaś?

— Kto ci to powiedział?

— Ty. Byliśmy w Madrycie. Ty na planie, a ja na sześciotygodniowych wakacjach pół mili od twojego hotelu. Przylatywałaś po mnie swoim rollsem codziennie około trzeciej po południu. Zgadza się?

— Czy reprezentujesz jakąś gazetę? — spytała Heather uprzejmym, dobitnym głosem.

— Nie — odparł Jason. — Jestem twoim ukochanym numer jeden.

— Kim?

— Twoim kochankiem.

— Jesteś fanem? Jesteś fanem, cholernym zboczonym fanem. Zabiję cię, jeśli nie zostawisz mnie w spokoju.

Obraz i dźwięk znikł, Heather rozłączyła się. Wrzucił w otwór nową monetę i ponownie wykręcił ten sam numer.

— To znowu ten zboczony fan — odezwała się Heather. Tym razem wydawała się spokojniejsza, a może zrezygnowana.

— Masz jeden sztuczny ząb — powiedział Jason. — Kiedy jesteś z kochankiem, przyklejasz go specjalnym klejem epoksydowym, który kupujesz u Harneya. Przy mnie czasem go wyjmujesz i wkładasz do szklanki z pianką dentystyczną doktora Slooma. Ten środek najbardziej lubisz, ponieważ, jak powtarzasz, przypomina ci czasy, kiedy Bromo Seltzer był legalnym, a nie czarnorynkowym środkiem, wyprodukowanym w jakimś podziemnym laboratorium z trzech bromków, które fabryka Seltzera zarzuciła wiele lat temu, kiedy…

— Skąd masz te informacje? — przerwała mu Heather. Miała kamienną twarz — mówiła krótkimi zdaniami. Ton jej głosu… słyszał go już przedtem. Heather mówiła tak do ludzi, którymi gardziła.

— Nie mów do mnie tym swoim „pieprzę cię" tonem — powiedział ze złością.

— Twój sztuczny ząb to trzonowy. Nazywasz go Andy. Zgadza się?

— Zboczony fan wie o mnie wszystko. Boże. Ziścił się mój najgorszy koszmar. Jak nazywa się twój klub, ilu zrzesza fanów, skąd jesteś i skąd, do cholery, znasz najdrobniejsze szczegóły z mojego życia, których nie powinieneś znać? Oświadczam ci, że łamiesz prawo, to naruszenie prywatności. Nasię na ciebie policję, jeśli zadzwonisz jeszcze raz.

— Wyciągnęła rękę, żeby znów odłożyć słuchawkę.

— Jestem szóstakiem — rzekł Jason.

— Czym? Szóstoklasistą? Masz sześć nóg, czy tak? A może raczej sześć głów.

— Ty również jesteś szóstakiem. Właśnie to zawsze nas łączyło.

— Chyba umrę — powiedziała Heather, szara jak popiół; nawet w słabym świetle kabiny widział, że jej twarz zmieniła barwę. — Ile mam zapłacić, żebyś zostawił mnie w spokoju? Zawsze wiedziałam, że w końcu jakiś zboczony fan…

— Przestań nazywać mnie zboczonym fanem — syknął Jason, doprowadzało go to do furii. Kojarzyło mu się z czymś ostatecznym.

— Czego chcesz? — spytała Heather. — Spotkać się z tobą u Altrocciego.

— No tak, o tym też wiesz. Jedyne miejsce, gdzie mogę pójść, nie narażając się na eja-kulacje świrów, którzy chcą, żebym złożyła autograf na jadłospisie, nie będącym nawet ich własnością. — Westchnęła rozpaczliwie. — No, teraz już nie pójdę. Nie spotkam się z tobą u Altrocciego ani nigdzie. Trzymaj się ode mnie z daleka albo każę moim ochroniarzom uciąć ci jaja i…

— Masz tylko jednego ochroniarza — przerwał Jason. — Ma sześćdziesiąt dwa lata i ma na imię Fred. Kiedyś był snajperem w straży Orange County, załatwiał studenciaków z Cal State Fullerton. Wtedy był niezły, ale teraz nie ma się czym przejmować.

— Rzeczywiście — przyznała Heather.

— No dobrze, daj mi powiedzieć jeszcze coś, o czym nie powinienem mieć pojęcia. Pamiętasz Constance Ellar?

— Tak. To ta beznadziejna gwiazdka podobna do lalki Barbie, tyle że miała za małą główkę, a jej ciało wyglądało tak, jakby ktoś nadmuchiwał je CO2 i przesadził. — Kąciki jej warg uniosły się lekko. — Była cholernie, kompletnie głupia.

— Racja — przyznał. — Cholernie, kompletnie głupia. To odpowiednie określenie. Pamiętasz, co zrobiliśmy jej podczas mojego programu? Wtedy po raz pierwszy pokazała się całej planecie, ponieważ musiałem ją wstawić na zasadzie umowy wiązanej. Pamiętasz, co zrobiliśmy, ty i ja?

Cisza.

— W nagrodę za to, że włączyliśmy ją do show, jej agent zgodził się, żeby nakręciła reklamówkę dla jednego z naszych sponsorów. Zainteresowało nas, jaki to będzie produkt, więc przed występem panny Ellar otworzyliśmy papierową torbę i odkryliśmy, że to krem do depilacji nóg. Boże, Heather, przecież musisz…

— Słucham — powiedziała Heather.

— Zabraliśmy tubkę z kremem i włożyliśmy opakowanie dezodorantu razem z tym samym tekstem, który głosił: „Zademonstrować użycie produktu z zadowolonym wyrazem twarzy”, po czym wynieśliśmy się stamtąd i czekaliśmy.

— Naprawdę?

— W końcu panna Ellar pojawiła się, poszła do swojej garderoby, otworzyła torbę, a potem — do dziś pękam ze śmiechu na to wspomnienie — przyszła do mnie i zupełnie poważnie powiedziała: „Panie Taverner, przepraszam, że niepokoję, ale żeby zademonstrować intymny dezodorant kobiecy, będę musiała zdjąć spódniczkę i majteczki przed kamerą telewizyjną”. „I co z tego? — odpowiedziałem. — W czym problem?” A panna Ellar na to: „Będzie mi potrzebny stoliczek, na którym położę rzeczy. Nie mogę ich po prostu rzucić na podłogę, to nie wyglądałoby dobrze. Będę rozpylała to do pochwy na oczach sześćdziesięciu milionów widzów, a robiąc

coś takiego, nie można rozrzucać ciuchów po podłodze, to nie byłoby eleganckie". Naprawdę zrobiłaby to przed kamerą, gdyby Al Bliss nie…

— To niesmaczne.

— Mimo to uważałaś, że to bardzo śmieszne. Ta cholernie, kompletnie głupia dziewczyna gotowa była zrobić coś takiego na oczach widzów. „Zademonstrować użycie produktu z zadowolonym wyrazem twarzy"…

Heather odłożyła słuchawkę.

Jak sprawić, żeby zrozumiała? — zadawał sobie pytanie, zgrzytając zębami, niemal wyłamując srebrną plombę. Nie znosił tego wrażenia — zgrzytu srebrnej plomby. Niszczenie własnego ciała z bezsilnej złości. Czy ona nie rozumie, że moja znajomość wszystkich szczegółów z jej życia oznacza coś ważnego? Kto wiedziałby o takich sprawach? Oczywiście tylko ktoś, kto przez jakiś czas pozostawał z nią w bliskich stosunkach. Nie mogło być innego wyjaśnienia, a jednak ona upierała się przy jakiejś karkołomnej teorii, której nie mógł obalić. Tymczasem wyjaśnienie miała tuż przed oczami, swoimi szóstaczymi oczami.

Jeszcze raz wrzucił monetę i wybrał numer.

— Witaj znowu — rzekł, kiedy Heather w końcu odebrała telefon. — To również wiem o tobie: nie możesz słuchać, jak dzwoni telefon, dlatego masz dziesięć prywatnych numerów, każdy do innego celu.

— Mam trzy — odparła Heather. — Tak więc nie wiesz wszystkiego.

— Chciałem tylko…

— Ile?

— Mam już tego dość — rzekł bez ogródek. — Nie możesz mnie kupić, ponieważ nie tego chcę. Chcę — słuchaj mnie, Heather — chcę dowiedzieć się, dlaczego nikt mnie nie zna. Przede wszystkim ty. Ponieważ jesteś szóstaczką, myślałem, że zdołasz to wyjaśnić. Czy zachowałaś o mnie jakiekolwiek wspomnienie? Popatrz na mój obraz na ekranie. Patrz!

Zerknęła, unosząc jedną brew.

— Jesteś młody, ale niezbyt młody. Dość przystojny. Mówisz rozkazującym tonem i nie masz oporów przed takim dokuczaniem mi. Wyglądasz, mówisz i zachowujesz się dokładnie tak, jak zboczony fan. I co, jesteś zadowolony?

— Mam kłopoty — wyznał. Mówiąc to, postąpił irracjonalnie, skoro wcale go nie pamiętała. Z biegiem lat przywykł opowiadać jej o swoich kłopotach i słuchać jej zwierzeń, więc trudno mu było zerwać z tym przyzwyczajeniem. Nawyk zignorował to, co on uznał za rzeczywistość: rządził się własnymi prawami.

— To okropne — powiedziała Heather.

— Nikt mnie nie pamięta. Nie mam metryki, nigdy się nie urodziłem, po prostu mnie nie ma! Nie mam, oczywiście, żadnych dokumentów oprócz podrobionych, które kupiłem od informatora policyjnego za dwa tysiące dolarów plus tysiąc za kontakt. Mam je przy sobie, chociaż, na Boga, mogą w nich być zaszyte mikronadajniki! Nawet wiedząc o tym, musiałem je zatrzymać; wiesz, dlaczego — nawet ty, na szczycie, nawet ty wiesz, jak funkcjonuje to społeczeństwo. Wczoraj miałem trzydzieści milionów widzów, którzy wyliby z wściekłości, gdyby jakiś gliniarz czy żołdak choćby dotknął mnie palcem. Dzisiaj stoi przede mną widmo OP.

— Co to jest OP?

— Obóz Pracy — warknął, usiłując przemówić do niej i wreszcie ją przekonać. — Ta wściekła mała suka, która podrobiła moje papiery, zmusiła mnie, żebym zabrał ją na kolację do jakiejś zakazanej, nędznej, makaroniarskiej restauracji, a kiedy tam siedzieliśmy, rozmawiając, nagle rzuciła się na podłogę i zaczęła wrzeszczeć. Psychiczna, sama przyznała, że uciekła z Morningside. To kosztowało mnie kolejne trzy setki, a teraz, kto wie? Może już napuściła na mnie gliny i wojsko. — Jeszcze bardziej użalając się nad sobą, dodał: — Pewnie już założyli podsłuch na tej linii.

— Och, Chryste, nie! — wrzasnęła Heather i znów rzuciła słuchawkę.

Nie miał już więcej złotych monet. Musiał zrezygnować. To była głupota, uświadomił sobie, mówić o podsłuchu. Każdy odłożyłby słuchawkę. Zaplątałem się we własną pajęczynę słów, jak stary pająk. Omotałem jak kokonem. Idealnie płaskim z obu końców. Jak wielki sztuczny odbyt.

Pchnął drzwi budki telefonicznej i wyszedł na ruchliwą, wieczorną ulicę… naprzód, pomyślał cierpko, do Slumsville, gdzie kręcą się policyjni kapusie. Dobra robota, jak głosiła klasyczna reklama drożdżówek, o której uczyliśmy się w szkole — powiedział sobie.

To byłoby zabawne, pomyślał, gdyby zdarzyło się komuś innemu. Przytrafło się jednak mnie. Nie, to wcale nie jest śmieszne, ponieważ prawdziwe cierpienie i prawdziwa śmierć krążą nade mną cały dzień, gotowe uderzyć w każdej chwili.

Gdybym mógł nagrać rozmowę telefoniczną i wszystko, co powiedziała mi Kathy. Trójwymiarowy i w kolorze, byłby to świetny kawałek do mojego programu, gdzieś pod koniec, kiedy czasem brakuje nam materiału. Czasem, akurat; przeważnie. Zawsze. Do końca życia.

Już słyszał swoje wprowadzenie. „Co może przytrafć się człowiekowi, dobremu człowiekowi, nie notowanemu przez policję,

człowiekowi, który pewnego dnia gubi swoje dokumenty i staje przed…" I tak dalej. To przykułoby ich uwagę, tych trzydziestu milionów, bo każdy z nich tego się obawia. „Niewidzialny człowiek — mówiłby dalej — a jednak aż nazbyt rzucający się w oczy. Niewidzialny legalnie, podejrzany jako nielegalny. Co stanie się z takim człowiekiem, jeżeli nie zdoła odzyskać…" Ble-ble. I tak dalej. Do diabła z tym. Nie wszystko, co zrobił czy powiedział, albo co przydarzyło mu się w życiu, włączał do swego programu; tak więc dajmy spokój. Kolejny przegrany, wśród tłumu. Wielu ma powołanie, powiedział sobie, lecz niewielu jest wybranych. Właśnie na tym polega zawodowstwo. W ten sposób radzę sobie, publicznie i prywatnie. Ogranicz straty i uciekaj, kiedy musisz, zacytował samego siebie z dobrych czasów, kiedy jego pierwszy ogólnoświatowy show został wprowadzony do sieci satelitarnej.

Znajdę innego fałszerza dokumentów, postanowił, który nie jest policyjnym informatorem, i kupię nowy zestaw dokumentów bez mikronadajników. Poza tym, najwyraźniej potrzebna mi broń. Powinienem pomyśleć o tym już wtedy, kiedy obudziłem się w pokoju hotelowym, powiedział sobie. Kiedyś, przed laty, kiedy Syndykat Reynoldsa usiłował przejąć jego program, Jason nauczył się posługiwać bronią i nosić ją: spluwę o zasięgu dwóch mil i trajektorii pocisku zmieniającej się dopiero na odcinku ostatnich trzystu metrów.

„Mistyczny trans" Kathy, jej atak. Podkładem dźwiękowym byłby głos dojrzałego mężczyzny, mówiącego na tle jej wrzasków: „Oto przykład psychozy. Psychoza oznacza cierpienie, cierpienie ponad wszelkie…" I tak dalej. Ble-ble. Wciągnął potężny, głęboki haust zimnego nocnego powietrza, zadrżał i z rękami wbitymi w kieszenie spodni dołączył do innych pasażerów na morzu chodnika.

Znalazł się przed długą kolejką do policyjnego posterunku kontrolnego. Jeden policjant w szarym uniformie stał na końcu kolejki, pilnując, aby nikt nie odszedł w przeciwnym kierunku.

— Może zechcesz zaczekać, przyjacielu? — powiedział do Jasona, który mimowolnie się cofnął.

— Pewnie — odparł Jason.

— To dobrze — rzekł wesoło policjant. — Bo sprawdzamy tu od ósmej rano i jeszcze nie wyrobiliśmy normy.

6

Dwaj krzepcy policjanci, kontrolujący mężczyznę stojącego przed Jasonem, stwierdzili jednocześnie:

— Podrobiono je godzinę temu, są jeszcze mokre. Widzisz? Widzisz, jak tusz spływa przy ogrzaniu? No, dobra.

Kiwnęli głowami i mężczyzna, pochwycony przez czterech brutalnych policjantów, zniknął w zaparkowanym opodal pojeździe, o złowieszczo szaro-czarnych, policyjnych barwach.

— No dobra — powiedział wesoło do Jasona jeden z dwóch krzepkich policjantów. — Sprawdźmy, kiedy wydrukowano pańskie.

— Mam je od lat — rzekł Jason. Podał policjantom portfel z siedmioma różnymi dokumentami.

— Sprawdź podpisy — polecił starszy rangą swojemu towarzyszowi. — Zobacz, czy się nałożą.

Kathy miała rację.

— Nie — powiedział młodszy policjant, odkładając służbową kamerę. — Są różne.

Wydaje się jednak, że w tym, w książeczce wojskowej, była mikroplamka, którą wydrapano. Jeśli tak, to zrobił to fachowiec. Można to dostrzec dopiero przy powiększeniu.

Przesunął szkło powiększające i lampę, ukazując najdrobniejsze szczegóły podrobionych dokumentów Jasona.

— Widzisz?

— Czy kiedy skończył pan służbę — zwrócił się do Jasona starszy policjant — w tej książeczce była elektroniczna plamka? Pamięta pan?

Obaj przyglądali mu się czujnie, czekając na odpowiedź. Co mam, do diabła, powiedzieć? — zadawał sobie pytanie.

— Nie wiem — rzekł. — Nawet nie wiem, jak wygląda… — Chciał powiedzieć „plamka mikronadajnika", ale szybko — miał nadzieję, że dostatecznie szybko — zmienił zamiar i dokończył: — … elektroniczna plamka.

— Jak zwykła plamka, proszę pana — poinformował go młodszy policjant. — Cóż to, nie słyszy pan? Może jest pan na prochach? Popatrz: w jego rejestrze narkomana nie ma wpisu na ostatni rok.

— Co dowodzi, że nie są podrobione, bo kto wystawiałby fałszywy dokument świadczący o popełnieniu przestępstwa? Chyba tylko wariat — odezwał się jeden z posterunkowych.

— Tak — mruknął Jason.

— No, to nie nasza sprawa — stwierdził starszy policjant. Zwrócił Jasonowi dokumenty. — Będzie musiał załatwić to ze swoim inspektorem od narkotyków. Przechodzić.

Policjant popchnął Jasona pałką, jednocześnie sięgając po

dokumenty człowieka stojącego za nim.

— To wszystko? — zapytał Jason posterunkowych. Nie mógł w to uwierzyć. Nie daj niczego po sobie poznać, mówił sobie. Ruszaj stąd! Tak też zrobił.

Z cienia pod zepsutą latarnią wyłoniła się ręka Kathy i dotknęła go; zastygł, czując, jak jego ciało zamienia się w lód — poczynając od serca.

— I co teraz o mnie myślisz? — zapytała Kathy. — O mojej pracy, którą wykonałam dla ciebie?

— Spełniła zadanie — odparł krótko.

— Nie zamierzam cię wydać — powiedziała — chociaż obraziłeś mnie i porzuciłeś, ale musisz zostać dziś ze mną na noc, tak jak obiecałeś. Rozumiesz?

Podziwiał ją. Czając się koło posterunku kontrolnego, uzyskała niezbity dowód, że podrobione przez nią dokumenty były na tyle dobrze zrobione, że nie wzbudziły podejrzeń. Relacja między nimi nagle się zmieniła: został jej dłużnikiem. Nie był już skrzywdzoną ofarą.

Teraz miała do niego moralne prawo. Najpierw kij: groźba wydania go policji, potem marchewka: porządnie podrobione dokumenty. Ta dziewczyna naprawdę schwytała go w sidła. Musiał to przyznać jej i samemu sobie.

— I tak jakoś bym cię przeprowadziła — powiedziała Kathy. Uniosła prawą rękę i pokazała rękaw. — Mam tu szarą odznakę policyjną, widać ją w ich kamerach, żeby nie zgarnęli mnie przez pomyłkę. Powiedziałabym im…

— Dajmy temu spokój — przerwał jej ostro. — Nie chcę tego słuchać. Odszedł; dziewczyna poszła za nim, chyża jak ptak.

— Chcesz wrócić do mojego mniejszego mieszkania? — spytała.

— Do tego przeklętego, nędznego pokoiku?

Mam pływający dom w Malibu, pomyślał, z ośmioma sypialniami, sześcioma wannami wirowymi i czterowymiarową bawialnią z przezroczystym suftem, a z powodu czegoś, czego nie pojmuję, mam spędzić resztę życia w taki sposób? W podupadłych, kiepskich lokalach, nędznych jadłodajniach, jeszcze nędzniejszych warsztatach, najnędzniejszych jednopokojowych mieszkaniach. Czyżbym płacił za coś, co zrobiłem? — zadał sobie pytanie. Coś, o czym nie wiem albo czego nie pamiętam? Przecież nikt za nic nie płaci, pomyślał. Nauczyłem się tego już dawno temu: nie odpłacą ci ani za zło, ani za dobro, jakie uczyniłeś. W końcu rachunki pozostają nie wyrównane. Chyba już powinienem to wiedzieć, jeżeli w ogóle cokolwiek wiem.

— Zgadnij, co jest na pierwszym miejscu mojej listy zakupów na jutro — mówiła Kathy. — Zdechłe muchy. Wiesz dlaczego?

— Bo mają dużo białka.

— Tak, ale nie dlatego, nie kupuję ich dla siebie. Co tydzień kupuję całą torbę dla Billa, mojego żółwia.

— Nie widziałem żadnego żółwia.

— Jest w moim większym mieszkaniu. Chyba nie sądzisz, że kupowałabym zdechłe muchy dla siebie, co?

— *De gustibus non est disputandum* — zacytował.

— Zaraz. Sprawy gustu nie podlegają dyskusji. Zgadza się?

— Zgadza. Co oznacza, że jeśli chcesz jeść zdechłe muchy, to się nie przejmuj i jedz.

— One są dla Billa, on je lubi. To jeden z tych małych zielonych żółwi… nie żółw lądowy czy inny. Czy widziałeś kiedyś, jak one łapią pokarm, na przykład muchę pływającą w wodzie? Są bardzo małe, ale to okropne. W jednej sekundzie mucha jest tam, a nagle płask! — i już jest w żółwiu. — Roześmiała się. — Już jest trawiona. Można z tego wyciągnąć pewien wniosek.

— Jaki? — spytał i zaraz się domyślił. — Że kiedy gryziesz, to albo dostajesz wszystko, albo nic, ale nigdy część?

— Właśnie tak.

— A ty, co masz? — zapytał ją. — Wszystko czy nic?

— Ja… nie wiem. Dobre pytanie. No cóż, nie mam Jacka, ale może go już nie chcę? Minęło cholernie dużo czasu. Chyba nadal go potrzebuję. Ciebie jednak potrzebuję bardziej.

— Myślałem, że ty możesz kochać dwóch mężczyzn jednakowo.

— Czy ja tak powiedziałam? — zastanawiała się, idąc. — Chciałam powiedzieć, że to byłaby idealna sytuacja, ale w życiu można najwyżej zbliżyć się do… rozumiesz? Śledzisz mój tok rozumowania?

— Śledzę — odparł — i widzę, do czego prowadzi. Do chwilowego zapomnienia o Jacku, kiedy jestem w pobliżu, i psychicznego powrotu do niego, kiedy mnie nie ma. Zawsze tak robisz?

— Nigdy go nie porzucam — ucięła Kathy.

Szli dalej w milczeniu, aż doszli do starego budynku z lasem nie używanych już anten telewizyjnych wyrastających z każdego centymetra dachu. Kathy poszperała w torebce, znalazła klucze i otworzyła drzwi do pokoju.

Światła były zapalone. Na koślawej kanapie naprzeciw nich siedział mężczyzna w średnim wieku, o siwych włosach i w szarym garniturze. Był mocno zbudowany, lecz nieskazitelnie ubrany, miał idealnie wygolone policzki: żadnych zacięć, podrażnień czy braków. Był doskonale ostrzyżony i uczesany, każdy włos na jego głowie był na swoim miejscu.

— Pan McNulty — przedstawiła Kathy słabym głosem. Wstając, mocno zbudowany mężczyzna wyciągnął w kierunku Jasona prawą

rękę. Jason odruchowo zamierzał ją uścisnąć.

— Nie — powiedział. — Nie zamierzam ściskać panu ręki; chcę zobaczyć pańskie dokumenty, te, które ona dla pana zrobiła. Proszę mi je dać.

Bez słowa — nie było o czym mówić — Jason podał mu swój portfel.

— Nie zrobiłaś ich — stwierdził McNulty po krótkich oględzinach — chyba że stałaś się o niebo lepsza.

— Niektóre z tych dokumentów mam od lat — powiedział Jason.

— Naprawdę? — mruknął McNulty. Zwrócił mu portfel i dokumenty. — Kto podrzucił mu mikronadajnik? — zapytał Kathy. — Ty? Ed?

— Ed — odpowiedziała Kathy.

— I co my tu mamy? — rzekł McNulty, mierząc wzrokiem Jasona, jakby brał wymiary trumny. — Mężczyzna po czterdziestce, dobrze ubrany, modne ciuchy. Drogie buty… zrobione z prawdziwej skóry. Zgadza się, panie Taverner?

— Bukat — odparł Jason.

— Według dokumentów jest pan muzykiem — rzekł McNulty. — Gra pan na jakimś instrumencie?

— Śpiewam.

— Niech pan coś dla nas zaśpiewa.

— Idź do diabła — odrzekł Jason i zdołał zapanować nad głosem; słowa zabrzmiały dokładnie tak, jak chciał. Nie głośniej, nie ciszej.

— On wcale nie pęka. Wie kim jestem? — powiedział McNulty do Kathy.

— Tak. Ja… powiedziałam mu. Częściowo.

— Powiedziałaś mu o Jacku — mruknął McNulty. A do Jasona rzekł: — Nie ma żadnego Jacka. Ona uważa inaczej, ale to zwykłe urojenia. Jej mąż zginął trzy lata temu w wypadku drogowym, nigdy nie był w obozie pracy.

— Jack żyje — wtrąciła Kathy.

— Widzi pan? Doskonale przystosowała się do świata zewnętrznego, oprócz tej jednej idei. Nie może się jej pozbyć, tylko ona stabilizuje jej życie. — Wzruszył ramionami. — To nieszkodliwa idea i zapewnia jej równowagę. Dlatego nie próbujemy jej leczyć psychiatrycznie.

Kathy zaczęła cicho płakać. Wielkie łzy spływały jej po policzkach i opadały, jak kleksy, na bluzkę. Tu i tam pojawiły się ślady łez w postaci ciemnych plam.

— Za parę dni porozmawiam z Edem Pracim — oznajmił McNulty. — Zapytam go, dlaczego podrzucił panu mikronadajnik. On miewa przeczucia; pewnie kierował się przeczuciem.

— Po chwili dodał: — Proszę pamiętać, że dokumenty w pańskim

portfelu to kopie tych, które znajdują się w różnych bankach danych rozsianych na kuli ziemskiej. Te kopie są zadowalające, ale może zechcę sprawdzić oryginały. Miejmy nadzieję, że również są w porządku.

— Przecież to rzadko stosowana procedura. Statystycznie… — odezwała się Kathy słabym głosem.

— W tym przypadku — powiedział McNulty — sądzę, że warto spróbować.

— Dlaczego? — spytała.

— Ponieważ uważamy, że nie mówisz nam wszystkiego. Pół godziny temu ten człowiek przeszedł przez wyrywkową kontrolę. Śledziliśmy go za pomocą mikronadajnika. Jego papiery wydają mi się w porządku, ale Ed mówi…

— Ed pije — przerwała Kathy.

— Ale możemy na niego liczyć — uśmiechnął się McNulty; profesjonalny promyk zadowolenia w nędznym pokoiku. — A na ciebie nie zawsze.

Podsuwając mu książeczkę wojskową, Jason potarł palcem małą, trójwymiarową fo-tografę. Odezwał się blaszany głosik: „I jak, na wznak?"

— Jak to można podrobić? — spytał Jason. — Przecież to mój głos sprzed wielu lat, kiedy powołano mnie do wojska.

— Wątpię — rzekł McNulty. Spojrzał na zegarek. — Czy jesteśmy pani coś winni, panno Nelson, czy w tym tygodniu jesteśmy kwita?

— Kwita — odparła z trudem. A potem cichym, drżącym głosem dodała: — Kiedy Jack wyjdzie, wcale nie będziecie mogli na mnie liczyć.

— Dla ciebie — powiedział wesoło McNulty — Jack nigdy nie wyjdzie.

Mrugnął do Jasona, który odpowiedział mrugnięciem. Dwa razy. Rozumiał McNulty'ego. Ten człowiek żerował na słabości innych; prawdopodobnie od niego i jego osobliwych, wesołych kompanów Kathy nauczyła się manipulować ludźmi.

Teraz rozumiał, w jaki sposób stała się tym, kim była. Zdrada była na porządku dziennym; odmowa zdrady, jak w jego przypadku, graniczyła z cudem. Mógł tylko dziwić się swemu szczęściu i dziękować losowi.

Żyjemy w państwie zdrady, pojął nagle. Kiedy byłem osobistością, byłem nietykalny. Teraz jestem jak każdy inny; teraz staję przed tym, z czym oni zawsze mieli do czynienia, przed tym, z czym niegdyś się spotkałem, ale później wyrzuciłem z pamięci, ponieważ zbyt przygnębiające było wiedzieć… Kiedyś miałem wybór i wybrałem niewiedzę.

— Pójdzie pan ze mną — powiedział McNulty, kładąc grubą,

piegowatą dłoń na ramieniu Jasona.

— Dokąd? — zapytał Jason; odsuwał się od policjanta tak samo, jak Kathy odsuwała się od niego. Ona również uczyła się od McNultych tego świata.

— Nie możecie go o nic oskarżyć! — wykrztusiła Kathy, zaciskając pięści.

— Nie zamierzamy go o nic oskarżać — odparł gładko McNulty. — Chcę tylko pobrać odciski palców, stóp, próbkę głosu i zrobić encefalograf. Dobrze, panie Tavern?

— Nie chciałbym poprawiać ofcera policji… — zaczął Jason i przerwał, widząc ostrzegawcze spojrzenie Kathy, po czym dokończył: — który wykonuje swoje obowiązki, więc pójdę z panem.

Może Kathy ma rację; może lepiej, że ten policjant przekręcił nazwisko Jasona Tavernera. Kto wie? Czas pokaże.

— Pan Tavern — mruknął leniwie McNulty, popychając go do drzwi. — To sugeruje piwo, miłe ciepło i wygody, prawda? — Obejrzał się na Kathy i powtórzył ostro: — Prawda?

— Pan Tavern to miły człowiek — wycedziła Kathy przez zaciśnięte zęby. Drzwi zamknęły się za nimi i McNulty sprowadził Jasona po schodach do holu, wdychając po drodze rozchodzący się wszędzie odór cebuli i przypraw.

W 469 komisariacie Jason Taverner poczuł się zagubiony w tłumie mężczyzn i kobiet, którzy kręcili się bez celu, czekając na wezwanie, zwolnienie, informacje czy rozkazy. McNulty wpiął mu w klapę marynarki jakiś kolorowy znaczek; tylko Bóg i policja wiedzieli, co oznacza.

Na pewno coś oznaczał. Umundurowany policjant za biurkiem sięgającym od ściany do ściany skinął na niego.

— W porządku — powiedział. — Inspektor McNulty wypełnił częściowo pański formularz J-2. Jason Tavern. Adres: Vine Street 2048.

Skąd McNulty wytrzasnął coś takiego, dziwił się Jason. Vine Street. Zaraz jednak zrozumiał, że to adres Kathy. McNulty założył, że mieszkają razem; przepracowany, jak wszyscy policjanci, wpisał dane wymagające najmniejszego wysiłku. Prawo natury: obiekt — żywa istota — wybiera najkrótszą drogę łączącą dwa punkty. Jason wypełnił formularz.

— Niech pan włoży rękę do tego otworu — polecił ofcer, wskazując maszynę do pobierania odcisków palców. Jason wykonał polecenie. — A teraz proszę zdjąć jeden but, lewy lub prawy, i skarpetkę. Może pan siąść tutaj.

Odsunął segment biurka, odsłaniając przejście i krzesło.

— Dzięki — mruknął Jason, siadając.

Gdy zdjęto mu odcisk stopy, powiedział do mikrofonu:

— Król Karol podarował królowej Karolinie korale koloru koralowego. — To stanowiło próbkę głosu. Następnie znów usiadł; na głowie założono mu końcówki, i maszyna ze szczękiem wypluła długi gęsto zapisany arkusz papieru; było po wszystkim. Elektroencefalograf. Na tym zakończyły się badania.

Pojawił się McNulty, wyglądał na zadowolonego. W ostrym białym świetle było widać siny popołudniowy cień zarostu na jego szczęce, nad górną wargą i na części szyi.

— Jak idzie z panem Tavernem? — zapytał.

— Jesteśmy gotowi do sprawdzania akt — odpowiedział policjant.

— Świetnie — rzekł McNulty. — Zaczekam i zobaczę, co znajdziemy. Umundurowany policjant wrzucił w otwór formularz wypełniony przez Jasona i wcisnął kilka oznaczonych literami klawiszy — wszystkie były zielone. Z jakiegoś powodu Jason zapamiętał ten fakt, i to, że litery były duże.

Z szerokiego otworu w długim biurku wysunęła się kserokopia i wpadła do metalowego koszyka.

— Jason Tavern — powiedział umundurowany policjant, oglądając dokument.

— Z Kememmer, Wyoming. Wiek: trzydzieści dziewięć lat. Mechanik silników Diesla.

— Zerknął na zdjęcie. — Fotografa zrobiona piętnaście lat temu.

— Jakiś rejestr policyjny?

— Żadnych kłopotów.

— Nie ma innego Jasona Taverna w aktach Danpolu? — spytał McNulty. Ofcer wcisnął żółty przycisk i potrząsnął głową. — Dobra — rzekł McNulty. — To on. — Przyjrzał się Jasonowi. — Nie wyglądasz jak mechanik silników Diesla.

— Już się nimi nie zajmuję — powiedział Jason. — Teraz je sprzedaję. Do maszyn rolniczych. Chce pan moją wizytówkę?

Blef; sięgnął do prawej górnej kieszeni marynarki. McNulty przecząco potrząsnął głową. A więc to tak, w typowo biurokratyczny sposób znaleźli niewłaściwe akta i w pośpiechu poprzestali na tym.

Bogu dzięki za słabości tej ogromnej, skomplikowanej, pokrętnej, światowej machiny, pomyślał. Zbyt wiele ludzi, zbyt wiele maszyn. Błąd popełniony przez inspektora przeniósł się aż do Danpolu — policyjnego banku danych w Memphis, Tennessee. Pewnie nie zdołają go poprawić, mając nawet moje odciski palców, stóp, próbkę głosu i en-cefalograf. Nie teraz, kiedy wciągnęli ten formularz do akt.

— Mam go zarejestrować? — spytał umundurowany policjant McNulty'ego.

— Za co? Za to, że jest mechanikiem silników Diesla? — Przyjaźnie poklepał Jasona po plecach. — Może pan iść do domu,

panie Tavern, do tej swojej panienki o dziecinnej buzi, do pańskiej małej dziewicy.

Szczerząc zęby w uśmiechu, zniknął w tłumie zdenerwowanych, oszołomionych mężczyzn i kobiet.

Jason kiwnął mu głową i wyszedł z 469 komisariatu na ulicę, w noc, aby wmieszać się w tłum wolnych i zajętych swoimi sprawami ludzi.

W końcu jednak mnie dopadną, pomyślał. Porównają odciski. Mimo to… minęło piętnaście lat, od kiedy wykonano zdjęcie, może tyle samo czasu upłynęło, od kiedy ostatnio robili mu EEG i brali próbkę głosu.

Nadal pozostawały odciski palców i stóp, które się nie zmieniały.

A może po prostu zniszczą kserokopię akt i będzie po wszystkim, pomyślał. Przekażą pobrane ode mnie dane do centrum w Memphis, aby włączyć je do moich — a raczej „moich" — akt. Ściśle mówiąc, do akt Jasona Taverna.

Dzięki Bogu Jason Tavern, mechanik silników Diesla, nigdy nie złamał prawa, nigdy nie naraził się policji ani armii. Ładnie z jego strony.

W górze zawarczał helikopter policyjny, błyskając czerwonym światłem szperacza; z głośników popłynął głos:

— Pan Jason Tavern ma natychmiast wrócić do 469 komisariatu. To rozkaz. Pan Jason Tavern…

Słowa powtarzano raz po raz, Jason stał oniemiały. Już to odkryli. Nie po godzinach, dniach czy tygodniach, ale po kilku minutach.

Wrócił na posterunek; wdrapał się po styrapleksowych schodach, przeszedł przez trzy pary drzwi na fotokomórkę, przez skłębiony tłum nieszczęśników, z powrotem do umundurowanego policjanta, który prowadził jego sprawę, i do McNulty'ego, który był tam także. Obaj dyskutowali z ożywieniem.

— No — rzekł McNulty, ujrzawszy Jasona — oto znów nasz pan Tavern. Co pan tu robi, panie Tavern?

— Helikopter policyjny… — zaczął Jason, ale McNulty przerwał mu.

— Przekroczyli swoje uprawnienia. Wydaliśmy tylko zwykłe polecenie doprowadzenia, a jakiś nadgorliwiec przekazał je śmigłowcom. No, ale skoro już pan tu jest…

— McNulty odwrócił dokument tak, żeby Jason zobaczył zdjęcie — …czy tak wyglądał pan piętnaście lat temu?

— Tak sądzę — odpowiedział Jason. Fotografa ukazywała smętnego osobnika o wystającej grdyce, krzywych zębach i wytrzeszczonych oczach wpatrujących się w nicość. Włosy, rozczochrane i brudnożółte, opadały na parę odstających uszu.

— Przeszedł pan operację plastyczną — powiedział McNulty.

— Tak.

— Dlaczego?

— A kto chciałby tak wyglądać?

— Nic dziwnego, że jest pan taki przystojny i dystyngowany — rzekł McNulty.

— Taki nobliwy. Taki… — szukał odpowiedniego słowa — … władczy. Naprawdę trudno uwierzyć, że z czegoś takiego — stuknął palcem wskazującym w piętnastoletnie zdjęcie — można zrobić coś takiego. — Przyjacielsko poklepał Jasona po ramieniu. — Tylko skąd miał pan na to pieniądze?

Kiedy McNulty mówił, Jason szybko przeczytał dane wydrukowane pod zdjęciem. Jason Tavern urodził się w Cicero, Illinois, jego ojciec był tokarzem, dziadek właścicielem sieci sklepów z używanymi maszynami rolniczymi; szczęśliwy traf, zważywszy na to, co powiedział McNulty'emu o swoim obecnym zajęciu.

— Od Winslowa — odparł Jason. — Przepraszam, zawsze tak o nim mówię i zapominam, że inni nie wiedzą, o kogo chodzi. — Pomogło mu profesjonalne przygotowanie; kiedy McNulty mówił, Jason zdążył przeczytać i zapamiętać większość tekstu kserokopii. — Od mojego dziadka. Miał trochę forsy, a ja byłem jego ulubieńcem. No wie pan, jedyny wnuk. McNulty sprawdził w aktach i kiwnął głową.

— Wyglądałem jak wiejski kołek — mówił Jason. — Wyglądałem na tego, kim byłem — na wiejskiego ćwoka. Najlepszą robotą, na jaką mogłem liczyć, była naprawa silników Diesla, a chciałem czegoś więcej. Dlatego wziąłem pieniądze, które zostawił mi Winslow, i ruszyłem do Chicago…

— W porządku — powiedział McNulty, nadal kiwając głową. — Zgadza się. Wiemy, że wykonuje się takie radykalne operacje plastyczne i to za niezbyt duże pieniądze. Jednakże zwykle poddają im się nie-obywatele albo więźniowie zbiegli z obozów pracy. Pilnujemy wszystkich tych salonów piękności, jak je nazywamy.

— Tylko spójrzcie, jaki byłem brzydki — przekonywał Jason. McNulty zaśmiał się głośnym, gardłowym śmiechem.

— Istotnie, panie Tavern. No dobrze, przykro mi, że pana niepokoiliśmy. Może pan odejść. — Machnął ręką; Jason zaczął przedzierać się przez tłum. — Och! — zawołał za nim McNulty. — Jeszcze jedno…

Jego głos tonął w hałasie poczekalni, lecz dobiegł do Jasona, który z sercem zamienionym w bryłkę lodu zmierzał ku wyjściu.

Kiedy raz cię zauważą, uświadomił sobie Jason, nigdy nie zamkną akt. Już nigdy nie odzyskasz anonimowości. Nie można pozwolić, żeby cię dostrzegli. Tymczasem ja na to pozwoliłem.

— O co chodzi? — spytał McNulty'ego, bliski rozpaczy. Bawili się

z nim, próbowali go złamać; czuł, jak serce i krew burzą się w nim w wyniku tych posunięć. Nawet wspaniała fzjologia szóstaka mogła tego nie wytrzymać.

McNulty wyciągnął rękę.

— Pańskie dokumenty. Chcę oddać je do laboratorium. Jeśli są w porządku, pojutrze otrzyma je pan z powrotem.

— A jeśli wyrywkowa kontrola… — zaprotestował Jason.

— Damy panu przepustkę policyjną — powiedział McNulty. Skinął na brzuchatego, starszego policjanta siedzącego po prawej stronie. — Zrób mu zdjęcie G-4 i wystaw przepustkę.

— Tak jest, inspektorze — odparła beczka sadła, sięgając grubym łapskiem do włącznika kamery.

Dziesięć minut później Jason Taverner ponownie znalazł się na niemal wyludnionej już ulicy, tym razem z prawdziwym dokumentem tożsamości — lepszym od wszystkiego, co mogła wyprodukować dla niego Kathy… tyle że przepustka zachowywała ważność jedynie przez tydzień. Mimo to…

Miał tydzień, w czasie którego nie musiał się martwić. A później…

Dokonał rzeczy niemożliwej: zamienił portfel fałszywych dokumentów na prawdziwą przepustkę. Oglądając ją w świetle latarni, zobaczył, że data ważności była holografczna… i było tam miejsce na wstawienie dodatkowej cyfry. Teraz widniała tam siódemka. Może poprosić Kathy, żeby zmieniła to na siedemdziesiąt pięć albo dziewięćdziesiąt siedem, co będzie łatwiejsze.

Następnie uświadomił sobie, że gdy tylko laboratorium policyjne stwierdzi, że jego dokumenty są podrobione, numer tej przepustki, jego nazwisko i zdjęcie zostaną przekazane wszystkim posterunkom na planecie.

Do tego czasu był jednak bezpieczny.

CZĘŚĆ DRUGA

Pogaście wątle światła, opuśćcie zasłony!
Nie ma nocy dość ciemnej dla ludzi,
Co biadają nad szczęściem utraconym.
A blask jeno większy wstyd budzi.

7

Wczesnym wieczorem, zanim cementowe chodniki rozkwitły nocnym ruchem, generał policji Felix Buckman posadził swój obły służbowy śmigacz na dachu Akademii Policyjnej Los Angeles. Siedział przez chwilę, czytając pierwszostronicowe artykuły jedynej wieczornej gazety, po czym starannie ją złożył, umieścił na tylnym siedzeniu, otworzył drzwi i wysiadł.

W dole nie było oznak żadnej aktywności. Pierwsza zmiana powoli rozchodziła się do domów, druga jeszcze nie nadchodziła. Lubił tę porę: w takich chwilach ten wielki budynek zdawał się jego własnością.

Co pozostawia świat ciemnościom i mnie, pomyślał, przypominając sobie urywek z *Elegii* Thomasa Graya. Był to jego ulubiony wiersz od dawna, od chłopięcych czasów.

Służbowym kluczem otworzył ekspresowy szyb zjazdowy budynku i błyskawicznie opadł na czternaste piętro, gdzie pracował przez większość swego dorosłego życia.

Stały tu rzędy biurek, za którymi nikt nie siedział. Tylko na odległym krańcu głównej sali jakiś ofcer mozolnie pisał raport. Przy automacie do kawy kobieta w mundurze piła z plastikowej fliżanki.

— Dobry wieczór — powiedział Buckman. Nie znał jej, ale to nie miało znaczenia: ona i wszyscy w tym budynku znali jego.

— Dobry wieczór, panie Buckman. Wyprostowała się, jakby stawała na baczność.

— Jesteś zmęczona — rzekł Buckman.

— Przepraszam, sir?

— Idź do domu.

Odszedł, minął rząd biurek, szereg prostokątnych metalowych mebli, na których załatwiano sprawy tego oddziału ziemskiej policji. Większość biurek była pusta: ofcerowie porządkowali swoje papiery przed wyjściem. Tylko na biurku numer 37 leżało trochę papierów. Inspektor Ktoś pracował do późna, pomyślał Buckman. Pochylił się i sprawdził plakietkę.

Inspektor McNulty, oczywiście. Dziewięćdziesięciodniowe objawienie Akademii. Zawzięcie tropiący spiski i zarzewia zdrady… Buckman uśmiechnął się, usiadł na obrotowym krześle i sięgnął po papiery.

Kserokopia akt z policyjnych kartotek, wyłowiona z otchłani przez nadgorliwego i nadmiernie ambitnego inspektora McNulty'ego. Krótka uwaga napisana ołówkiem: „Taverner nie istnieje". Dziwne, pomyślał, i zaczął przeglądać papiery.

— Dobry wieczór, panie Buckman.

Był to jego asystent, Herbert Maime, młody i bystry, ubrany w elegancki cywilny garnitur; przysługiwał mu ten przywilej, tak samo jak Buckmanowi.

— Wygląda na to, że McNulty zajął się aktami kogoś, kto nie istnieje — powiedział Buckman.

— Nie istnieje w którym komisariacie? — spytał Maime i obaj się roześmiali. Niezbyt lubili McNulty'ego, ale szara policja potrzebowała takich jak on. Wszystko będzie dobrze, dopóki McNulty'owie tej Akademii nie awansują do szczebla kształtującego jej politykę. Na szczęście to zdarzało się rzadko, przynajmniej nie wtedy, kiedy mógł temu zapobiec.

> *Obiekt podał fałszywe nazwisko Jason Tavern. Niewłaściwe akta Jasona Taverna z Kememmer, Wyoming, mechanika silników Diesla. Obiekt podał się za Taverna po operacji plastycznej. Dokumenty identyfkują go jako Jasona Tavernera, ale brak takich akt.*

Interesujące, pomyślał Buckman, czytając notatki McNulty'ego. Człowiek bez akt. Dokończył czytać notatki:

> *Dobrze ubrany, z wyglądu mający pieniądze, może wpływy pozwalające wycofać akta z banku danych. Sprawdzić związek z Katharine Nelson, miejscową informatorką. Czy ona wie, kim on jest? Nie chciała go wydać, ale informator 1659BD podrzucił mu mikronadajnik. Obecnie obiekt znajduje się w taksówce. Sektor N8823B, przemieszcza się na wschód w kierunku Las Vegas. Zgłoszono 11/4 10.00 czasu Akademii. Następny raport o 2.40 czasu Akademii.*

Katharine Nelson. Buckman spotkał ją kiedyś na kursie z zakresu kontaktów z informatorami. Ta dziewczyna wydawała tylko tych, których nie lubiła. W dziwny, pokrętny sposób podziwiał ją; w końcu, gdyby nie interweniował, wysłano by ją 4/8/82 do obozu pracy w Kolumbii Brytyjskiej.

— Połącz mnie z McNultym. Chyba będzie lepiej, jeśli z nim o

tym porozmawiam — powiedział do Herberta Maime'a.

Po chwili Maime podał mu aparat. Na małym szarym ekranie pojawiła się twarz McNulty'ego. Była wymęczona, podobnie jak jego pokój — mały i niechlujny.

— Tak jest, panie Buckman — odezwał się McNulty, wpatrując się w niego i stając na baczność, mimo zmęczenia. Chociaż znużony i zaspany, McNulty dobrze wiedział, jak należy się zachować w obecności przełożonych.

— Zreferuj mi krótko sprawę Jasona Tavernera — polecił Buckman. — Nie mogę jej poskładać z twoich notatek.

— Obiekt wynajął pokój w hotelu przy Eye Street 453. Zgłosił się do informatora 1659BD, znanego jako Ed, i poprosił o skontaktowanie z fałszerzem dokumentów. Ed podrzucił mu mikronadajnik i zabrał do informatora 1980CC, Kathy.

— Katharine Nelson — rzekł Buckman.

— Tak, sir. Widocznie podrobiła jego dokumenty nadzwyczaj dobrze. Poddałem je wstępnym badaniom laboratoryjnym i okazały się prawie w porządku. Wyraźnie chciała, żeby uciekł.

— Kontaktowałeś się z Katharine Nelson?

— Spotkałem ich oboje w jej pokoju. Żadne nie okazało chęci współpracy. Obejrzałem dokumenty obiektu, ale…

— Wyglądały na prawdziwe — przerwał Buckman.

— Tak, sir.

— Wciąż ci się wydaje, że zdołasz się o tym przekonać gołym okiem.

— Tak, panie Buckman. Jednak przeszedł z nimi przez wyrywkową kontrolę uliczną, były takie dobre.

— Miał szczęście.

— Wziąłem jego dokumenty i wydałem mu siedmiodniową przepustkę — mówił dalej McNulty. — Potem zabrałem go do 469 komisariatu, gdzie mam tymczasowe biuro i sprawdziłem jego akta… Jak się okazało, akta Jasona Taverna. Obiekt sprzedał mi długą historyjkę o operacji plastycznej; brzmiała wiarygodnie, więc puściliśmy go. Nie, chwileczkę, nie wydałem mu przepustki, dopóki…

— No więc — przerwał mu Buckman — o co mu chodzi? Kim on jest?

— Śledzimy go za pomocą mikronadajników. Usiłujemy zebrać o nim informacje. Myślę jednak, co zapewne czytał pan w moich notatkach, że obiektowi udało się usunąć swoje akta ze wszystkich centralnych banków danych. Po prostu nie ma ich tam, a powinny być, ponieważ mamy akta każdego; wie o tym nawet dziecko, zgodnie z prawem, musimy je mieć.

— Ale nie mamy — powiedział Buckman.

— Wiem, panie Buckman. Jeśli jednak akt tam nie ma, musi być

jakiś powód. To nie może być przypadek, ktoś musiał je stamtąd zwinąć.

— Zwinąć — powtórzył z rozbawieniem Buckman.

— Ukraść, usunąć. — McNulty wyglądał na nieszczęśliwego. — Właśnie zabieram się do tej sprawy, panie Buckman.

Za dwadzieścia cztery godziny będę wiedział więcej. Do licha, możemy go zdjąć w każdej chwili. Nie sądzę, żeby to było coś poważnego. To pewnie jakiś kombinator, na tyle ustosunkowany, żeby usunąć swoje akta z…

— W porządku — przerwał Buckman. — Idź spać. Rozłączył się, stał przez chwilę, następnie poszedł w kierunku swojego gabinetu. Myślał intensywnie.

Na kanapie w gabinecie Buckmana spała jego siostra Alys. Z głębokim niesmakiem zobaczył, że ma na sobie obcisłe czarne spodnie, skórzaną męską koszulę, wielkie kolczyki w uszach i pas z żelaznych ogniw z ręcznie kutą klamrą. Oczywiście, znów zażywała narkotyki i — jak już wiele razy przedtem — znalazła jeden z jego kluczy.

— Niech cię szlag — powiedział, zamykając drzwi gabinetu, zanim zdążył ją dostrzec Herb Maime.

Alys poruszyła się we śnie. Jej kocia twarz skurczyła się w grymasie irytacji, prawa ręka usiłowała wymacać wyłącznik lampy jarzeniowej, którą zapalił wchodząc.

Złapał ją za ramiona — bez cienia przyjemności czując jej napięte mięśnie — i podniósł do pozycji siedzącej.

— Co to było tym razem? — zapytał groźnie. — Termalina?

— Nie. — Mówiła bardzo niewyraźnie. — Wodorosiarczan heksafenofryny. Nie rozcieńczony. Podskórnie.

Otworzyła wielkie bladoniebieskie oczy, patrząc na niego z wyzywającym zadowoleniem.

— Dlaczego, do diabła, zawsze tutaj przychodzisz?

Jak tylko zaczynała oddawać się fetyszyzmowi i/lub narkotyzować, zaraz wpadała do jego biura. Nie wiedział dlaczego, nigdy o tym nie mówiła. Prawdopodobnym wyjaśnieniem było lakoniczne oświadczenie, jakie kiedyś wymamrotała o „oku huraganu”, sugerujące, że w biurach Akademii Policyjnej czuje się bezpieczna, gdyż nie grozi jej aresztowanie, oczywiście, ze względu na jego pozycję.

— Fetyszystka — warknął na nią wściekle. — Mamy tu codziennie setkę takich jak ty, z tymi waszymi skórami, łańcuchami i sztucznymi penisami. Boże.

Stał, ciężko dysząc i trzęsąc się ze złości.

Ziewając, Alys ześlizgnęła się z kanapy, stanęła prosto i wyciągnęła długie szczupłe ramiona.

— Cieszę się, że już jest wieczór — powiedziała enigmatycznie, nie otwierając oczu.

— Teraz mogę iść do domu i do łóżka.

— A jak zamierzasz się stąd wydostać? — zapytał, chociaż znał odpowiedź. Za każdym razem odprawiali ten sam rytuał. Wykorzystywali szyb transportowy dla „izolowanych" więźniów politycznych; Alys przedostawała się nim z ostatniego biura w północnym skrzydle na dach, a stamtąd do lądowiska lataczy. Wchodziła i wychodziła w ten sposób, używając jego klucza.

— Pewnego dnia — rzekł do niej ponuro — natknie się na ciebie jakiś ofcer legalnie korzystający z szybu.

— I co zrobi? — Pogładziła krótko ścięte, siwe włosy. — Niech mi pan powie, sir. Ukłoni się ze skruchą?

— Jedno spojrzenie na twój nieprzytomny wyraz twarzy…

— Wiedzą, że jestem twoją siostrą.

— Wiedzą, ponieważ zawsze przychodzisz tu z takiego czy innego powodu albo w ogóle bez żadnego cholernego powodu — powiedział Buckman ostro.

Przysiadłszy na skraju najbliższego biurka, Alys zmierzyła go poważnym spojrzeniem.

— To naprawdę cię trapi.

— Tak, to naprawdę mnie trapi.

— To, że przychodzę tutaj i zagrażam twojej pozycji.

— Nie możesz zagrozić mojej pozycji — rzekł Buckman. — Mam nad sobą tylko pięciu ludzi, nie licząc dyrektora. Każdy z nich wie o tobie i nie może nic zrobić. Tak więc możesz robić, co chcesz.

Powiedziawszy to, wypadł do północnego skrzydła i przeszedł długim korytarzem do znacznie większego gabinetu, w którym najczęściej pracował. Usiłował nie patrzeć na nią.

— Mimo to starannie zamknąłeś drzwi — mówiła Alys, która przywlokła się za nim — żeby ten Herbert Blame, Mamę, Maime czy jak mu tam, mnie nie zobaczył.

— Jesteś odrażająca dla każdego normalnego mężczyzny.

— A Maime jest normalny? Skąd wiesz? Pieprzyłeś go?

— Jeżeli nie wyniesiesz się stąd — powiedział spokojnie, patrząc na nią ponad dwoma biurkami — każę cię rozstrzelać. Przysięgam Bogu.

Wzruszyła muskularnymi ramionami i uśmiechnęła się.

— Nic cię nie przeraża — mówił oskarżycielsko — od czasu operacji mózgu. Systematycznie, z rozmysłem pozwoliłaś pozbawić się wszelkich ludzkich odruchów. Jesteś teraz… — z trudem znajdował odpowiednie słowa; Alys zawsze tak na niego działała, że odbierało mu mowę. — Jesteś maszyną onanizującą się bez końca, jak szczur doświadczalny. Podłączyłaś się do ośrodka przyjemności w swoim

mózgu i kiedy nie śpisz, pięć tysięcy razy na godzinę naciskasz przycisk. To dla mnie zagadka, dlaczego w ogóle chce ci się spać; dlaczego nie oddajesz się tej przyjemności dwadzieścia cztery godzi ny na dobę?

Czekał, lecz Alys nie odezwała się.

— Pewnego dnia — rzekł — jedno z nas umrze.

— Och? — powiedziała, unosząc jedną cienką, zieloną brew.

— Jedno z nas — mówił Buckman — przeżyje drugie i wtedy dopiero będzie miało uciechę.

Aparat telefoniczny na jego biurku zabrzęczał. Buckman niespiesznie podniósł słuchawkę. Na ekranie pojawiła się wymęczona twarz McNulty'ego.

— Przepraszam, że niepokoję, generale Buckman, ale właśnie otrzymałem wiadomość od jednego z moich ludzi. W Omaha nie ma żadnych śladów tego, że kiedykolwiek wydano metrykę jakiemuś Jasonowi Tavernerowi.

— A zatem to pseudonim — powiedział cierpliwie Buckman.

— Wzięliśmy jego odciski palców, stóp, próbki głosu, zrobiliśmy mu EEG. Wysłaliśmy je do Jedynki, do centralnego banku danych w Detroit. Nic nie znaleźli. Takich odcisków palców, stóp, takiego głosu czy encefalografu nie ma w żadnym banku danych na Ziemi. — McNulty wyprostował się z trudem i wykrztusił przepraszającym tonem: — Jason Taverner nie istnieje.

8

Jason Taverner na razie nie miał ochoty wracać do Kathy. Postanowił też nie próbować ponownie skontaktować się z Heather Hart. Poklepał kieszeń płaszcza, miał jeszcze pieniądze, a dzięki policyjnej przepustce mógł udać się dokądkolwiek. Policyjna przepustka była paszportem ważnym na całej planecie. Dopóki nie wyślą za nim listów gończych, mógł podróżować dokąd chciał, nawet do tak odludnych miejsc jak samotne, porośnięte dżunglą wyspy południowego Pacyfku. Tam mogą go szukać przez długie miesiące; z taka forsą, na tak rozległym terenie nie znajdą go.

Mam trzy walory działające na moją korzyść, uświadomił sobie. Pieniądze, urok osobisty i osobowość. Cztery: mam także czterdziestodwuletnie doświadczenie szóstaka.

Mieszkanie.

Jeśli jednak, pomyślał, wynajmę mieszkanie, zarządca zgodnie z prawem będzie musiał wziąć moje odciski palców; rutynowo wyśle je do centralnego Danpolu… a kiedy policja odkryje, że moje dokumenty są podrobione, znajdą mnie bez trudu. A zatem ta możliwość odpada.

Powinienem, powiedział sobie, znaleźć kogoś, kto ma już mieszkanie. Na jego nazwisko, na jego odciski palców.

Oznaczało to inną dziewczynę.

Gdzie mam jej szukać? — zadał sobie pytanie i odpowiedź miał już na końcu języka: w ekskluzywnym lokalu, do którego przychodzi wiele kobiet, w którym trzyosobowa, najlepiej murzyńska orkiestra gra jazzowe kawałki, i wszyscy są dobrze ubrani.

Czy jestem dobrze ubrany? — zastanowił się i w świetle ogromnego biało-czerwonego neonu AAMCO uważnie obejrzał swój jedwabny garnitur. Nie był to jego najlepszy garnitur, ale prawie… tyle że wymięty. No cóż, w barowym półmroku nie będzie tego widać.

Zatrzymał śmigacz i po chwili leciał w kierunku ładniejszej części miasta, w której najczęściej przebywał, przynajmniej w ostatnich latach życia, kiedy-wspiął-się-na-sam-szczyt.

Klub, pomyślał, w którym bywałem. Klub, który naprawdę znam. Gdzie znam szefa sali, szatniarkę, kwiaciarkę… chyba że i oni, tak samo jak ja, zmienili się. Dotychczas wydawało się, że zmienił się tylko on. Jego życiorys. Nie ich.

„Niebieski Lis” w hotelu Hayette w Reno. Wystąpił tam kilka razy, dokładnie znał ten lokal i jego personel.

— Reno — powiedział.

Śmigacz zatoczył szeroki łuk w prawo; Jason czuł ten pęd i cieszył się nim. Pojazd nabrał szybkości: weszli w niemal pusty korytarz powietrzny, górny limit prędkości wynosił tu około tysiąca dwustu mil

na godzinę.

— Chciałbym skorzystać z telefonu — powiedział. Lewa ścianka kabiny otworzyła się, wysuwając aparat ze staromodnym, skręconym przewodem.

Znał na pamięć numer telefonu „Niebieskiego Lisa"; wybrał go, zaczekał, usłyszał kliknięcie i męski głos mówiący:

— Tu „Niebieski Lis", gdzie co wieczór występuje dwa razy Freddy Hydrocefal: o ósmej i o dwunastej; wstęp i towarzystwo dziewczyn podczas spektaklu za jedyne trzydzieści dolarów. Czym mogę służyć?

— Czy to dobry stary Jumpy Mike? — spytał Jason. — Dobry stary Jumpy Mike we własnej osobie?

— Tak, bez wątpienia. — Głos mężczyzny stał się mniej formalny. — Czy mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?

Jason wziął głęboki oddech i powiedział:

— Tu Jason Taverner.

— Przykro mi, panie Taverner. — Jumpy Mike był lekko zdziwiony. — Jakoś nie przypominam sobie…

— Minęło sporo czasu — przerwał mu Jason. — Czy możesz mi zarezerwować stolik blisko…

— Wszystkie miejsca w „Niebieskim Lisie" są sprzedane, panie Taverner — zabrzmiał głucho głos Jumpy Mike'a. — Bardzo mi przykro.

— Żadnego wolnego stolika? — dopytywał się Jason. — Ani jednego?

— Przykro mi, panie Taverner, żadnego. — Głos cichł, chcąc zakończyć rozmowę. — Proszę spróbować za dwa tygodnie.

Dobry stary Jumpy Mike rozłączył się.

Cisza.

Jezus, Maria, powiedział do siebie Jason.

— Boże — rzekł na głos. — Niech to szlag traf! Zazgrzytał zębami, wysyłając impulsy bólu przez nerw trójdzielny.

— Nowe instrukcje, chłopie? — spytał obojętnie śmigacz.

— Leć do Las Vegas — warknął Jason.

Spróbuję w „Melbie Nelly" w „Drake's Arms", postanowił. Niedawno dopisało mu tam szczęście, kiedy Heather Hart była na kontrakcie w Szwecji. Kręciło się tam sporo dziewczyn dużej klasy; grały, piły, oglądały występy, zabijały czas. Warto spróbować, jeżeli „Niebieski Lis" i inne podobne lokale były dla niego niedostępne. W końcu, co miał do stracenia?

Pół godziny później taksówka wysadziła go na dachu „Drake's Arms". Drżąc w chłodnym nocnym powietrzu, Jason dotarł do głównych ruchomych schodów. Po chwili znalazł się w ciepłym, barwnym, pełnym ruchu wnętrzu „Melby Nelly".

Czas: siódma trzydzieści. Wkrótce zacznie się pierwszy występ. Zerknął na program: Freddy Hydrocefal występował także, ale dawał tu z siebie mniej i za mniejsze pieniądze. Może mnie pamięta, pomyślał Jason. Nie, chyba nie. Później, po dłuższym zastanowieniu się doszedł do wniosku, że na pewno nie.

Jeśli nie pamięta go Heather Hart, to inni też nie.

Usiadł przy zatłoczonym barze — znalazł jedyny wolny stołek; kiedy barman w końcu go zauważył, zamówił szkocką z miodem. Pływał w niej kawałek masła.

— To będzie trzy dolary — powiedział barman.

— Proszę zapisać to na… — zaczął Jason i urwał. Wyjął pięć dolarów. Wtedy dostrzegł ją. Siedziała kilka miejsc dalej. Przed laty była jego kochanką; nie widział jej piekielnie długi czas. Zauważył, że wciąż ma niezłą fgurę, chociaż znacznie się zestarzała. Ruth Rae. Co za traf.

Jedno, co można było powiedzieć o Ruth Rae, to że była zbyt mądra, aby się nadmiernie opalać. Kobieca skóra od niczego nie starzeje się szybciej, jak od opalania; mało kobiet zdaje sobie z tego sprawę. U kobiety w wieku Ruth Rae — jej wiek oceniał na trzydzieści osiem lub trzydzieści dziewięć lat — opalenizna zmieniłaby skórę w pomarszczony rzemień.

Poza tym umiała się ubrać. Eksponowała wspaniałą fgurę. Gdyby tylko czas oszczędził jej twarz… w każdym razie nadal miała piękne czarne włosy, upięte w koński ogon, gęste sztuczne rzęsy i jaskrawoczerwone pręgi na policzkach, jakby podrapał ją jakiś psychodeliczny tygrys.

Ubrana w barwne sari, bosa — jak zwykle zrzuciła gdzieś swoje buty na wysokich obcasach — bez okularów na nosie, wydała mu się całkiem ładna. Ruth Rae, rozmyślał. Sama szyje swoje stroje. Dwuogniskowe szkła, których nie nosi przy nikim… oprócz mnie. Czy wciąż czytuje książki miesiąca? Czy nadal lubi czytać te beznadziejnie nudne powieści o seksualnych nieudacznikach z upiornych, małych, pozornie zwyczajnych miasteczek Środkowego Zachodu?

Ruth Rae miała jedną słabość: obsesję seksu. Przypomniał sobie, że któregoś roku przespała się z sześćdziesięcioma mężczyznami, ale nie z nim; on pojawił się i odszedł wcześniej, kiedy miała znacznie słabsze wyniki.

Zawsze lubiła jego muzykę. Ruth Rae lubiła seksownych wokalistów, ballady i słodki — aż do mdłości — dźwięk strun. Pewnego razu zainstalowała w swoim nowojorskim mieszkaniu ogromny zestaw kwadrofoniczny i niemalże zamieszkała w nim, jedząc dietetyczne kanapki i pijąc zimne, muliste koktajle bezalkoholowe, robione z niczego. Potrafła przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy słuchać płyt „Purple People Strings”, których on

nienawidził.

Ponieważ jej gust budził w nim obrzydzenie, denerwowało go, że on sam jest jednym z jej ulubieńców. To było dziwactwo, którego nigdy nie mógł zrozumieć.

Co jeszcze o niej pamiętał? Codziennie rano piła łyżeczkę żółtego oleistego płynu — witaminy E. Dziwne, lecz w jej przypadku wydawało się to skuteczne, jej potrzeby erotyczne rosły z każdą łyżeczką. Niemal ociekała seksem.

Pamiętał, że nie znosiła zwierząt. To przypomniało mu Kathy i jej kota Domenico. Ruth i Kathy nie pasowałyby do siebie, ale to nie ma znaczenia: nigdy się nie spotkają.

Zsunął się ze stołka i z drinkiem w ręku przeszedł wzdłuż baru, aż stanął przy Ruth Rae. Nie spodziewał się, że go pozna; kiedyś miał dla niej nieodparty urok… dlaczego nie miałoby być tak teraz? Nikt lepiej od Ruth nie potrafł skorzystać z seksualnej okazji.

— Cześć — powiedział.

Ruth Rae niepewnie — ponieważ bez okularów — podniosła głowę i przyjrzała musię.

— Cześć — zachrypiała zdartym od whisky głosem. — Kim jesteś?

— Spotkaliśmy się kilka lat temu w Nowym Jorku. Grałem małą rólkę w jednym odcinku *Zjawiskowego Jajcarza*… o ile pamiętam, ty zajmowałaś się kostiumami.

— Mówisz o tej scenie — zachrypiała Ruth Rae — kiedy Zjawiskowy Jajcarz wpadł w ręce piratów-pedałów z przyszłości. — Roześmiała się i uśmiechnęła do niego. — Jak się nazywasz? — zapytała, potrząsając odsłoniętymi, podtrzymywanymi przez fszbiny piersiami.

— Jason Taverner.

— A pamiętasz moje nazwisko?

— Och tak — odparł. — Ruth Rae.

— Obecnie Ruth Gomen — zachrypiała. — Siadaj. — Rozejrzała się wokół, nie dostrzegła żadnego wolnego stołka.

— Tam jest stolik.

Z nadmierną ostrożnością zeszła ze stołka i ruszyła chwiejnie w kierunku wolnego stolika. Wziął ją pod rękę i poprowadził. W końcu, po paru skomplikowanych manewrach, posadził ją i usiadł blisko niej.

— Wyglądasz równie pięknie… — zaczął, ale przerwała mu szorstko.

— Jestem stara — wychrypiała. — Mam trzydzieści dziewięć lat.

— To nie starość — powiedział. — Ja mam czterdzieści dwa.

— U mężczyzny to niewiele, ale nie u kobiety. — Spojrzała tępo w swoją na pół opróżnioną szklankę martini. — Czy wiesz, co robi Bob? Bob Gomen? Hoduje psy. Wielkie, hałaśliwe, niezgrabne psy o długiej sierści, która włazi nawet do lodówki.

Ponuro pociągnęła łyk martini. Po chwili na jej twarzy pojawiło się ożywienie, obróciła się do Jasona i oświadczyła:

— Nie wyglądasz na czterdzieści dwa lata. Wyglądasz świetnie! Wiesz, co myślę? Powinieneś grać w telewizji albo w flmie.

— Występowałem w telewizji — rzekł ostrożnie Jason. — Trochę.

— Och, w takich kawałkach jak *Zjawiskowy Jajcarz*. — Pokiwała głową. — No cóż, spójrzmy prawdzie w oczy, nie udało się nam.

— Wypijmy za to — zaproponował, rozbawiony; pociągnął swoją whisky zmieszaną z miodem. Kawałek masła już się stopił.

— Mam wrażenie, że cię pamiętam — powiedziała Ruth Rae. — Czy to nie ty pokazywałeś mi jakieś plany domu na Pacyfku, tysiąc mil od Australii? To byłeś ty?

— To byłem ja — skłamał.

— I miałeś rolls-royce'a.

— Tak — odparł. To było prawdą.

— Czy wiesz, co ja tu robię? Masz pojęcie? Próbuję zobaczyć się z Freddym Hydro-cefalem. Zakochałam się w nim — powiedziała Ruth Rae z uśmiechem.

Wybuchnęła gardłowym śmiechem, który pamiętał z dawnych dni.

— Wciąż wysyłam mu kartki ze słowami: „Kocham cię", a on odsyła mi napisane na maszynie: „Nie chcę się angażować, mam kłopoty osobiste". — Znów się roześmiała i dokończyła drinka.

— Jeszcze jeden? — zaproponował Jason, wstając.

— Nie. — Ruth Rae potrząsnęła głową. — Już nie piję. Był taki okres… — urwała i skrzywiła się — nie wiem, czy zdarzyło ci się kiedyś coś takiego. Gdy patrzę na ciebie, nie sądzę.

— Co takiego?

— Piłam przez cały czas, zaczynałam o dziewiątej rano — mówiła Ruth Rae, bawiąc się pustą szklanką. I wiesz, co się stało? Zaczęłam wyglądać starzej. Wyglądałam na pięćdziesiąt lat. Cholerna wóda. Przez nią przydarzy ci się wszystko, czego najbardziej się obawiasz. Moim zdaniem, wóda jest największym wrogiem człowieka. Zgadzasz się z tym?

— No, nie wiem — odparł Jason. — Człowiek ma gorszych wrogów niż wóda.

— Pewnie tak, na przykład obozy pracy. Wiesz, że próbowali mnie tam wysłać w zeszłym roku? Przeżywałam naprawdę trudne chwile; nie miałam pieniędzy — jeszcze nie spotkałam Boba Gomena — i pracowałam w kasie oszczędnościowo-pożyczkowej. Któregoś dnia przyszedł pocztą depozyt w gotówce… pięćdziesięciodolarowe banknoty, trzy czy cztery. — Na chwilę pogrążyła się we wspomnieniach. — W każdym razie wzięłam je, a kwit depozytowy i kopertę wrzuciłam do niszczarki. Złapali mnie. To

była pułapka.

— Och — powiedział.

— Jednak… no wiesz, kręciłam trochę z szefem. Gliny chcieli posłać mnie do obozu pracy — gdzieś w Georgii, gdzie kmioty zagwałciliby mnie zbiorowo na śmierć, ale on mnie wybronił. Nadal nie wiem, jak tego dokonał, ale wypuścili mnie. Wiele mu zawdzięczam, a nawet już go nie widuję. Nigdy nie widujesz się z tymi, którzy naprawdę cię kochają i pomagają ci; zawsze masz do czynienia z obcymi.

— Czy uważasz mnie za obcego? — spytał Jason. Pamiętam jeszcze jedną twoją słabostkę, Ruth Rae, pomyślał. Zawsze utrzymywałaś niezwykle kosztowny apartament, niezależnie od tego, kto był aktualnie twoim mężem; zawsze ładnie mieszkałaś. Ruth Rae popatrzyła na niego badawczo.

— Nie. Uważam cię za przyjaciela.

— Dzięki.

Wyciągnął rękę, chwycił jej suchą dłoń i przytrzymał przez chwilę, puszczając we właściwym momencie.

9

Apartament Ruth Rae poraził Jasona Tavernera luksusem. Ocenił, że musi ją kosztować co najmniej czterysta dolarów dziennie, a zatem sytuacja fnansowa Boba Gomena jest z pewnością dobra, a raczej była.

— Nie musiałeś kupować tej butelki Vat 69 — powiedziała Ruth, zdejmując mu płaszcz i niosąc go razem z własnym do samootwierającej się szafy. — Mam tu Cutty Sark i burbon Hirama Walkera…

Wiele się nauczyła, od kiedy spał z nią ostatni raz — to nie ulegało wątpliwości. Znużony, leżał nago na pościeli wodnego łóżka, pocierając niewielki garb na nosie. Ruth Rae, a raczej pani Ruth Gomen, siedziała na dywanie, paląc pall malla. Żadne z nich od pewnego czasu nie powiedziało ani słowa; w pokoju panowała cisza. I zmęczenie, pomyślał Jason. Czy któraś z zasad termodynamiki nie głosi, rozmyślał, że ciepła nie można zniszczyć, ale jedynie przekazać? Jednak istnieje również entropia.

Czuję teraz na sobie działanie entropii, stwierdził. Rozładowałem się całkowicie i nigdy nie odzyskam tego, co straciłem. To jednokierunkowy proces. Tak, pomyślał, jestem pewien, że to jedno z podstawowych praw termodynamiki.

— Czy masz tu zestaw encyklopedyczny? — zapytał kobietę.

— Do licha, nie.

Na jej pomarszczonej jak wysuszona śliwka twarzy pojawił się niepokój. Jak wysuszona… odsunął od siebie ten obraz; to nie było dobre. Raczej zniszczona słońcem i deszczem — to lepsze określenie.

— O czym myślisz? — zapytał.

— Nie, to ty mi powiedz, o czym myślisz. Co kryje się w tym twoim wielkim, sprawnym, supertajemniczym mózgu?

— Czy pamiętasz dziewczynę, która nazywała się Monica Buf?

— Czy pamiętam! Monica Buf przez sześć lat była moją szwagierką. Przez cały ten czas ani razu nie umyła głowy. Splątane, brudne, ciemnobrązowe kudły zwisały w strąkach wokół jej ziemistej twarzy, aż na brudną szyję.

— Nie wiedziałem, że jej nie lubiłaś.

— Jasonie, ona kradła. Wystarczyło zostawić torebkę, żeby obrobiła cię do czysta; nie tylko z banknotów, ale nawet z monet. Miała móżdżek sroki, a głosik wrony — kiedy otworzyła usta, co dzięki Bogu nie zdarzało jej się często. Czy wiesz, że ta mała potra-fła przesiedzieć sześć, siedem, a raz nawet osiem dni, nie odzywając się słowem? Kuliła się w kącie jak przygnieciony pająk, brzdąkając na tej swojej gitarze za pięć dolarów, na której nigdy nie nauczyła się grać. No dobrze, na swój sposób była ładna, mimo niechlujstwa. Przyznaję.

Jeśli ktoś lubi wielki tyłek…

— Z czego żyła? — zapytał Jason. Znał Monikę Buf tylko przelotnie, przez Ruth. W tym czasie mieli z sobą krótki, gorący romans.

— Kradła w sklepach — odparła Ruth Rae. — Miała olbrzymi wiklinowy koszyk, który kupiła w Baja California… Napychała go różnościami, a potem wychodziła ze sklepu jak królowa.

— Dlaczego jej nie złapali?

— Złapali. Wymierzyli karę, ale jej brat pojawił się z forsą, więc znów wyszła na ulicę i chodziła sobie boso — naprawdę! — po Shrewsbury Avenue w Bostonie, macając wszystkie brzoskwinie w działach warzywnych sklepów spożywczych. Traciła dziesięć godzin dziennie na to, co nazywała zakupami. — Z gniewnym błyskiem w oku Ruth dodała: — Wiesz, na czym nigdy jej nie złapali? — Ściszyła głos. — Karmiła zbiegłych studentów.

— I nigdy jej za to nie zamknęli?

Dokarmianie zbiegłego studenta lub udzielanie mu schronienia oznaczało dwa lata OP za pierwszym razem. Za drugim razem skazywano na pięć lat.

— Nie, nigdy jej nie przymknęli. Kiedy podejrzewała, że gliny zamierzają przeszukać jej mieszkanie, szybko dzwoniła na policję i mówiła, że jakiś człowiek usiłuje włamać się do jej domu. Następnie wywabiała studenta na korytarz i zamykała drzwi, a kiedy policja przyjeżdżała, on dobijał się do niej dokładnie tak, jak mówiła. Zgarniali go, a ją zostawiali w spokoju.

— Ruth zachichotała. — Raz słyszałam, jak dzwoniła na policję. Mówiła tak, jakby ten facet…

— Kiedyś Monica przez trzy tygodnie była moją dziewczyną — powiedział Jason. — Mniej więcej pięć lat temu.

— Czy przez ten czas umyła choć raz głowę?

— Nie — przyznał.

— I nie nosiła majtek — dodała Ruth. — Dlaczego taki przystojny mężczyzna jak ty miałby mieć romans z taką brudną, zaniedbaną, fejtuchowatą fądrą jak Monica Buf? Nie mógłbyś nigdzie jej zabrać; śmierdziała. Nigdy się nie kąpała.

— Hebefrenia — rzekł Jason.

— Tak — skinęła głową Ruth. — Taką postawiono diagnozę. Nie wiem, czy wiesz, ale w końcu po prostu poszła sobie. Nie wróciła z jednej z tych swoich wypraw na zakupy; nigdy więcej już jej nie widzieliśmy. Teraz już pewnie nie żyje, nadal ściskając wiklinowy koszyk, który kupiła w Baja. Ta wycieczka do Meksyku to była wielka chwila w jej życiu. Nawet wykąpała się z tej okazji, a ja ułożyłam jej włosy, które wcześniej umyłam kilkakrotnie. Co ty w niej widziałeś? Jak mogłeś ją znieść?

— Lubiłem jej poczucie humoru.

To nie w porządku, pomyślał, porównywać Ruth z dziewiętnastoletnią dziewczyną, a nawet z Moniką Buf. Porównanie pozostało jednak w jego myślach, uniemożliwiając związanie się z Ruth, mimo iż była tak dobra, a przynajmniej tak doświadczona, w łóżku. Wykorzystuję ją, pomyślał. Tak jak Kathy wykorzystywała mnie, a McNulty Kathy.

McNulty. Czy nie podrzucili mi jakiegoś mikronadajnika?

Jason Taverner pospiesznie pozbierał rzeczy i prędko zaniósł je do łazienki. Siedząc na skraju wanny, zaczął im się przyglądać.

Zajęło mu to pół godziny. W końcu znalazł jednak nadajnik, chociaż był tak maleńki. Spuścił go z wodą. Wstrząśnięty, wrócił do sypialni. A więc jednak wiedzą, gdzie jestem, uświadomił sobie. Nie mogę tu pozostać.

Niepotrzebnie naraziłem życie Ruth Rae.

— Zaraz — powiedział głośno.

— Tak? — spytała Ruth, opierając się o ścianę łazienki, z rękami założonymi na piersi.

— Mikronadajniki — mówił powoli Jason — podają tylko przybliżone położenie.

Chyba że ktoś postara się namierzyć ich sygnał.

A do tej pory…

Nie mógł być tego pewien. W końcu McNulthy czekał w mieszkaniu Kathy. Tylko czy przyszedł tam naprowadzony sygnałem mikronadajnika, czy też chciał zobaczyć się z Kathy? Oszołomiony niepokojem, seksem i szkocką, nic nie pamiętał. Siedział na skraju wanny, pocierając czoło, usiłując przypomnieć sobie, co dokładnie mówiono, kiedy razem z Kathy wszedł do jej pokoju i zastał tam czekającego McNulty'ego.

Ed, pomyślał. Powiedzieli, że Ed podrzucił mi mikronadajnik. W ten sposób mnie zlokalizowali. Jednak…

Mimo wszystko może aparat podał im tylko przybliżone położenie, a oni słusznie założyli, że to będzie pokój Kathy.

— Niech to szlag, mam nadzieję, że nie ściągnąłem ci na głowę glin. To byłoby za wiele, za wiele, cholera! — powiedział do Ruth Rae załamującym się głosem. Potrząsnął głową, usiłując zebrać myśli. — Czy masz trochę bardzo gorącej kawy?

— Pójdę włączyć ekspres.

Ruth Rae potruchtała boso z łazienki do kuchni; miała na sobie tylko bransoletkę na nodze. Po chwili wróciła z wielkim plastikowym dzbankiem kawy, opatrzonym napisem „Keep on truckin". Wziął od niej dzbanek i napił się parującego napoju.

— Nie mogę zostać dłużej — oznajmił. — A zresztą, jesteś za stara.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, jak pogięta, zdeptana lalka, i pobiegła do kuchni. Dlaczego to powiedziałem? — zadawał sobie pytanie. Stres, strach. Poszedł za nią.

Ruth pojawiła się w drzwiach kuchni, trzymając fajansowy talerz z napisem „Pamiątka z farmy Knotis Berry". Podbiegła do Jasona i uderzyła go nim w głowę, wykrzywiając wargi, jakby to były dwa żywe stworzenia. W ostatniej chwili zdołał unieść lewy łokieć i zamortyzować cios; fajansowy talerz rozbił się na trzy nierówne kawałki, z ręki trysnęła krew. Spojrzał na strumyk krwi, na odłamki fajansu na dywanie, a potem na nią.

— Przepraszam — szepnęła. Ledwie dosłyszał. Małe węże jej warg nadal wyginały się przepraszająco.

— To ja przepraszam — rzekł Jason.

— Założę ci opatrunek. — Ruszyła w kierunku łazienki.

— Nie — powiedział. — Wychodzę. To czysta rana, nie będzie zakażenia.

— Dlaczego mi to powiedziałeś? — spytała Ruth ochrypłym głosem.

— Ponieważ sam obawiam się starości. To mnie wykańcza, odbiera resztki energii. Naprawdę, nie mam już siły. Nawet na orgazm.

— Byłeś całkiem niezły.

— To ostatni raz — odparł. Poszedł do łazienki; zmył krew z ręki, puszczając strumień zimnej wody na ranę, aż przestała krwawić. Trwało to pięć minut, pięćdziesiąt — nie miał pojęcia. Po prostu stał tam, trzymając łokieć pod kranem. Ruth Rae zniknęła nie wiadomo gdzie. Pewnie poszła wezwać gliny, pomyślał ze znużeniem; był zbyt zmęczony, żeby go to obchodziło.

Do diabła, pomyślał. Po tym, co jej powiedziałem, nie miałbym jej tego za złe.

10

— Nie — powiedział generał policji Fełix Buckman, lekko potrząsając głową. — Jason Taverner istnieje. W jakiś sposób zdołał usunąć te informacje ze wszystkich banków danych. — Zamyślił się. — Jesteś pewien, że możesz go zgarnąć w każdej chwili, jeśli będzie trzeba?

— Niestety nie, panie Buckman — odparł McNulty. — Znalazł mikronadajnik i usunął go. Tak więc nie wiemy, czy nadal jest w Vegas. Jeśli ma trochę oleju w głowie, a na pewno go ma, zwinął się stamtąd.

— Lepiej wróć tutaj — rzekł Buckman. — Jeżeli on potraf skasować w naszych bankach dane pierwszorzędnej ważności, to jest uwikłany w jakąś poważną działalność. Jak dokładnie go zlokalizowaliście?

— On jest — był — w jednym z osiemdziesięciu pięciu apartamentów, znajdujących się w jednym skrzydle budynku mającego sześćset kosztownych i eleganckich mieszkań, w dzielnicy West Firefash. To miejsce nazywa się Copperfeld II.

— Lepiej poproś Vegas, żeby sprawdzili wszystkie osiemdziesiąt pięć mieszkań i znaleźli go. A kiedy go dopadniesz, przyślij bezpośrednio do mnie. Mimo wszystko chcę cię widzieć tu, za biurkiem. Wypij kilka kaw, zapomnij o drzemce i przyjdź natychmiast.

— Tak, panie Buckman — rzekł McNulty z lekkim grymasem bólu. Skrzywił się.

— Uważasz, że nie znajdziemy go w Vegas — powiedział Buckman.

— Nie, sir.

— A może jednak. Pozbywszy się mikronadajnika, mógł uznać, że już jest bezpieczny.

— Mam inne zdanie — rzekł McNulty. — Znalazłszy go, przekonał się, że namierzyliśmy go w West Firefash. Ucieknie stamtąd natychmiast.

— Zrobiłby tak — odparł Buckman — gdyby ludzie postępowali racjonalnie, ale tak nie jest. A może nie zauważyłeś tego, McNulty? Przeważnie zachowują się zupełnie bezsensownie.

Co, pomyślał, zapewne wychodzi im tylko na dobre. Trudniej przewidzieć ich zamiary.

— Zauważyłem, że…

— Bądź za swoim biurkiem za pół godziny — przerwał mu Buckman i rozłączył się. Pedanteria McNulty'ego i letargiczny wygląd wywołany użyciem środków usypiających zawsze go irytowały.

— Człowiek, który przestał istnieć na własne życzenie. Czy coś

takiego już się kiedyś zdarzyło? — spytała obserwująca wszystko Alys.

— Nie — odparł Buckman. — I nie zdarzyło się tym razem. Gdzieś, w jakimś małym banku danych, musiał przeoczyć jakiś mikrodokument. Będziemy szukać, aż go znajdziemy. Prędzej czy później dopasujemy jego głos lub EEG i dowiemy się, kim jest naprawdę.

— Może dokładnie tym, za kogo się podaje. — Alys przeglądała groteskowe notatki McNulty'ego. — Obiekt należy do związku muzyków. Podaje się za piosenkarza. Może próbka głosu okaże się…

— Wynoś się z mojego biura — powiedział jej Buckman.

— Ja tylko głośno myślę. Może to on nagrał ten nowy przebój pornofoniczny *Zstąp, Mojżeszu,* który…

— Powiem ci coś — przerwał jej Buckman. — Idź do domu i odszukaj w moim gabinecie, w środkowej szufadzie biurka, celofanową kopertę. W niej znajdziesz lekko ostemplowany, idealnie równy, jednodolarowy czarny znaczek: U.S. Trans-Mississippi. Zdobyłem go do mojej kolekcji, ale możesz go sobie wziąć, znajdę inny. Tylko idź stąd. Idź, weź ten przeklęty znaczek, włóż go do swojego klasera i schowaj w sejfie na wieki. Nawet nigdy go nie oglądaj, po prostu miej. I daj mi spokojnie pracować, dobrze?

— Jezu! — wykrzyknęła Alys; zabłysły jej oczy. — Skąd go masz?

— Od więźnia politycznego wysłanego do obozu pracy. Zamienił go na swoją wolność. Uznałem, że to niezła zamiana. Nie sądzisz?

— Najpiękniejszy znaczek, jaki kiedykolwiek został wydany. Kiedykolwiek. Przez jakikolwiek kraj.

— Chcesz go?

— Tak. — Wyszła z gabinetu na korytarz. — Zobaczymy się jutro. Wcale nie musisz mi dawać czegoś takiego, żebym sobie poszła. I tak chciałam iść do domu, wziąć prysznic, przebrać się i przespać kilka godzin. Z drugiej strony, jeśli chcesz…

— Chcę — powiedział Buckman i dodał w duchu: ponieważ tak cholernie boję się ciebie, tak prymitywnie, ontologicznie obawiam się wszystkiego, co ma z tobą związek, nawet twojej chęci wyjścia stąd. Boję się nawet tego!

Dlaczego? — zadawał sobie pytanie, patrząc, jak kieruje się do tajnego przejścia na końcu korytarza. Znałem ją jako dziecko i obawiałem się już wtedy. Dlatego że, jak sądzę, w jakiś przedziwny sposób, którego nie pojmuję, ona nie przestrzega żadnych reguł. My wszyscy kierujemy się jakimiś regułami; różnymi, ale przestrzegamy ich. Na przykład, rozmyślał, nie mordujemy kogoś, kto właśnie wyświadczył nam przysługę. Nawet w tym policyjnym państwie, nawet my przestrzegamy tej reguły. I nie niszczymy celowo rzeczy, które są dla nas cenne. Tymczasem Alys jest zdolna wrócić do domu, znaleźć tę czarną jednodolarówkę i podpalić ją od papierosa. Wiem o

tym, a jednak dałem jej ten znaczek. Wciąż modlę się, żeby w końcu doszła do siebie i włączyła do gry, w którą wszyscy gramy.

To jednak nigdy nie nastąpi.

Podarowałem jej ten znaczek po prostu dlatego, że miałem nadzieję namówić ją, skusić, aby powróciła do reguł, jakie możemy zrozumieć, jakich wszyscy przestrzegamy. Usiłuję ją przekupić, a to strata czasu, jeśli nie gorzej; i ja o tym wiem, i ona. Tak, pomyślał. Pewnie spali tę czarną jednodolarówkę, najpiękniejszy znaczek, jaki istnieje, flatelistyczny rarytas, jakiego nigdy nie sprzedawano za mojego życia, nawet na aukcjach. Kiedy wrócę do domu, pokaże mi popiół. Może zostawi kawałeczek narożnika, na dowód, że naprawdę to zrobiła. A ja uwierzę. I będę bał się jeszcze bardziej.

W ponurym nastroju generał Buckman otworzył trzecią szufadę od góry i wsunął szpulę taśmy do małego przenośnego magnetofonu. Arie na cztery głosy… stał, słuchając tej, którą lubił najbardziej ze wszystkich pieśni Dowlanda.

I teraz w samotności, zapomnienia męce Siedzę, wzdycham, płaczę, mdleję, ginę W śmiertelnym bólu i bezkresnej męce.

Pierwszy człowiek, rozmyślał Buckman, który tworzył muzykę abstrakcyjną. Wyjął taśmę, włożył tę z utworami na lutnię i zaczął słuchać pawany *Lachrimae Antiquae.* Z tego, powiedział sobie, wywodziły się późniejsze kwartety Beethovena. I wszystko inne, oprócz Wagnera.

Gardził Wagnerem. Wagner i jemu podobni, tacy jak Berlioz, cofnęli muzykę o trzy stulecia. Aż Karlheinz Stockhausen swoim *Gesang der Junglinge* ponownie wyprowadził ją na czyste wody.

Stojąc za biurkiem, przez chwilę spoglądał na ostatnie czterowymiarowe zdjęcie Jasona Tavernera, zrobione przez Katharine Nelson. Jaki przystojny mężczyzna, pomyślał. Niemal zawodowo przystojny. No cóż, to piosenkarz, powinien tak wyglądać. W końcu jest w showbusinessie.

Dotknął fotografi i posłuchał, jak powiedziała: „I jak, na wznak?" Uśmiechnął się. Słuchając jeszcze raz pawany *Lachrimae Antiquae,* myślał:

Płyńcie łzy moje…

Czy ja naprawdę mam naturę policjanta — zadawał sobie pytanie — skoro tak kocham poezję i muzykę? Tak, pomyślał, jestem wspaniałym gliniarzem, ponieważ nie myślę tak jak policjant. Na przykład, nie myślę tak jak McNulty, który pozostanie — jak to się mówi? — świnią do końca życia. Nie myślę tak, jak ci, których mamy łapać, lecz jak ważni ludzie, których mamy chwytać. Tacy jak ten Jason Taverner. Mam przeczucie, irracjonalne, ale naprawdę silne, że on jest nadal w Vegas. Tam go złapiemy, a nie tam, gdzie spodziewa się McNulty, myślący racjonalnie i logicznie.

Jestem jak Byron, pomyślał, walczący o wolność, oddający życie za Grecję. Z tą różnicą, że ja nie walczę o wolność, lecz o jednolite społeczeństwo.

Czy to rzeczywiście prawda? — pytał sam siebie. Czy dlatego robię to, co robię? Aby stworzyć porządek, ład, harmonię? Reguły. Tak, pomyślał, reguły są dla mnie cholernie ważne i dlatego Alys jest dla mnie zagrożeniem, dlatego radzę sobie z tyloma innymi, ale nie z nią.

Dzięki Bogu, że oni wszyscy nie są tacy jak ona, powiedział sobie. Dzięki Bogu, ona jest tylko jedna.

— Herb, może zechciałbyś tu przyjść? — powiedział, przyciskając guzik interkomu.

Herbert Maime wszedł do pokoju, niosąc stos kart perforowanych; wyglądał na zaniepokojonego.

— Chcesz się założyć, Herb, że Jason Taverner nadal jest w Las Vegas? — spytał Buckman.

— Dlaczego zawraca pan sobie głowę takimi bzdurami? — odparł Herb. — To sprawa dla McNulty'ego, nie dla pana.

Buckman usiadł i zaczął bawić się wideofonem; zapalał fagi różnych nie istniejących państw.

— Zobacz, co ten facet zrobił. W jakiś sposób zdołał usunąć wszelkie dotyczące go dokumenty ze wszystkich banków danych na planecie, a także na Księżycu i Marsie… McNulty próbował nawet tam. Pomyśl przez chwilę, czego to wymagało. Pieniędzy? Ogromnych sum. Astronomicznych łapówek. Jeżeli Taverner poniósł tak olbrzymie koszty, to gra o wysoką stawkę. Wpływów? Ten sam wniosek: ma wielką władzę i musimy uznać go za ważną postać. Mnie najbardziej interesuje to, kogo on reprezentuje; sądzę, że stoi za nim jakaś organizacja, nie mam jednak pojęcia, jaka i dlaczego. No dobrze, wymazali wszelkie dotyczące go informacje; Jason Taverner jest człowiekiem, który nie istnieje. Tylko co przez to osiągnęli?

Herb zamyślił się.

— Nie mogę tego zrozumieć — mówił Buckman. — To nie ma sensu. Skoro jednak tego dokonali, musi mieć jakieś znaczenie. Inaczej tyle by nie zainwestowali. — Pokazał gestem ręki. — Pieniędzy, czasu, wpływów, czego tam jeszcze. Może wszystkiego jedno cześnie. Plus sporo wysiłku.

— O tak — rzekł Herb, kiwając głową.

— Czasem łapie się grube ryby na hak z małą rybką. Tego człowiek nigdy nie wie, czy następna schwytana mała rybka pozwoli złapać grubą czy też… — wzruszył ramionami — stanie się kolejną płotką, którą wyrzucimy do portowego basenu. Tak zapewne jest z Jasonem Tavernerem. Może nie mam racji, ale ta sprawa mnie interesuje.

— A to niedobrze dla Jasona Tavernera — powiedział Herb.

— Tak — skinął głową Buckman. — Teraz rozważmy fakty. — Przerwał na moment, żeby cicho pierdnąć, i mówił dalej: — Taverner skontaktował się z przeciętnym fałszerzem dokumentów, działającym w opuszczonej restauracji. Nie korzystał z żadnych kontaktów; posłużył się, Boże wielki, recepcjonistą z hotelu, w którym wynajął pokój. A zatem musiał rozpaczliwie potrzebować dokumentów. No dobrze, a gdzie byli wtedy jego potężni mocodawcy? Dlaczego nie dostarczyli mu doskonale podrobionych dokumentów, skoro mieli takie możliwości? Jezu Chryste, posłali go na ulicę, do asfaltowej dżungli, prosto w objęcia policyjnych informatorów. Narazili całą akcję na fasko!

— Tak — potwierdził Herb, kiwając głową. — Ktoś coś spieprzył.

— Zgadza się. Coś poszło nie tak i nagle facet znalazł się w samym środku miasta bez dokumentów. Miał tylko te, które wystawiła mu Kathy Nelson. Jak mogło do tego dojść? W jaki sposób spieprzyli wszystko, tak że rozpaczliwie potrzebował jakichkolwiek papierów, żeby przejść kawałek ulicą? Rozumiesz, co mam na myśli.

— Właśnie dlatego ich dostaniemy.

— Słucham? — powiedział Buckman. Ściszył dźwięki lutni płynące z magnetofonu.

— Gdyby nie popełniali takich błędów, nie mielibyśmy szans. Pozostaliby dla nas metafzycznym tworem, którego istnienia nawet byśmy nie podejrzewali. My wykorzystujemy właśnie takie pomyłki. Nie uważam za istotne, dlaczego popełnili błąd; liczy się tylko fakt, że to zrobili. I powinniśmy być z tego cholernie zadowoleni.

Ja jestem, pomyślał sobie Buckman. Pochylił się i wykręcił numer McNulty'ego. Brak odpowiedzi. McNulty jeszcze nie dotarł do budynku. Buckman spojrzał na zegarek. Jeszcze piętnaście minut. Połączył się z centralą, używając niebieskiego kodu.

— Jak idzie operacja w dzielnicy Firefash w Las Vegas? — zapytał jedną z operatorek, które siedziały na wysokich stołkach wokół planszy i długimi kijkami przesuwały plastikowe symbole. — Chodzi o obławę na osobnika podającego się za Jasona Tavernera. — Słyszał pomruki i trzaski komputerów, sprawnie obsługiwanych przez operatorkę.

— W tej sprawie połączę pana z kapitanem kierującym akcją.

Na monitorze Buckmana pojawił się umundurowany policjant; wyglądał idiotycznie spokojnie.

— Tak, generale Buckman?

— Macie Jasona Tavernera?

— Jeszcze nie, sir. Przeszukaliśmy około trzydziestu mieszkań wynajmowanych w…

— Kiedy go złapiecie — rzekł Buckman — proszę natychmiast dać

mi znać. — Podał policjantowi swój numer telefonu i rozłączył się, mając dziwne poczucie klęski.

— Potrzeba czasu — odezwał się Herb.

— Tak jak na dobre piwo — mruknął Buckman, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń i myśląc intensywnie, ale bez rezultatu.

— Pan i pańskie przeczucia w sensie Junga — powiedział Herb. — Jest pan typowo jungowską osobowością: kierującą się intuicją, myślącą, z przewagą intuicji nad…

— Bzdury. Zgarnął plik notatek McNulty'ego i wrzucił je do niszczarki.

— Nie czytał pan Junga?

— Czytałem. Kiedy robiłem dyplom na Berkeley, cały wydział policji musiał go czytać. Dowiedziałem się tego wszystkiego co ty i jeszcze więcej.

Usłyszał w swoim głosie irytację i nie spodobało mu się to.

— Pewnie hałasują jak śmieciarze. Z trzaskiem i łomotem… Taverner usłyszy ich, zanim dotrą do jego apartamentu.

— Myśli pan, że złapiemy kogoś z Tavernerem? Kogoś stojącego wyżej…

— Nie będzie przy nim nikogo ważnego. Nie teraz, kiedy jego dokumenty leżą w miejscowym komisariacie i kiedy wie, że depczemy mu po piętach. Niczego nie oczekuję. Nikogo oprócz samego Tavernera.

— Założę się z panem — powiedział Herb.

— Dobrze.

— Założę się o pięć złotych dolarówek, że kiedy go pan złapie, niczego się pan nie dowie.

Buckman wyprostował się w fotelu; był zdumiony. To brzmiało tak jak jedna z jego własnych intuicji: żadnych faktów, żadnych danych, tylko czyste przeczucie.

— Założy się pan?

— Powiem ci, co zrobię — odparł Buckman. Wyjął portfel i przeliczył pieniądze. — Założę się o tysiąc papierowych dolarów, że kiedy schwytamy Tavernera, staniemy przed jedną z najważniejszych spraw, z jakimi kiedykolwiek mieliśmy do czynienia.

— Nie mogę się założyć o taką sumę — powiedział Herb.

— Myślisz, że mam rację?

Zabrzęczał telefon; Buckman podniósł słuchawkę. Na ekranie pojawiło się tępe oblicze funkcjonariusza z Los Angeles.

— Nasze termoszperacze wykryły w jednym z nie przeszukiwanych apartamentów mężczyznę o wadze, wzroście i budowie ciała Tavernera. Podchodzimy z najwyższą ostrożnością, ewakuując wszystkich z sąsiednich mieszkań.

— Nie zabijcie go.

— Na pewno nie, panie Buckman.

— Proszę pozostać w kontakcie — rzekł Buckman. — Chcę śledzić przebieg akcji.

— Tak jest, sir.

— Naprawdę już go mają — powiedział Buckman do Herba Maime'a. Uśmiechnął się i zachichotał z zadowoleniem.

11

Kiedy Jason Taverner poszedł po swoje rzeczy, zastał Ruth Rae siedzącą w półmroku sypialni na wymiętej, wciąż ciepłej pościeli; była kompletnie ubrana i paliła swojego nieodłącznego, nikotynowego papierosa. Przez okna sączył się szary nocny mrok. Ognik papierosa żarzył się nerwowym, gorącym blaskiem.

— One cię zabiją — powiedział. — Nie bez powodu przydzielają tygodniowo po paczce na osobę.

— Odpierdol się — rzekła Ruth Rae i paliła dalej.

— Ale ty kupujesz je na czarnym rynku — ciągnął. Kiedyś poszedł z nią i kupił cały karton. Cena papierosów przeraziła go, mimo jego dużych dochodów. Ruth wcale się tym nie przejmowała. Widocznie była na to przygotowana; znała cenę swojego nałogu.

— Kupuję.

Zdusiła ledwie napoczętego papierosa w ceramicznej popielniczce w kształcie płuca.

— Marnujesz go.

— Czy kochałeś Monikę Buf? — spytała Ruth.

— Pewnie.

— Nie rozumiem, jak mogłeś.

— Są różne rodzaje miłości — odparł Jason.

— To tak jak z królikiem Emily Fusselman. — Spojrzała na niego. — Kobiety, którą znałam, mężatki z trojgiem dzieci. Miała dwa kociaki, a potem dostała ogromnego szarego belgijskiego królika, który robił kic-kic-kic na swoich wielkich tylnych łapach. Przez pierwszy miesiąc bał się wyjść z klatki. To był samiec, tak uznaliśmy, na ile można to było sprawdzić. Potem, po miesiącu, zaczął wychodzić z klatki i kicać po pokoju. Po kilku miesiącach nauczył się wchodzić po schodach i drapać rano w drzwi sypialni Emily, żeby ją zbudzić. Zaczął bawić się z kotami i z tym był problem, bo nie był tak mądry jak one.

— Króliki mają mniejsze mózgi — powiedział Jason.

— Możliwe. W każdym razie podziwiał koty i próbował naśladować je we wszystkim. Nauczył się nawet korzystać z ich piasku. Wyrwał sobie sierść z piersi, uwił z niej gniazdo za kanapą i czekał, aż koty z nim zamieszkają, ale nie zrobiły tego. Wszystko niemal się skończyło, kiedy spróbował bawić się w berka z owczarkiem alzackim, którego przyprowadziła pewna dama. Królik nauczył bawić się w berka z kotami, z Emily Fusselman oraz z dziećmi: chował się pod kanapą, wyskakiwał i bardzo szybko biegał w kółko, a oni próbowali go złapać, ale zwykle im się nie udawało, więc wracał w bezpieczne miejsce za kanapą, gdzie nikomu nie było wolno

go tknąć. Pies nie znał jednak zasad gry i kiedy królik schronił się za kanapą, wpadł za nim i złapał go zębami za tylną część ciała. Emily zdołała rozewrzeć psu szczęki i wyrzucić go z pokoju, lecz królik był ciężko ranny. Wyzdrowiał, ale od tego czasu bał się psów i uciekał, gdy zobaczył psa choćby przez okno. Tę część ciała, w którą ugryzł go pies, wciąż chował za franką, ponieważ nie miał tam sierści i wstydził się. Najbardziej rozczulające było jednak to, jak próbował pokonać ograniczenia swojej — jak to określić? — fzjologii, swoje ograniczenia jako królika, usiłując stać się bardziej rozwiniętą formą życia, taką jak kot. Chciał przez cały czas być z nimi i bawić się jak z równymi sobie. I to cała historia. Koty nie chciały mieszkać w gnieździe, które dla nich przygotował, a pies nie znał zasad i dopadł go. Królik żył kilka lat. Kto by pomyślał, że królik może mieć tak skomplikowaną osobowość. Kiedy siedziałeś na kanapie, a on chciał, żebyś wstał i zwolnił mu miejsce, trącał cię, a jeśli się nie ruszyłeś, potrafł ugryźć. Spójrz tylko na aspiracje tego królika i na jego upadek. Wciąż próbował i cały czas nie miał żadnych szans, ale on o tym nie wiedział. A może wiedział i mimo to próbował. Ja jednak uważam, że tego nie rozumiał. Po prostu bardzo tego pragnął. To było całym jego życiem, ponieważ kochał koty.

— Myślałem, że nie znosisz zwierząt — powiedział Jason.

— Już nie. Nie po tylu klęskach i upadkach, tak jak ten królik. On, oczywiście, w końcu zdechł. Emily Fusselman płakała kilka dni. Chyba tydzień. Widziałam, jak to przeżyła, i nie chciałam czegoś takiego.

— Przecież nie można nie kochać zwierząt tylko dlatego, że…

— One żyją tak krótko. Tak cholernie krótko. No dobrze, niektórzy ludzie tracą ukochane stworzenie i przenoszą uczucie na następne. To jednak boli, boli.

— A więc dlaczego miłość jest tak dobra?

Rozmyślał nad tym przez całe dorosłe życie, gdy nawiązywał i kończył znajomości.

Szczególnie zastanawiał się nad tym teraz, poczynając od tego, co przydarzyło mu się ostatnio, a kończąc na króliku Emily Fusselman. Ta chwila cierpienia.

— Kochasz kogoś, a on odchodzi. Pewnego dnia wraca do domu i zaczyna pakować rzeczy. Pytasz „Co się dzieje?”, na to ten ktoś odpowiada: „Otrzymałem lepszą propozycję”, i odchodzi na zawsze z twojego życia. Potem aż do śmierci obnosisz się z tą swoją miłością i nie masz kogo nią obdarzyć. A jeśli kogoś znajdziesz, wszystko powtarza się od nowa; pewnego dnia dzwonisz i mówisz: „Tu Jason”, po czym słyszysz „Kto?” i wiesz, że już po wszystkim. Nawet nie wiedzą, kim, do cholery, jesteś, i domyślam się, że nigdy nie wiedzieli; nigdy nie należeli do ciebie.

— Miłość nie polega na tym, żeby pragnąć kogoś jak rzeczy ze sklepowej półki — powiedziała Ruth. — To tylko pożądanie. Chcesz to mieć, zabrać do domu i postawić gdzieś jak lampę. Miłość to… — urwała, szukając słów — ojciec ratujący dzieci z płoną cego budynku, wynoszący je i ginący przy tym. Kiedy kochasz, przestajesz żyć dla siebie; żyjesz dla innej osoby.

— I to jest takie dobre?

Jemu wcale nie wydawało się to takie wspaniałe.

— To przezwyciężenie instynktu. Instynkt popycha nas do walki o przeżycie, jak gliniarze otaczający kampusy. Przeżyć samemu kosztem innych; każdy z nas pazurami pnie się w górę. Podam ci dobry przykład. Mój dwudziesty pierwszy mąż Frank. Byliśmy małżeństwem sześć miesięcy. Przez ten czas przestał mnie kochać i stał się okropnie nieszczęśliwy. Ja nadal go kochałam, pragnęłam z nim zostać, ale raniłam go. Tak więc pozwoliłam mu odejść. Widzisz? Tak było lepiej dla niego, a ponieważ go kochałam, tylko to się liczyło. Rozumiesz?

— A dlaczego dobrze jest zrobić coś wbrew instynktowi przeżycia?

— Myślisz, że nie potrafę tego wyjaśnić?

— Nie.

— Ponieważ w ostatecznym rozrachunku instynkt przetrwania przegrywa. Jest tak w przypadku każdego żywego stworzenia, kreta, nietoperza, człowieka, żaby, nawet takiej żaby, która pali cygara i gra w szachy. Nigdy nie zdołasz dokonać tego, do czego zmusza cię ten instynkt, więc w końcu twoje wysiłki kończą się klęską i poddajesz się śmierci, co kończy sprawę. Jeśli jednak kochasz, możesz wycofać się i patrzeć…

— Nie mam ochoty się wycofywać — wtrącił Jason.

— …możesz wycofać się i patrzeć uszczęśliwiony, ze spokojnym, łagodnym, wypływającym z rytmu alfa zadowoleniem w najwyższej formie, na życie tych, których kochasz.

— Jednak oni też umierają.

— To prawda. — Ruth Rae przygryzła wargę.

— Lepiej nie kochać, wtedy nigdy ci się to nie przydarzy. Nawet zwierzęcia — psa czy kota. Jak sama powiedziałaś, kochasz je, a one umierają. Jeśli śmierć królika jest okropna…

Nagle ujrzał przerażający obraz: zmiażdżone kości i włosy dziewczyny, ociekające krwią, w szczękach słabo widocznego wroga, znacznie potężniejszego od największego psa.

— Przecież możesz ich żałować — powiedziała Ruth, niespokojnie patrząc mu w oczy. — Jasonie! Żal jest najsilniejszym uczuciem, jakie może odczuwać człowiek, dziecko czy zwierzę. To dobre uczucie.

— W jaki pieprzony sposób? — spytał szorstko.

— Żal sprawia, że wychodzisz poza siebie. Przekraczasz swoje

wąskie, małe ja. Nie możesz czuć żalu, jeśli przedtem nie kochałeś — żal jest ostatecznym rezultatem miłości, ponieważ wynika z jej utraty. Ty to rozumiesz; wiem, że tak, tylko nie chcesz o tym myśleć. Oto zamknięty cykl miłości: kochać, utracić, żałować, odejść, a potem znów kochać. Jasonie, żal to świadomość, że musisz być samotny i poza tym nie ma nic, gdyż samotność jest ostatecznym przeznaczeniem każdego żywego stworzenia. Tym właśnie jest śmierć — wielkim osamotnieniem. Pamiętam, jak kiedyś pierwszy raz paliłam haszysz w fajce wodnej, a nie jako skręta. Dym był zimny i nie wiedziałam, ile wdycham. Nagle umarłam. Na krótką chwilę, trwającą zaledwie kilka sekund. Świat, wrażenia dostarczane przez zmysły, wraz ze świadomością mojego własnego ciała, a nawet posiadania jakiegoś ciała — wszystko zniknęło. Nie byłam wyizolowana w zwykłym znaczeniu tego słowa, ponieważ będąc samotnym normalnie, odbierasz nadal bodźce, choćby dostarczane tylko przez twoje ciało. Tymczasem wtedy nie było nawet ciemności. Wszystko przestało istnieć. Cisza. Nic. Samotność.

— Pewnie nasączyli hasz tym toksycznym świństwem, tym, które kiedyś załatwiło tylu ludzi.

— Tak, miałam szczęście, że doszłam do siebie. Dziwna sprawa, paliłam hasz tyle razy przedtem i nigdy nie przytrafło mi się coś takiego. Właśnie dlatego od tego czasu palę papierosy. W każdym razie to nie było omdlenie; nie miałam wrażenia, że spadam, bo nie miałam niczego, co mogłoby spaść, żadnego ciała… i nie było przepaści, w którą mogłabym runąć.

Wszystko, ze mną włącznie, po prostu — machnęła ręką — wyparowało. Jak ostatnia kropla z butelki. A potem, w końcu, znów puścili flm, ten, który nazywamy rzeczywistością. — Umilkła i zaciągnęła się papierosem. — Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

— Czy to cię przeraziło? Kiwnęła głową.

— Świadomość nieświadomości, jeśli chwytasz, co chcę powiedzieć. Kiedy umrzemy, nie poczujemy tego, ponieważ na tym polega umieranie — na utracie wszystkiego. Dlatego od czasu tego paskudnego odlotu przestałam obawiać się śmierci. Natomiast żałować, to znaczy umrzeć, a jednocześnie pozostać żywym. A zatem to najintensywniejsze, najsilniejsze uczucie, jakiego można doznać. Czasem przysięgam, że nie zostaliśmy stworzeni, żeby znosić coś takiego; to za wiele — ciało ulega niemal samozniszczeniu targane tymi wstrząsami. Jednak ja chcę odczuwać żal. Wylewać łzy.

— Dlaczego?

Nie mógł tego pojąć; dla niego było to coś, czego należało unikać. Kiedy to czujesz, powinieneś jak najszybciej wynosić się do diabła.

— Żal łączy cię z tymi, których utraciłeś — mówiła Ruth. — To

złączenie: jesteś z ukochaną rzeczą lub osobą, które odchodzą. W pewien sposób dzielisz swoje ja i towarzyszysz im przez część ich podróży. Podążasz z nimi tak daleko, jak możesz. Pamiętam, kiedyś miałam psa, którego kochałam. Miałam siedemnaście czy osiemnaście lat — byłam na progu dojrzałości. Pies zachorował i zabraliśmy go do weterynarza. Powiedziano nam, że zjadł trutkę na szczury, tak że w środku ma pełno krwi, i następne dwadzieścia cztery godziny zadecydują, czy przeżyje. Wróciłam do domu i czekałam, ale koło jedenastej w nocy padłam. Weterynarz miał zadzwonić do mnie rano i powiedzieć, czy Hank przeżył noc. Wstałam o ósmej trzydzieści i usiłowałam poukładać sobie to wszystko w głowie, czekając na telefon. Poszłam do łazienki — chciałam umyć zęby — i zobaczyłam Hanka w lewym dolnym kącie pomieszczenia; powoli i z godnością wchodził na niewidoczne schody. Patrzyłam, jak idzie do góry, aż zniknął, przeszedłszy przez suft. Nie obejrzał się ani razu. Wiedziałam, że zdechł. Wtedy zadzwonił telefon i weterynarz powiedział mi, że Hank nie żyje. Tymczasem ja widziałam go idącego do góry. Oczywiście, poczułam ogromny żal, pogrążyłam się w nim, zatraciłam sama siebie i poszłam za nim po tych okropnych schodach.

Oboje milczeli przez chwilę.

— Jednak w końcu — powiedziała Ruth, odchrząknąwszy — żal przemija i wracasz do tego świata bez niego.

— I możesz to zaakceptować.

— A jaki masz, cholera, wybór? Płaczesz i płaczesz, ponieważ nie możesz nawet tak do końca wrócić stamtąd, dokąd z nim poszłaś, bo zostawiłaś tam kawałek swojego pulsującego, bijącego serca. Odłamany fragment. Masz ranę, która nigdy się nie zagoi. A jeśli to zdarza się w twoim życiu raz po raz i w końcu stracisz zbyt wiele serca, nie potra-fsz już odczuwać żalu. Wtedy sama jesteś gotowa umrzeć. Wchodzisz po tej niewidocznej drabinie, a ktoś inny zostaje i opłakuje ciebie.

— Na moim sercu nie ma ran — oświadczył Jason.

— Jeśli teraz odejdziesz — powiedziała Ruth głucho, lecz z niezwykłą u niej stanowczością — właśnie tak będę się czuła.

— Zostanę do jutra — rzekł. Co najmniej tyle czasu upłynie, zanim w policyjnym laboratorium odkryją, że jego dokumenty są podrobione.

Czy Kathy uratowała mnie — zastanawiał się — czy też zniszczyła? Naprawdę nie wiedział. Kathy, myślał, która mnie wykorzystała, która w wieku dziewiętnastu lat wie więcej niż my oboje razem wzięci; więcej niż my dowiemy się przez całe nasze życie, po drodze do grobu.

Rozłożyła go na czynniki pierwsze jak dobry kierownik grupy terapeutycznej, żeby… co? Odbudować go ponownie, silniejszego niż

przedtem? Wątpił w to, ale taka ewentualność również wchodziła w grę. Powinien o tym pamiętać. Miał do Kathy jakieś dziwne, cyniczne zaufanie, zarówno absolutne, jak i niepełne; jedną częścią umysłu postrzegał ją jako niewypowiedzianie wiarygodną, drugą jako fałszywą, sprzedajną i puszczającą się na prawo i lewo. Nie mógł tego złożyć w jedną całość. Te dwa wizerunki Kathy pozostawały na stałe w jego myślach.

Może zdołam uporać się z moim podwójnym rozumieniem Kathy, zanim stąd odejdę, pomyślał. Do rana. A może mógłbym tu zostać jeszcze jeden dzień… jednak to byłoby przeciąganie struny. Jak sprawna jest w rzeczywistości policja? — zadawał sobie pytanie. Przekręcili moje nazwisko, ściągnęli niewłaściwe akta. Czy to możliwe, że będą nadal tak pieprzyć robotę? Może tak, a może nie.

Miał również dwie przeciwstawne koncepcje policji, i nie potrafł wybrać żadnej z nich. Zastygł w miejscu jak królik Emily Fusselman, mając nadzieję, że wszyscy rozumieją zasady gry i że nie niszczy się stworzenia, które nie wie, co robić.

12

Czterej szaro odziani policjanci skupili się w świetle lampy w kształcie świecy, zrobionej z czarnego metalu i szklanej bańki sztucznego płomienia, migoczącego w mroku nocy.

— Zostały tylko dwa — powiedział niemal bezgłośnie kapral; pozwolił przemawiać swoim palcom, przesuwając je po spisie lokatorów. — Pani Ruth Gomen w dwieście jedenaście i Allen Muf w dwieście dwanaście. Gdzie wchodzimy najpierw?

— Do tego Mufego — odparł jeden z nie umundurowanych i uderzył plastikowo-ołowianą pałką o rozwartą dłoń. Teraz, kiedy byli blisko celu, pragnął jak najszybciej zakończyć akcję.

— A więc do dwieście dwanaście — rzekł kapral i wyciągnął rękę do dzwonka. Nagle przyszło mu jednak do głowy, żeby nacisnąć klamkę.

Dobrze. Jedna szansa na tysiąc, mało prawdopodobna, ale udało się. Drzwi nie były zamknięte. Ruchem ręki nakazał ciszę, uśmiechnął się i pchnął drzwi.

Ujrzeli ciemną bawialnię z pustymi i niemal pustymi kieliszkami stojącymi tu i tam, nawet na podłodze, oraz mnóstwo popielniczek pełnych zmiętych opakowań po papierosach i niedopałków. Przyjęcie, pomyślał kapral. Dawno skończone. Wszyscy poszli do domu, może oprócz pana Mufego.

Wszedł, poświecił latarką, aż w końcu oświetlił przeciwległe drzwi prowadzące w głąb drogiego apartamentu. Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu. Oprócz odległego, stłumionego odgłosu programu radiowego w maksymalnie ściszonym odbiorniku.

Przeszedł po sięgającym od ściany do ściany dywanie, który w złotych barwach ukazywał wniebowstąpienie Richarda M. Nixona, odbywające się wśród radosnych pień w górze i rozpaczliwych szlochów w dole. Przy drzwiach przeszedł po Bogu, który z szerokim uśmiechem przyjmował na swoje łono drugiego syna pierworodnego, po czym pchnął drzwi sypialni.

W wielkim podwójnym łożu, miękkim jak puch, spał nagi do pasa mężczyzna. Jego ubranie leżało na pobliskim krześle. Pan Allen Muf, oczywiście. Śpi spokojnym snem w swoim własnym podwójnym łożu. Pan Muf nie jest jednak sam w tym swoim własnym łożu. Zaplątana w pastelowe powłoki i prześcieradła śpi zwinięta w kłębek jakaś inna postać. Pani Muf, myśli kapral, i z męskiej ciekawości oświetla ją latarką.

W tym momencie Allen Muf (zakładając, że to on) poruszył się. Otworzył oczy i natychmiast usiadł na łóżku, wytrzeszczając oczy na policjantów i na światło latarki.

— Co to? — wykrztusił, dysząc ze strachu, gwałtownie i spazmatycznie chwytając oddech. — Nie — jęknął, a potem porwał coś z nocnego stolika. Rozpaczliwie sięgnął w ciemność — biały, owłosiony i nagi — po jakiś niewidoczny przedmiot, cenny dla niego. Ponownie usiadł na łóżku, sapiąc i ściskając to coś. To były nożyczki.

— A to po co? — spytał kapral, oświetlając latarką metal nożyczek.

— Zabiję się! — zawołał Muf. — Jeśli nie pójdziecie sobie… zostawcie nas w spokoju! — Przytknął zamknięte ostrza do porośniętej czarnymi włosami piersi, w pobliżu serca.

— A zatem to nie jest pani Muf — rzekł kapral. Przesunął światło latarki z powrotem na tę drugą, skuloną, zawiniętą w prześcieradła postać. — Małe bara-bara, skok-w-bok? Robisz ze swojego ślicznego mieszkanka pokój motelowy?

Kapral podszedł do łóżka, złapał brzeg powłoki i pociągnął. W łóżku obok pana Mufego leżał chłopiec, szczupły, młody i nagi, z długimi złotymi włosami.

— Niech mnie licho — powiedział kapral.

— Mam nożyce — oznajmił jeden z jego ludzi i rzucił je na podłogę, przy prawej nodze kaprala. — Ile lat ma ten chłopiec? — zapytał kapral pana Mufego, który siedział, drżąc, dysząc i wytrzeszczając oczy z przerażenia.

Chłopiec obudził się; patrzył przytomnie, ale nawet nie drgnął. Jego ładna, ledwie uformowana twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

— Trzynaście — zaskrzeczał pan Muf niemal błagalnie. — On jest pełnoletni.

— Możesz to udowodnić? — spytał kapral chłopca. Odczuwał głęboką odrazę, okropne obrzydzenie wywołujące mdłości. Pościel była poplamiona i wilgotna od potu i spermy.

— Dowód — wysapał Muf. — W jego portfelu. W jego spodniach, na krześle.

— Chcesz powiedzieć, że jeśli ten małolat ma trzynaście lat, to nie popełniono przestępstwa? — zapytał kaprala jeden z policjantów.

— Do diabła — rzekł z oburzeniem inny. — Przecież to ewidentne przestępstwo, wyraźne zboczenie. Zgarnijmy obu.

— Zaczekajcie chwilę, dobrze? — Kapral znalazł spodnie chłopca, przetrząsnął kieszenie, wyjął portfel i obejrzał dowód tożsamości. Jasne. Trzynastolatek. Zamknął portfel i wepchnął go z powrotem do kieszeni. — Nie — oznajmił, wciąż na pół ubawiony tą sytuacją i wstydem Mufego, ale z każdą chwilą odczuwając większe obrzydzenie na widok tchórzliwego zachowania zdemaskowanego. — W świetle ostatniej poprawki Kodeksu Karnego numer 640, paragraf 3 osoba w wieku lat dwunastu może odbyć akt seksualny z inną małoletnią osobą płci dowolnej lub dorosłą również dowolnej płci, ale tylko z jedną

naraz.

— Przecież to obrzydliwe — zaprotestował jeden z policjantów.

— To pańskie zdanie — rzekł Muf, nabierając odwagi.

— Dlaczego to nie jest zbrodnią, ciężką zbrodnią? — upierał się stojący nad nim policjant.

— Systematycznie eliminują z kodeksów przestępstwa bez ofar — odparł kapral.

— Ten proces trwa od dziesięciu lat.

— To? To jest przestępstwo bez ofary?

— Cóż takiego pociąga cię w takich młodych chłopcach? Powiedz, zawsze interesowali mnie tacy pedzie jak ty — powiedział kapral do Mufego.

— Pedzie — powtórzył Muf, krzywiąc się. — A więc jestem pedziem.

— Tak określamy pedoflów — wyjaśnił kapral — którzy wykorzystują małoletnich do swoich homoseksualnych celów. Chociaż to legalne, mimo wszystko paskudne. Co robisz w dzień?

— Sprzedaję używane śmigacze.

— Gdyby oni, twoi pracodawcy, wiedzieli, że jesteś pedziem, nie chcieliby, żebyś dotykał ich pojazdów. Nie po tym, co te owłosione białe ręce robiły po pracy. Racja, panie Muf? Nawet sprzedawcy używanych śmigaczy nie uchodzi być pedziem. Mimo że to już nie jest przestępstwem.

— To wina mojej matki — jęknął Muf. — Zdominowała mojego ojca, który był słabym człowiekiem.

— Ilu takich chłopców zdeprawowałeś przez ostatnie dwanaście miesięcy? — zapytał kapral. — Pytam poważnie. Czy te związki zawsze trwają tylko jedną noc?

— Kocham Bena — oświadczył Muf, patrząc przed siebie i ledwie poruszając wargami. — Później, kiedy moja sytuacja fnansowa się poprawi i będę mógł go utrzymać, zamierzam go poślubić.

— Czy chcesz, żebyśmy cię stąd zabrali? Odprowadzili do rodziców? — spytał kapral chłopca.

— On tu mieszka — rzekł Muf, uśmiechając się.

— Taak, zostanę tutaj — powiedział ponuro chłopak. Zadrżał. — Czy możecie mi oddać koc? — rzucił z irytacją, wyciągając rękę.

— Tylko nie hałasować mi tutaj — ostrzegł kapral, odsuwając się z ponurą miną.

— Chryste. I oni wycofali to z kodeksu.

— Pewnie dlatego — rzekł Muf, odzyskując pewność siebie na widok policjantów opuszczających jego sypialnię — że niektórzy z tych wielkich, grubych marszałków policji sami pieprzą dzieciaki i nie chcą ryzykować. Nie znieśliby skandalu.

Jego uśmiech zmienił się w obleśny grymas.

— Mam nadzieję — powiedział kapral — że pewnego dnia naruszysz jakieś prawo i zgarną cię, a ja będę miał służbę, kiedy to nastąpi, i będę mógł cię zamknąć osobiście.

— Odchrząknął, a potem splunął na pana Mufego. Splunął mu prosto w zarośniętą, pozbawioną wyrazu twarz.

Policjanci w milczeniu przeszli przez bawialnię, pełną niedopałków, popiołu, zgniecionych opakowań i niedopitych kieliszków, i wyszli na korytarz. Kapral zatrzasnął drzwi, otrząsnął się i stał przez moment, czując pustkę w głowie, kompletne, chwilowe oderwanie od rzeczywistości. Po chwili powiedział:

— Dwieście jedenaście. Pani Ruth Gomen. Tam powinien być podejrzany Taverner, jeżeli w ogóle gdzieś tu jest, skoro to ostatnie mieszkanie.

Nareszcie, pomyślał.

Zapukał do frontowych drzwi mieszkania nr 211. Stał z plastikowo-ołowianą pałką w pogotowiu, zupełnie nie dbając o tę robotę.

— Widzieliśmy pana Mufego — powiedział na pół do siebie. — Teraz zobaczmy panią Gomen. Myślicie, że będzie lepsza? Miejmy nadzieję, bo na dzisiaj mam już dosyć.

— Wszystko będzie lepsze od niego — rzekł ponuro jeden ze stojących za nim policjantów. Pokiwali głowami i naprężyli mięśnie, nasłuchując odgłosu powolnych kroków za drzwiami.

13

W bawialni ślicznego, komfortowego, nowo wybudowanego apartamentu Ruth Rae w dzielnicy Firefash w Las Vegas, Jason Taverner powiedział:

— Jestem pewien, że mogę liczyć czterdzieści osiem godzin na zapytanie i dwadzieścia cztery godziny na odpowiedź. Tak więc jestem przekonany, że nie muszę wynosić się stąd natychmiast.

A jeśli nasza nowa, rewolucyjna reguła jest właściwa, pomyślał, wtedy to założenie zmieni sytuację na moją korzyść. Będę bezpieczny. TEORIA ZMIENIA…

— Cieszę się — mówiła cicho Ruth — że możesz zostać ze mną jak cywilizowany człowiek i pogadać jeszcze trochę. Zrobić ci drinka? Może szkockiej z colą?

TEORIA ZMIENIA OPISYWANĄ PRZEZ SIEBIE RZECZYWISTOŚĆ.

— Nie — odmówił i krążył po pokoju, nasłuchując… sam nie wiedział czego. Może braku odgłosów. Żadnych grających telewizorów, żadnego tupania nóg nad głową. Nawet żadnych pornofonicznych piosenek, ryczących z kwadrofonicznych zestawów.

— Czy te mieszkania mają grube ściany? — zapytał nagle Ruth.

— Nigdy nic nie słychać.

— Czy to nie wydaje ci się dziwne? Nienormalne?

— Nie — Ruth potrząsnęła głową.

— Ty przeklęta, głupia krowo! — rzucił wściekle. Rozdziawiła usta z zaskoczenia i urazy. — Wiem — warknął — że mnie dopadli. Tutaj. Teraz. W tym pokoju.

Usłyszeli dzwonek do drzwi.

— Zignorujmy go — powiedziała szybko Ruth, przejęta i wystraszona. — Chcę tylko posiedzieć i pogadać z tobą o dobrych stronach twojego życia i o tym, czego pragnąłeś, a jeszcze nie zdołałeś osiągnąć…

Umilkła, kiedy podszedł do drzwi.

— To pewnie ten facet z góry. Pożycza ode mnie różne rzeczy. Przedziwne. Na przykład dwie piąte cebuli.

Jason otworzył drzwi. W progu tłoczyli się trzej policjanci z wymierzoną w niego bronią i pałkami.

— Pan Taverner? — spytał policjant z belkami na ramieniu.

— Tak.

— Dla pańskiego dobra i bezpieczeństwa zostaje wobec pana zastosowany natychmiastowy areszt ochronny. Proszę iść z nami, nie uciekać ani w żaden inny sposób nie oddalać się od nas. Przedmioty będące pańską własnością, o ile takowe tu są, zostaną zabrane później i dostarczone na miejsce pańskiego późniejszego pobytu.

— Dobrze — zgodził się, nie czując prawie nic. Za jego plecami Ruth Rae wydała stłumiony krzyk.

— Pani też — rzekł policjant z belkami, wskazując ją pałką.

— Czy mogę wziąć płaszcz? — zapytała nieśmiało.

— Idziemy.

Policjant energicznie przecisnął się obok Jasona, chwycił Ruth Rae za ramię i wyprowadził ją z mieszkania na korytarz.

— Rób, co mówi — polecił jej szorstko Jason. Ruth Rae pociągnęła nosem.

— Wsadzą mnie do obozu pracy.

— Nie — powiedział Jason. — Pewnie cię zabiją.

— Naprawdę miły z ciebie facet — skomentował jeden z policjantów bez belek, razem z kolegami sprowadzając Jasona i Ruth Rae po żelaznych schodach na parter. W jednym z boksów stała zaparkowana policyjna furgonetka, wokół niej czekało kilku policjantów z bronią gotową do strzału. Wyglądali na osowiałych i znudzonych.

— Proszę pański dowód — powiedział do Jasona policjant z belkami; wyciągnął rękę i czekał.

— Mam siedmiodniową przepustkę policyjną — rzekł Jason. Drżącą ręką wyjął ją i dał policjantowi.

— Przyznaje pan z wolnej i nieprzymuszonej woli, że jest pan Jasonem Tavernerem? — zapytał kapral, sprawdzając przepustkę.

— Tak.

Dwaj policjanci wprawnie go zrewidowali, poszukując broni. Poddał się temu w milczeniu, nadal nie odczuwając niczego, oprócz spóźnionego żalu, że nie zrobił tego, co powinien był zrobić: wynieść się. Opuścić Las Vegas. Udać się dokądkolwiek.

— Panie Taverner — rzekł policjant — Wydział Policji Los Angeles poprosił nas, żebyśmy zastosowali wobec pana areszt ochronny dla pańskiego dobra i bezpieczeństwa, a także przetransportowali pana bezpiecznie i z należną troską do Akademii Policyjnej w centrum L.A., dokąd udamy się teraz. Czy ma pan jakieś skargi co do sposobu, w jaki pana potraktowano?

— Nie — odparł. — Jeszcze nie.

— Proszę wejść do tylnej części pojazdu — rozkazał kapral, wskazując otwarte drzwi.

Jason usłuchał.

Ruth Rae, wepchnięta obok niego, jęknęła w ciemności, gdy drzwi za nimi zatrzaśnięto i zamknięto na klucz. Objął ją ramieniem i pocałował w czoło.

— Co zrobiłeś? — szepnęła zachrypniętym od whisky głosem. — Co zrobiłeś, że chcą nas zabić?

— Nie chcemy was załatwić, proszę pani. Wieziemy was oboje do

Los Angeles. To wszystko. Proszę się uspokoić — powiedział policjant przechodzący do nich z przedniej kabiny.

— Nie lubię Los Angeles — jęknęła Ruth Rae. — Nie byłam tam od lat. Nienawidzę tego miasta.

— Ja też — rzekł policjant; zamknął drzwi do przedniej części śmigacza i przez wąską szczelinę rzucił klucz kolegom. — Jednak jakoś musimy z nim żyć; ono tam jest.

— Pewnie przetrząsają całe moje mieszkanie — chlipała Ruth. — Wszystko porozrzucają i poniszczą.

— Na pewno — powiedział beznamiętnie Jason. Zaczęła go boleć głowa i miał mdłości. Był zmęczony. — Do kogo nas zabieracie? — spytał policjanta. — Do inspektora McNulty'ego?

— Raczej nie — odparł policjant tonem towarzyskiej pogawędki. — Spożywający wyskokowe trunki uczynili cię bohaterem swych pieśni, a strzegący bram obawiają się ciebie i wedle ich słów chce was przesłuchać sam generał policji Felix Buckman. To było z psalmu sześćdziesiątego dziewiątego. „Siedzę tu przy was jako Świadek Powtórnych Narodzin Jehowy, który w tej właśnie godzinie tworzy nowe nieba i nową ziemię, dawne zaś rzeczy nie będą noszone ni w myślach, ni w sercu." Księga Izajasza 65,13.17.

— Generał policji? — powtórzył zdrętwiały Jason.

— Tak mówią — odrzekł policjant ogarnięty manią religijną. — Nie wiem, co zrobiliście, ale na pewno zrobiliście to dobrze.

Ruth Rae zaszlochała w ciemnościach.

— Wszelkie ciało jest jak trawa — zaintonował maniak religijny — a raczej jak kiepska mierzwa. Dla nas narodzi się dziecię, dla nas ciosy znosić będzie. Naprostowane będą drogi niegodziwych, a uczciwi zostaną nagrodzeni.

— Masz skręta? — zapytał go Jason.

— Nie, skończyły mi się. — Maniak religijny zastukał w metalową ściankę. — Hej, Ralf, możesz poczęstować gościa skrętem?

— Masz.

W otworze pojawił się rękaw szarego munduru i policjant podał wymiętą paczkę Goldies.

— Dzięki — powiedział Jason, zapalając jednego. — Chcesz? — spytał Ruth Rae.

— Chcę Boba — zaskomliła. — Chcę mojego męża. Jason siedział skulony, w milczeniu, paląc i medytując.

— Nie załamuj się — mruknął siedzący obok policjant dewot.

— Dlaczego?

— W obozach pracy nie jest tak źle. Na kursie podstawowym pokazali nam jeden z nich: są tam prysznice, łóżka z materacami, rozrywki takie jak siatkówka, można zajmować się sztuką i mieć jakieś hobby, no wiesz — coś robić, na przykład świece, ręcznie. Rodzina

może przysyłać ci paczki, raz na miesiąc mogą cię odwiedzać znajomi. Możesz również uczęszczać do dowolnie wybranego kościoła.

— Moim dowolnie wybranym kościołem jest cały wolny świat — rzekł Jason sardonicznie.

Potem zapadła cisza, w której słychać było tylko szum motoru śmigacza i szloch Ruth Rae.

14

Dwadzieścia minut później policyjny patrolowiec wylądował na dachu Akademii Policyjnej Los Angeles. Zesztywniały Jason wysiadł, czujnie rozejrzał się dookoła, wciągnął paskudne, przesycone smogiem powietrze i znów ujrzał krajobraz największego miasta Ameryki Północnej… Odwrócił się, żeby pomóc wysiąść Ruth Rae, ale przyjacielski policjant dewot już to zrobił.

Wokół nich zebrała się grupka miejscowych policjantów, patrząc z zainteresowaniem. Byli swobodni, zaciekawieni i weseli. Jason nie dostrzegł w nich śladu złości i pomyślał: kiedy już cię mają, są mili. Tylko kiedy cię łapią, są źli i okrutni, bo wtedy istnieje możliwość, że im uciekniesz; tutaj, teraz, nie ma takiej możliwości.

— Czy podejmował próby samobójstwa? — spytał miejscowy sierżant policjanta dewota.

— Nie, sir.

To dlatego siedział przy nich. Jason nawet o tym nie pomyślał, a i Ruth Rae chyba też nie… najwyżej jako o ostatecznym, demonstracyjnym geście, prawdopodobnym, ale nigdy nie branym pod uwagę.

— W porządku — powiedział sierżant z Los Angeles do policjantów z Las Vegas.

— Od tej chwili formalnie przejmujemy tych dwoje podejrzanych.

Policjanci z Las Vegas wskoczyli do patrolowca i śmignęli w niebo, z powrotem do Nevady.

— Tędy — rzekł sierżant, energicznym ruchem ręki wskazując wejście do szybu. Policjanci z Los Angeles wydali się Jasonowi trochę wyżsi, silniejsi i starsi od tych z Las Vegas. A może to działała jego wyobraźnia, może oznaczało to jedynie, że zaczął się bać.

Co można powiedzieć generałowi policji? — zastanawiał się Jason, szczególnie kiedy wszystkie twoje teorie i wyjaśnienia okazały się błędne, kiedy nic nie wiesz, w nic nie wierzysz, a reszta jest niejasna. Ach, do diabła z tym, pomyślał ze znużeniem i pozwolił swemu pozbawionemu ciężaru ciału opaść szybem, razem z policjantami i Ruth Rae.

Wysiedli na czternastym piętrze.

Stał przed nimi dobrze ubrany mężczyzna, w okularach bez oprawek i skórzanych mokasynach; miał prochowiec przerzucony przez ramię i dwa złote zęby. Jason ocenił jego wiek na ponad pięćdziesiąt lat. Był wysoki, siwowłosy, wyprostowany; na arystokratycznej twarzy malował się wyraz szczerej sympatii. Nie wyglądał na policjanta.

— Pan jest Jasonem Tavernerem? — zapytał. Wyciągnął rękę;

Jason z wahaniem ją uścisnął. Do Ruth powiedział: — Pani może zejść na dół, przesłucham panią później.

Teraz chcę porozmawiać z panem Tavernerem.

Policjanci wyprowadzili Ruth; słyszał jej narzekania jeszcze chwilę po tym, jak zniknęła mu z oczu. Został sam na sam z generałem, nie było uzbrojonych strażników.

— Jestem Felix Buckman — oznajmił generał policji. Wskazał otwarte drzwi za swoimi plecami. — Proszę do gabinetu.

Odwrócił się, przepuszczając przed sobą Jasona do ogromnej sali, utrzymanej w pastelowej, błękitnoszarej tonacji. Jason zamrugał oczami; nie znał policji od tej strony. Nawet nie wyobrażał sobie czegoś takiego.

Chwilę później zdumiony Jason siedział w obitym skórą fotelu, wygodnie rozparty w miękkim styrofeksie. Buckman nie zasiadł jednak za swoim wielkim, niemalże topornym, dębowym biurkiem; krzątał się przy szafe, wieszając płaszcz.

— Zamierzałem powitać pana na dachu — wyjaśnił — ale o tej porze nocy wieje tam piekielnie zimny wiatr. To mi szkodzi na zatoki. — Odwrócił się i spojrzał na Jasona. — Widzę coś, czego nie widać na pańskiej fotografi. Nigdy tego nie widać. To zawsze jest prawdziwą niespodzianką, przynajmniej dla mnie. Jest pan szóstakiem, prawda?

Jason, którego czujność gwałtownie się obudziła, lekko uniósł się z fotela i zapytał:

— Pan jest także szóstakiem, generale?

Ukazując złote zęby — okropny anachronizm — w szerokim uśmiechu, Felix Buckman uniósł w górę dłoń o siedmiu palcach.

15

W czasie swojej policyjnej kariery Felix Buckman stosował tę sztuczkę za każdym razem, kiedy spotykał szóstaka. Polegał na niej szczególnie wtedy, kiedy — tak jak teraz — spotkanie było nieoczekiwane. Dotychczas było ich czterech. Wszyscy w końcu mu uwierzyli. To go bawiło. Szóstacy, sami będąc rezultatem tajnego eksperymentu eu-genicznego, zadziwiająco łatwo dawali się przekonać o istnieniu dodatkowego, równie utajnionego planu.

Bez tej sztuczki byłby dla szóstaka tylko „zwyczajnym" i nie mógłby odpowiednio nim pokierować. Oto cały podstęp. To całkowicie zmieniało relacje między Buckmanem a szóstakami. W tak odwróconej sytuacji mógł z powodzeniem radzić sobie z ludźmi, nad którymi inaczej nie potrafiłby zapanować.

Sprytny blef całkowicie likwidował rzeczywistą przewagę psychiczną, jaką miał nad nim szóstak. Buckmana bardzo cieszył ten fakt.

— Potrafę myśleć szybciej od szóstaka przez mniej więcej dziesięć, piętnaście minut — wyznał kiedyś, w wolnej chwili, Alys. — Jeśli jednak spotkanie potrwa dłużej… — Poparł słowa gestem, zgniatając opakowanie czarnorynkowych papierosów. Dwa były jeszcze w środku. — Później wygrywają dzięki swoim nadzwyczajnym zdolnościom.

Potrzebuję dźwigni, którą mógłbym podważyć i otworzyć te ich cholerne umysły.

I w końcu ją znalazł.

— Dlaczego siódmak? — pytała Alys. — Skoro to fkcja, to dlaczego nie ósmak albo trzydziestak?

— Grzech pychy. Wygórowane ambicje. — Nie miał ochoty popełnić tego legendarnego błędu. — Powiem im — wyjaśnił ponuro — to, w co według mnie wierzą.

Okazało się, że miał rację.

— Nie uwierzą ci — mówiła Alys.

— Och, do diabła, uwierzą! — odparował. — To ich skrywana obawa, ich *bete noire.* Oni są szóstym z kolei produktem rekonstrukcji DNA i wiedzą, że jeśli można to było zrobić z nimi, to z innymi również, i uzyskać jeszcze lepsze wyniki.

— Powinieneś wciskać kit w dziennikach telewizyjnych — powiedziała cicho Alys, bez zainteresowania.

To była cała jej reakcja. Jeżeli coś nie miało dla niej znaczenia, przestawało istnieć. To nie powinno udawać jej się aż tak długo… Kiedyś, myślał często Buckman, przyjdzie jednak czas zapłaty: negowana rzeczywistość upomni się o swoje, niespodziewanie

dopadając i doprowadzając do szaleństwa.

Alys, jak myślał wielokrotnie, w pewnym sensie, w jakiś niezwykły sposób, była patologicznym przypadkiem. Wyczuwał to, ale nie potrafł zdefniować, często miał jednak takie przeczucia. Nie przejmował się tym, ponieważ ją kochał. Wiedział, że ma rację.

— Było nas bardzo niewielu — zaczął Buckman, sadowiąc się za ogromnym dębowym biurkiem. — Tylko czworo. Jeden już nie żyje, więc zostało troje. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie są pozostali. Utrzymujemy z sobą jeszcze luźniejsze kontakty niż wy, szóstacy, czyli niemal żadnych.

— Kto pana zmutował? — spytał Jason.

— Dill-Temko. Tak samo jak pana. Kierował pracami począwszy od piątaków do siódmaków, a potem przeszedł na emeryturę. Jak pan z pewnością wie, już nie żyje.

— Tak — rzekł Jason. — Wszyscy byliśmy wstrząśnięci.

— My też — powiedział posępnie Buckman. — Dill-Temko był naszym rodzicem. Naszym jedynym rodzicem. Czy pan wie, że w chwili śmierci pracował nad ósmakami?

— Jacy by byli?

— To wiedział tylko Dill-Temko — odparł Buckman. Poczuł, że zdobywa coraz większą przewagę nad siedzącym naprzeciw szóstakiem. Jakże krucha była jednak ta przewaga psychologiczna. Wystarczyło jedno błędne stwierdzenie, jedno słowo za dużo, by zniknęła. A kiedy raz ją utraci, nigdy już jej nie odzyska.

Na tym polegało ryzyko, ale to go bawiło: zawsze lubił stawiać na nikłe szansę, grać w ciemno. Takie chwile jak ta budziły w nim poczucie własnej wartości. Nie uważał tego za imaginację… mimo tego, co powiedziałby o nim szóstak, gdyby poznał w nim zwyczajnego. To go nie obchodziło.

— Peggy, przynieś nam dzbanek kawy, śmietankę i tak dalej. Dziękuję — powiedział, wcisnąwszy przycisk. Z wystudiowaną swobodą wyciągnął się w fotelu i patrzył na Jasona Tavernera.

Każdy, kto spotkał kiedyś szóstaka, rozpoznałby go w Tavernerze. Silny tors, potężne sklepienie ramion i pleców, wielka, kształtna głowa. Większość zwyczajnych nigdy nie rozpoznałaby szóstaka; nie mieli takiego doświadczenia jak Buckman ani jego długo gromadzonej wiedzy.

— Nigdy nie opanują mojego świata i nie będą nim rządzić — powiedział kiedyś do Alys.

— Ty nie masz świata. Masz tylko gabinet. W tym momencie zakończył dyskusję.

— Panie Taverner — zaczął bez ogródek — jak zdołał pan usunąć dokumenty, karty, mikroflmy, a nawet całe akta ze wszystkich banków danych na planecie? Usiłowałem wyobrazić sobie sposób, w

jaki można to zrobić, ale mi się nie udało.

Skupił wzrok na przystojnej, chociaż zdradzającej dojrzały wiek, twarzy szóstaka i czekał.

16

Co mam mu powiedzieć? — zadawał sobie pytanie Jason Taverner, siedząc w milczeniu przed generałem policji. Całą prawdę, jaką znam? To byłoby trudne, gdyż sam wszystkiego nie ogarniam. Może siódmak mógłby… no cóż, Bóg wie, co mógłby zrobić siódmak. Postanowił powiedzieć mu wszystko.

Jednakże kiedy otworzył usta, coś odebrało mu mowę. Nie chcę mówić mu niczego — uświadomił sobie. Teoretycznie może ze mną zrobić wszystko: ma generalskie stanowisko, autorytet, a jeśli jest siódmakiem… jego możliwości są prawie nieograniczone. Powinienem oprzeć się na takim założeniu, jeśli nie z innych powodów, to dla własnego dobra.

— Fakt, że jest pan szóstakiem — rzekł Buckman po chwili milczenia — każe mi widzieć to w innym świetle. Współpracuje pan z innymi szóstakami, prawda? — Nie odrywał oczu od twarzy Jasona, który uznał to za nieprzyjemne i rozpraszające. — Myślę — oświadczył Buckman — że mamy tu pierwszy konkretny dowód tego, że szóstaki…

— Nie — przerwał mu Jason.

— Nie? — Buckman nadal przeszywał go wzrokiem. — Nie są w to zamieszani inni szóstacy?

— Znam tylko jednego. To Heather Hart, która uważa mnie za zboczonego fana.

— Zmełł te słowa w ustach.

Buckman zainteresował się; nie miał pojęcia, że sławna piosenkarka Heather Hart jest szóstakiem. Po namyśle wydało mu się to prawdą. Jeszcze nigdy nie stawił czoła kobiecie szóstakowi; jego kontakty z nimi nie były tak częste.

— Skoro panna Hart jest szóstakiem — powiedział na głos — to może powinniśmy zaprosić ją tu i przeprowadzić rozmowę. — Policyjny eufemizm łatwo spłynął mu z języka.

— Zróbcie to — rzucił wściekle Jason. — Przepuśćcie ją przez magiel. Zamknijcie. Wsadźcie do obozu pracy.

Wy, szóstaki, powiedział sobie Buckman, nie jesteście wobec siebie lojalni. Już dawno to odkrył, ale wciąż go to dziwiło. Elitarna grupa, wybrana z kręgów dawnej arystokracji, aby rządzić i kierować światem, rozproszyła się i stała niczym tylko dlatego, że jej członkowie nie znosili się wzajemnie. Uśmiechnął się w duchu, pozwalając, by uśmiech pojawił się w końcu na jego twarzy.

— Bawi to pana? — spytał Jason. — Nie wierzy mi pan?

— To bez znaczenia.

Buckman wyjął z szufady biurka pudełko cygar Cuesta Rey i

nożykiem, przeznaczonym tylko do tego celu, obciął koniec jednego z nich. Siedzący naprzeciw niego Jason Taverner obserwował to z głębokim zainteresowaniem.

— Cygaro? — zaproponował Buckman. Podsunął pudełko Jasonowi.

— Nigdy nie paliłem dobrego cygara — rzekł Jason. — Jeśli rozejdzie się, że…

— urwał.

— Rozejdzie się? — zapytał Buckman, nadstawiając ucha. — Rozejdzie się — w jakich kręgach? Policyjnych?

Jason nie odpowiedział. Zacisnął pięści i zaczął głośniej oddychać.

— Czy są jakieś sfery, w których jest pan dobrze znany? — pytał Buckman. — Na przykład, wśród intelektualistów w obozach pracy, no, tych, którzy kolportują ręcznie pisane ulotki.

— Nie.

— A więc w środowisku muzycznym?

— Już nie — uciął Jason.

— Czy nagrywał pan kiedyś piosenki?

— Nie tutaj.

Buckman nadał wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem; nauczył się tego przez długie lata pracy.

— A więc gdzie? — zapytał ledwie słyszalnym głosem. Celowo mówił tak cicho; ten głos usypiał, odwracał uwagę od sensu słów.

Jason Taverner nie dał się zwieść; nie odpowiedział na pytanie. Te cholerne, przeklęte szóstaki, pomyślał Buckman, wściekły głównie na siebie. Nie mogę się bawić w sprytne gierki z szóstakiem. To po prostu nie może się udać. On w każdej chwili może zdemaskować mój blef, moje kłamstwo o dziedzicznej przewadze genetycznej. Nacisnął przycisk interkomu.

— Przyprowadźcie tu pannę Katharine Nelson — polecił Herbowi Maime'owi.

— Policyjną informatorkę z dzielnicy Watts, niegdyś zamieszkałej przez czarnych. Chyba powinienem z nią porozmawiać.

— Za pół godziny.

— Dziękuję.

— Po co ją w to wciągać? — spytał Jason ochrypłym głosem.

— Ona podrobiła pańskie dokumenty.

— Wie o mnie tylko to, co kazałem jej wpisać do papierów.

— A to fałszywe dane? Po chwili Jason przecząco pokręcił głową.

— A zatem pan istnieje.

— Nie… tutaj.

— A gdzie?

— Nie wiem.

— W jaki sposób skasował pan dane we wszystkich bankach?

— Nie zrobiłem tego.

Słysząc to, Buckman poczuł, jak ogarnia go niesamowite przeczucie; chwyciło go jak w kleszcze.

— Pan nie wycofał informacji z banków danych; pan próbował je tam umieścić. Tam nie było żadnych pańskich danych.

Po chwili Jason kiwnął głową.

— W porządku — rzekł Buckman; czuł, jak płomyk odkrycia rozpala się, bucha ogniem zrozumienia. — Niczego pan nie wycofywał. Musi być jednak powód tego, że danych tam nie było. Dlaczego? Wie pan?

— Wiem — odparł Jason Taverner, patrząc w blat stołu; jego twarz stała się nieprzezroczysta jak lustro. — Ja nie istnieję.

— Ale kiedyś pan istniał.

— Tak — odrzekł Taverner, niechętnie, z żalem kiwając głową. Z żalem.

— Gdzie?

— Nie wiem!

Zawsze się na tym kończy, pomyślał Buckman. Nie wiem. No cóż, może rzeczywiście nie wie. Poleciał jednak z Los Angeles do Las Vegas, przespał się z tą chudą, pomarszczoną dupą, którą policjanci z Vegas wpakowali razem z nim do patrolowca. Może, pomyślał, z niej zdołam coś wydobyć. Przeczucie mówiło mu jednak, że nie.

— Jadł pan obiad? — zapytał.

— Tak — odparł Jason.

— Może coś pan ze mną przegryzie? Każę, żeby nam coś przynieśli. Ponownie skorzystał z interkomu.

— Peggy, już późno… przynieś nam śniadanie z tego nowego lokalu na dole. Nie z tego, co zawsze, ale tego, który ma w szyldzie dziewczynkę z głową psa. Od Barfy'ego.

— Tak jest, panie Buckman — powiedziała Peggy i rozłączyła się.

— Dlaczego nie tytułują pana generałem?

— Kiedy nazywają mnie generałem, mam wrażenie, że powinienem napisać książkę o tym, jak podbić Francję, nie wdając się w wojnę na dwóch frontach.

— Dlatego mówią po prostu pan.

— Zgadza się.

— I oni pozwalają panu na to?

— Dla mnie — odparł Buckman — nie ma żadnych onych, oprócz pięciu marszałków policji w różnych częściach świata, a i oni każą do siebie mówić per pan.

I bardzo chcieliby mnie zdegradować jeszcze bardziej, pomyślał. Za wszystko, co zrobiłem.

— Jest jeszcze dyrektor.

— Dyrektor — powiedział Buckman — nigdy nie widział mnie na oczy i nie zobaczy. Tak samo jak pana, panie Taverner. Nikt nie może pana zobaczyć, panie Taverner, ponieważ, jak sam pan powiedział, pan nie istnieje.

Do gabinetu weszła kobieta w szarym mundurze, niosąc tacę ze śniadaniem.

— Przyniosłam to, co zwykle zamawia pan o tej porze — rzekła, stawiając tacę na biurku Buckmana. — Frytki z podwójną porcją szynki i frytki z podwójną porcją kiełbasy.

— Co pan woli? — spytał Jasona Buckman.

— Czy kiełbasa jest dobrze wysmażona? — zapytał Taverner, zerkając na danie.

— Chyba tak. Wezmę ją.

— Dziesięć dolarów i jedna złota ćwierćdolarówka — odpowiedziała policjantka.

— Który z panów płaci?

Buckman sięgnął do kieszeni, wyjął banknoty i drobne.

— Dziękuję. — Kobieta wyszła. — Czy ma pan dzieci? — zapytał Tavernera.

— Nie.

— Ja mam jedno — wyznał generał. — Pokażę panu trójwymiarowe zdjęcie, jakie ostatnio otrzymałem.

Sięgnął do biurka i wyjął jaskrawy prostokąt trójwymiarowych, nieruchomych barw. Jason wziął od niego zdjęcie i ustawił pod odpowiednim kątem do światła; ujrzał chłopca w krótkich spodenkach i sweterku, biegnącego boso po polu, ciągnącego latawiec na sznurku. Podobnie jak generał, chłopak miał jasne, krótkie włosy i wydatną szczękę.

— Ładny — orzekł Jason. Oddał zdjęcie.

— Nigdy jeszcze nie puścił tego latawca. Chyba jest za mały albo za bardzo wystraszony. Nasz dzieciak ma wiele powodów do niepokoju, pewnie dlatego, że tak rzadko widuje mnie i swoją matkę. Jest w szkole na Florydzie, a my tutaj, a to niezbyt dobrze. Mówi pan, że nie ma pan dzieci?

— Przynajmniej nic o tym nie wiem.

— Nie wie pan? — Buckman uniósł brew. — Czy to oznacza, że nie zamierza pan tego wyjaśnić? Nigdy nie próbował się pan dowiedzieć? Wie pan, że zgodnie z prawem należy łożyć na swoje dzieci zarówno legalne, jak i pozamałżeńskie.

Jason kiwnął głową.

— No cóż — rzekł generał, chowając zdjęcie z powrotem do biurka. — Każdy robi, jak uważa, ale niech się pan zastanowi nad tym, co pan stracił. Czy kochał pan kiedyś dziecko? Może złamać ci serce, zranić tak głęboko, że jesteś bliski śmierci.

— Nie wiedziałem.

— Och, tak. Moja żona mówi, że można zapomnieć o wszelkich rodzajach miłości oprócz rodzicielskiej. Ta jest stała i niezmienna. A jeśli coś stanie między tobą a dzieckiem — na przykład śmierć lub jakieś straszne nieszczęście jak rozwód — nigdy nie da się tego naprawić.

— Do diabła — Jason podniósł nabitą na widelec kiełbaskę — to chyba lepiej nie odczuwać takiej miłości.

— Nie zgadzam się. Zawsze należy kochać, szczególnie dziecko, ponieważ to jest najsilniejszy rodzaj miłości.

— Rozumiem.

— Nie, nie rozumiesz. Szóstaki tego nie rozumieją, po prostu nie mogą pojąć. Nie warto o tym dyskutować.

Marszcząc brwi, przerzucił stertę papierów na biurku, zdziwiony i zakłopotany. Powoli się uspokajał i odzyskiwał zwykłą pewność siebie. Nie mógł jednak zrozumieć nastawienia Jasona Tavernera. Dla niego dziecko było najważniejsze; ono oraz — oczywiście — miłość do jego matki; to było esencją jego życia.

Przez jakiś czas jedli bez słowa, nagle pozbawieni jakiejkolwiek więzi między sobą.

— W tym budynku jest bar — powiedział w końcu Buckman, wypiwszy szklankę podrabianej chińskiej herbaty — ale jedzenie tam jest trujące. Chyba wszyscy pracownicy mają krewnych w obozach pracy. Mszczą się na nas.

Wybuchnął śmiechem. Jason Taverner nie uśmiechnął się.

— Panie Taverner — rzekł Buckman, ocierając usta serwetką. — Zamierzam pana wypuścić. Nie zatrzymuję pana.

— Dlaczego? — spytał Jason, wpatrując się w niego.

— Ponieważ nic pan nie zrobił.

— A podrobione dokumenty? To przestępstwo.

— Mam prawo uchylić dowolne oskarżenie — odparł Buckman. — Sądzę, że zmusiła pana do tego sytuacja, o której nie chce mi pan nic powiedzieć, ale którą rozumiem.

— Dziękuję — rzekł Jason po chwili.

— Każdy pański krok będzie jednak monitorowany elektronicznie. Nigdy nie zostanie pan sam, z wyjątkiem własnych myśli, a może nawet i nie. Każdy, z kim nawiąże pan kontakt, zostanie tu sprowadzony i przesłuchany… tak jak teraz ta mała Nelson. Nachylił się do Jasona Tavernera i mówił powoli i wyraźnie, żeby Jason wysłuchał go i zrozumiał. — Uważam, że nie wycofał pan żadnych danych z żadnych banków, publicznych czy prywatnych. Myślę, że nie rozumie pan swojej sytuacji. Jednak… — wyraźnie podniósł głos — prędzej czy później zrozumie ją pan, a kiedy to nastąpi, chcemy przy tym być. Dlatego zawsze będziemy z panem, dobrze?

Jason Taverner wstał.

— Czy wszyscy siódmacy myślą w ten sposób?

— W jaki sposób?

— Podejmują stanowcze, istotne, szybkie decyzje, tak jak pan. Podziwiam sposób, w jaki zadaje pan pytania, słucha — Boże, jak pan umie słuchać! — a potem wyrabia sobie zdanie na dany temat.

— Nie wiem — odparł szczerze Buckman — bo tak rzadko kontaktuję się z innymi siódmakami.

— Dziękuję — powiedział Jason. Wyciągnął rękę; uścisnęli sobie dłonie. — Dzięki za posiłek.

Teraz wyglądał na spokojnego, panował nad sobą. Chyba czuł ulgę.

— Czy mogę stąd tak po prostu odejść? Jak mam wyjść na ulicę?

— Będziemy musieli zatrzymać pana do rana — odpowiedział Buckman. — Takie są przepisy. Podejrzanych nigdy nie zwalnia się w nocy. Zbyt wiele może się zdarzyć na ulicach po zmroku. Dostanie pan pryczę i pokój; będzie pan musiał spać w ubraniu… a o ósmej rano Peggy odprowadzi pana do wyjścia.

Buckman wcisnął przycisk interkomu i polecił:

— Peggy, na razie zabierz pana Tavernera do aresztu; wypuść go dokładnie o ósmej rano. Zrozumiano?

— Tak, panie Buckman. Generał Buckman, rozłożywszy ręce, rzekł z uśmiechem:

— To wszystko. Na tym skończyliśmy.

17

— Panie Taverner — powtarzała Peggy. — Proszę wstać, ubrać się i pójść za mną do biura. Zaczekam tam na pana. Niech pan wejdzie w niebiesko-białe drzwi.

Stojąc nieco z boku, generał Buckman przysłuchiwał się głosowi dziewczyny; był miły i energiczny, wydawał mu się przyjemny i domyślał się, że Tavernerowi również.

— Jeszcze jedno — powiedział Buckman, zatrzymując rozchełstanego, zaspanego Jasona, który ruszył do niebiesko-białych drzwi. — Nie mogę odnowić pańskiej przepustki, jeśli anuluje ją któryś z niższych rangą funkcjonariuszy. Rozumie pan? Musi pan złożyć podanie, zgodnie z przepisami, o zestaw niezbędnych dokumentów. To będzie wiązało się z intensywnym przesłuchaniem, ale… — klepnął Jasona w ramię — szóstak da sobie z tym radę.

— W porządku — rzekł Jason Taverner. Opuścił biuro, zamykając za sobą niebiesko-białe drzwi.

— Herb, upewnij się, że podrzucili mu zarówno mikronadajniki, jak i heterostatyczną głowicę bojową klasy osiemdziesiąt, tak żebyśmy mogli go śledzić i w każdej chwili zniszczyć, jeśli zajdzie taka konieczność — powiedział Buckman do interkomu.

— Mikrofon również? — spytał Herb.

— Tak, jeśli zdołacie przyczepić mu go tak, żeby nie zauważył.

— Każę to zrobić Peggy — powiedział Herb i wyłączył się. Czy gdyby oprócz mnie i McNulty'ego sprawą zajęli się jeszcze Mutt i Jef, zdobyliby więcej informacji? — zadawał sobie pytanie. Doszedł do wniosku, że nie, ponieważ ten człowiek sam nic nie wie. Musimy zaczekać, aż rozwiąże tę zagadkę… i być przy nim, fzycznie lub elektronicznie, kiedy to nastąpi, tak jak mu mówiłem. Mimo wszystko obawiam się, że mogliśmy natra-fć na coś, co szóstaki robią wspólnie, nie bacząc na wzajemne animozje. Ponownie wcisnął guzik interkomu i polecił:

— Herb, niech przez dwadzieścia cztery godziny na dobę obserwują tę piosenkarkę Heather Hart, czy jak tam się nazywa. A z Danpolu ściągnij akta wszystkich nazywanych szóstakami. Rozumiesz?

— Czy klasyfkacja obejmuje taką kategorię? — zapytał Herb.

— Pewnie nie — odparł ponuro Buckman. — Pewnie nikt o tym nie pomyślał dziesięć lat temu, kiedy Dill-Temko jeszcze żył i wymyślał ciągle nowe, niesamowite formy życia. — Takie jak my, siódmacy, pomyślał kwaśno. — A na pewno nie pomyśleli o tym ostatnio, kiedy szóstacy zawiedli politycznie. Zgadzasz się ze mną?

— Zgadzam — rzekł Herb — ale i tak spróbuję.

— Jeśli zdołasz ich wyszukać, chcę, żeby wszyscy szóstacy byli

pilnowani dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet jeśli nie potrafmy ich wyplenić, możemy przynajmniej śledzić tych, których znamy.

— Tak zrobimy, panie Buckman. — Herb wyłączył się.

18

— Do widzenia i życzę szczęścia, panie Taverner — pożegnała Jasona policjantka imieniem Peggy w szerokich drzwiach wyjściowych budynku Akademii.

— Dziękuję — odparł Jason. Głęboko odetchnął porannym powietrzem, przesyconym smogiem. Wydostałem się, powiedział sobie. Mogli przymknąć mnie pod tysiącem zarzutów, ale nie zrobili tego.

— Jak leci, mały? — usłyszał tuż obok gardłowy kobiecy głos.

Nigdy w życiu nikt nie nazwał go „małym"; miał ponad metr osiemdziesiąt. Odwrócił się, chcąc coś odpowiedzieć, i ujrzał osobę, która to powiedziała. Ona również mierzyła metr osiemdziesiąt; pod tym względem byli sobie równi. W odróżnieniu od niego nosiła obcisłe czarne spodnie, czerwoną skórzaną koszulę obszytą frędzlami, złote kolczyki i pas z metalowych ogniw. Miała buty na wysokich obcasach. Jezu Chryste, pomyślał przerażony, gdzie podziała swój bat?

— Do mnie mówiłaś?

— Tak. — Uśmiechnęła się, pokazując zęby ozdobione złotymi znakami zodiaku. — Zanim stamtąd wyszedłeś, podrzucili ci trzy drobiazgi; pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

— Wiem — powiedział Jason, zastanawiając się, kim lub czym ona jest.

— Jeden z nich — mówiła — to miniaturowa bomba wodorowa. Można ją zdetonować sygnałem radiowym wysłanym z tego budynku. Wiedziałeś o tym?

— Nie. Nie wiedziałem — odpowiedział po dłuższej chwili.

— On taki jest — rzekła dziewczyna. — Mój brat… gawędzi przyjaźnie i miło, w cywilizowany sposób, a potem każe komuś ze swoich ludzi — a ma ich wielu — podrzucić ci pluskwy, zanim opuścisz budynek.

— Twój brat — powiedział powoli Jason.

— Generał Buckman.

Teraz wyraźnie widział łączące ich podobieństwo. Cienki, wydłużony nos, wystające kości policzkowe, szyja jak u Modiglianiego, łagodnie wyciągnięta. Uroda patrycjuszy, pomyślał. Oboje wywarli na nim duże wrażenie.

A zatem i ona musi być siódmaczką, powiedział sobie. Znów obudziła się w nim czujność; spojrzał na dziewczynę i dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Pomogę ci ich zgubić — oznajmiła; uśmiechnęła się jak generał Buckman, błyskając złotymi zębami.

— Znakomicie — rzekł Jason.

— Wsiądź do mojego wozu. — Ruszyła jak na sprężynach; niezgrabnie podążył za nią.

Po chwili siedzieli na przednich siedzeniach jej śmigacza.

— Mam na imię Alys.

— A ja jestem Jason Taverner, piosenkarz i gwiazda telewizji.

— Och, naprawdę? Nie oglądałam telewizji, od kiedy skończyłam dziewięć lat.

— Niewiele straciłaś — odparł. Nie wiedział, czy miało to brzmieć ironicznie. Naprawdę, pomyślał, jestem zbyt zmęczony, żeby mnie to obchodziło.

— Ta mała bomba ma wielkość nasionka — tłumaczyła Alys. — Jest wczepiona w twoją skórę, jak kleszcz. Nawet wiedząc, że ją nosisz, nie zdołałbyś jej znaleźć, ale ja pożyczyłam sobie to. — Pokazała wydłużoną lampkę. — Ona świeci, kiedy znajdzie się w pobliżu bomby.

Sprawnie, z niemal profesjonalną zręcznością, zaczęła przesuwać lampkę po jego ciele. Wykrywacz zaświecił przy lewym nadgarstku.

— Mam także zestaw do usuwania takich bomb — oznajmiła Alys. Wyjęła z konduktorki niewielkie pudełko, które natychmiast otworzyła. — Im szybciej ją wytnę, tym lepiej — dodała, biorąc do ręki skalpel.

Przez dwie minuty zręcznie nim operowała, jednocześnie spryskując ranę środkiem znieczulającym — i już miała ją w ręce. Tak jak powiedziała, ładunek był wielkości nasionka.

— Dzięki za wyciągnięcie ciernia z mojej łapy — powiedział. Alys roześmiała się wesoło; odłożyła skalpel do pudełka, zamknęła je i schowała z powrotem do swojej wielkiej torby.

— Widzisz — mówiła — on nigdy nie robi tego sam; zawsze zleca komuś ze swoich ludzi. W ten sposób może pozostać czysty i spokojny, jakby to go wcale nie dotyczyło. Myślę, że tego nienawidzę w nim najbardziej. — Zamyśliła się na chwilę. — Naprawdę go nienawidzę.

— Czy jest jeszcze coś, co mogłabyś ze mnie wyciąć? — dociekał Jason.

— Próbowali — robiła to Peg, która jest policyjnym ekspertem od takich rzeczy — przyczepić ci mikrofon do szyi, ale nie sądzę, żeby im się udało. — Starannie obejrzała jego kark. — Nie, nie ma — odpadł. Świetnie. To mamy z głowy. Jeszcze nosisz gdzieś na sobie mikronadajnik; będzie nam potrzebna lampa stroboskopowa, żeby wychwycić jego sygnał.

Pogrzebała w schowku pod tablicą rozdzielczą i znalazła stroboskopową lampę na baterie.

— Mam nadzieję, że go znajdę — powiedziała i włączyła lampę.

Okazało się, że mikronadajnik został umieszczony w mankiecie lewego rękawa marynarki. Alys przebiła go szpilką i było po

wszystkim.

— Czy jest coś jeszcze? — dopytywał się Jason.

— Ewentualnie minikamera. Bardzo mała kamera przekazująca obraz telewizyjny na monitory w Akademii. Nie sądzę, by ci ją wszywali. Myślę, że możemy zaryzykować i zapomnieć o niej. — Po chwili obróciła się i przyjrzała mu się uważnie. — Tak przy okazji, kim jesteś? — zapytała.

— Nikim — odparł Jason.

— To znaczy?

— To znaczy, że nie istnieję.

— Fizycznie?

— Nie wiem — odparł zgodnie z prawdą. Może, pomyślał, gdybym był bardziej szczery z jej bratem, generałem policji… może on zdołałby na to odpowiedzieć. W końcu Felix Buckman był siódmakiem, cokolwiek to oznaczało.

Mimo wszystko Buckman zmierzał we właściwym kierunku; wiele odkrył, i to w bardzo krótkim czasie — między późnym śniadaniem a cygarem.

— A zatem ty jesteś Jasonem Tavernerem — stwierdziła dziewczyna. — Człowiekiem, którego usiłował zdemaskować McNulty. Człowiekiem, którego danych nie ma nigdzie na świecie: żadnej metryki, żadnych świadectw szkolnych, żadnych…

— Skąd o tym wiesz?

— Przejrzałam sobie raport McNulty'ego — odrzekła lekkim tonem — w gabinecie Felixa. Zainteresował mnie.

— To dlaczego pytałaś, kim jestem?

— Zastanawiałam się, czy wiesz. Znałam wersję McNulty'ego; teraz chciałam poznać twoją. Skonfrontować zeznania, jak mówią.

— Nie potrafę dodać nic do tego, co wie McNulty.

— Nieprawda.

Zaczęła go przesłuchiwać dokładnie w taki sam sposób, jak niedawno jej brat. Miała cichy, ciepły ton głosu, jakby rozmawiali o jakichś mało istotnych sprawach; badawcze spojrzenie utkwiła w jego twarzy; z wdziękiem poruszała rękami, jakby rozmawiając z nim, jednocześnie tańczyła sama z sobą. Piękno tańczące z pięknem, pomyślał; uznał, że jest fzycznie, seksualnie podniecająca. A Bóg wie, że seksu miał dosyć na kilka najbliższych dni.

— Dobrze — zgodził się. — Wiem więcej.

— Więcej, niż powiedziałeś Felixowi? Zawahał się. W ten sposób udzielił jej odpowiedzi.

— Tak — odpowiedziała za niego Alys. Wzruszył ramionami. To było oczywiste.

— Powiem ci coś — zaproponowała nagle Alys. — Chciałbyś zobaczyć, jak mieszka generał policji? Jego dom? Jego zamek za

miliard dolarów?

— Wprowadzisz mnie do środka? — spytał z niedowierzaniem. — Jeśli się o tym dowie…

Urwał. Do czego namawia mnie ta kobieta? — zadawał sobie pytanie. To strasznie niebezpieczne; wyczuwał to całym sobą, stając się jednocześnie czujny i pobudzony. Poczuł, jak budzi się w nim przebiegłość, przenikając każdą cząstkę świadomości. Jego ciało wiedziało, że teraz musi zachować ostrożność większą niż kiedykolwiek.

— Możesz legalnie wejść do jego domu? — spytał, opanowując emocje; jego głos brzmiał naturalnie, bez śladu napięcia.

— Do licha — powiedziała Alys. — Mieszkam z nim. Jesteśmy bliźniakami, jesteśmy sobie bliscy. Kazirodczo bliscy.

— Nie chciałbym wpaść w pułapkę zastawioną przez ciebie wspólnie z generałem Buckmanem.

— Wspólnie z Felixem? — Wybuchnęła śmiechem. — Felix i ja nie potraflibyśmy współpracować przy malowaniu wielkanocnych pisanek. Daj spokój, lećmy do domu. Zgromadziliśmy tam sporo interesujących rzeczy: średniowieczne drewniane szachy, staroangielskie kościane kubki, trochę pięknych wczesnych amerykańskich znaczków wypuszczonych przez National Banknote Company. Interesujesz się znaczkami?

— Nie — odpowiedział.

— A bronią? Zawahał się.

— Do pewnego stopnia.

Przypomniał sobie swój pistolet; po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin miał powód, żeby o nim pomyśleć.

Alys zmierzyła go spojrzeniem i powiedziała:

— Wiesz co, jak na takiego małego faceta, całkiem nieźle wyglądasz. I jesteś starszy, niż lubię… ale nie zanadto. Jesteś szóstakiem, prawda?

Kiwnął głową.

— No co? — kusiła Alys. — Chcesz zobaczyć warownię generała policji?

— Jasne.

Znajdą go dokądkolwiek pójdzie, kiedykolwiek będzie im potrzebny; za pomocą mikronadajników czy bez nich.

Włączywszy silnik śmigacza, Alys Buckman zakręciła kierownicą i wcisnęła pedał gazu; śmigacz wystrzelił pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Policyjna maszyna, uświadomił sobie Jason, dwukrotnie większej mocy niż modele cywilne.

— Jest jedna sprawa — powiedziała Alys, manewrując w strumieniu śmigaczy — którą chciałabym jasno postawić. — Zerknęła na niego, upewniając się, że słucha.

— Nie rób mi żadnych seksualnych awansów. Jeśli zaczniesz, zabiję cię. Dotknęła pasa; zobaczył zatknięty tam policyjny model broni, która błysnęła metalicznie w porannym słońcu.

— Zrozumiano i przyjęto do wiadomości — oświadczył, czując się dziwnie. Nie podobał mu się strój ze skóry i metalu, jaki nosiła; nie lubił wyeksponowanych w nim elementów fetyszyzmu. A teraz to ultimatum. Jakie były jej preferencje seksualne? Lesbijskie? A jeśli nawet?

— Całe moje libido, mój seksualizm jest związany z Felixem — wyznała spokojnie Alys, odpowiadając na nie wypowiedziane pytanie.

— Z twoim bratem? — Poczuł zimny lęk i niedowierzanie.

— Jak to?

— Przez pięć lat pozostawaliśmy w kazirodczym związku — wyjaśniła Alys, zręcznie manewrując maszyną w gęstym ruchu Los Angeles. — Mamy trzyletnie dziecko. Wychowuje je gospodyni i opiekunka w Key West, na Florydzie. Ma na imię Barney.

— I mówisz mi o tym? — spytał, niewyobrażalnie zdumiony. — Komuś, kogo nawet nie znasz?

— Och, znam cię bardzo dobrze, Jasonie Taverner — odparła Alys. Wzbiła się na wyższy poziom i zwiększyła prędkość. Ruch zrzedniał; opuszczali centrum Los Angeles. — Przez lata byłam twoją wielbicielką, oglądałam twoje wtorkowe programy telewizyjne. Mam twoje nagrania i raz byłam na twoim występie w „Orchid Room" w hotelu „St. Francis" w San Francisco. — Uśmiechnęła się do niego. — Felix i ja jesteśmy kolekcjonerami… A jedną z rzeczy, jakie ja kolekcjonuję, są nagrania Jasona Tavernera. — Jej enigmatyczny uśmieszek zmienił się w szeroki uśmiech. — Przez lata zebrałam wszystkie dziewięć płyt.

— Dziesięć. Nagrałem dziesięć płyt długogrających. Kilka ostatnich ze ścieżką wideo — rzekł Jason chrapliwym, zduszonym głosem.

— A więc jedna musiała mi umknąć — zgodziła się Alys. — Tutaj. Obróć się i spójrz na tylne siedzenie.

Obróciwszy się, ujrzał swój pierwszy album: *Taverner i blue, blue blues.*

— Tak — powiedział, wziął go i położył sobie na kolanach.

— Jest tam jeszcze jeden — mruknęła Alys. — Mój ulubiony.

Zobaczył mocno podniszczony egzemplarz *Dziś wieczór spędzimy miło czas z Tavernerem.*

— Tak — przyznał. — To najlepsza płyta, jaką nagrałem.

— Widzisz? — powiedziała Alys. Śmigacz opadał, spiralnym torem przypominającym helisę, ku widniejącym w dole posiadłościom, otoczonym drzewami i trawnikami. — To ten dom.

19

Ze śmigłami ustawionymi pionowo śmigacz opadł na asfaltowy krąg pośrodku wielkiego trawnika przed budynkiem. Jason ledwie zdążył rzucić okiem na dom: dwupiętrowy, w stylu hiszpańskim, balustrady balkonów z czarnego żelaza, czerwone dachówki, ściany z cegły lub ze stiukami — nie potrafłby powiedzieć. Był to obszerny dom, otoczony pięknymi dębami, wkomponowany w krajobraz; zdawał się stapiać z drzewami i trawnikami, stanowiącymi połączenie między naturą a dziełem człowieka.

Alys wyłączyła silnik i kopnięciem otworzyła oporne drzwi.

— Zostaw płyty w wozie i chodź — powiedziała do Jasona, wysiadając ze śmigacza i idąc po trawniku.

Niechętnie odłożył albumy płytowe na tylne siedzenie i poszedł za nią, przyspieszając, żeby ją dogonić; długie, okryte czarnymi spodniami nogi niosły ją szybko do wielkiej bramy frontowej.

— Otaczający posesję mur jest wyłożony kawałkami potłuczonych butelek. To ma odstraszyć bandytów… w dzisiejszych czasach! Ten dom należał kiedyś do Ernie Tilla, aktora grającego w westernach.

Przycisnęła guzik na bramie frontowej; natychmiast pojawił się prywatny strażnik w brązowym uniformie, spojrzał na nią, skinął głową i zwolnił dźwignię otwierającą bramę.

— Co wiesz? Wiesz, że jestem… — powiedział Jason do Alys.

— Jesteś sławny — stwierdziła niedbale Alys. — Wiem o tym od lat.

— A zatem byłaś tam gdzie ja. Gdzie zawsze jestem. Nie tutaj. Alys wzięła go za rękę i poprowadziła wyłożonym boazerią korytarzem, a potem w dół, po pięciu ceglanych stopniach do bawialni urządzonej staromodnie, lecz ze smakiem.

Nic go to nie obchodziło; chciał tylko z nią porozmawiać, dowiedzieć się, co ona wie, skąd i co to oznacza.

— Pamiętasz to miejsce? — spytała Alys.

— Nie.

— A powinieneś, byłeś tu już kiedyś.

— Nie byłem — rzekł ostrożnie; całkowicie zbiła go z tropu, pokazując te dwie płyty. Muszę je mieć, powiedział sobie. I pokazać… no tak, komu? Generałowi Buckmanowi? Ale co mi to da, jeśli mu je pokażę?

— Trochę meskaliny? — zaproponowała Alys, podchodząc do szafki na leki. Był to spory, ręcznie polerowany kredens z orzechowego drewna; stał po przeciwległej stronie pokoju, za barkiem lśniącym skórą i mosiądzem.

— Odrobinę — powiedział, ale zaraz zdumiała go własna

odpowiedź; zamrugał oczami. — Chcę zachować jasność myśli — wyjaśnił.

Przyniosła maleńką, lakierowaną tackę, na której stała kryształowa karafka z wodą i biała kapsułka.

— Bardzo dobry towar. Harveys Yellow Number One, importowana hurtowo ze Szwajcarii i kapsułkowana na Bond Street. I niezbyt mocna.

— Dziękuję. — Przyjął szklankę i białą kapsułkę, wypił narkotyk i odstawił szklankę na tackę. — A ty nie bierzesz? — zapytał z budzącą się — poniewczasie — czujnością.

— Ja już jestem nagrzana — odparła wesoło Alys, pokazując w uśmiechu barokowo ozdobione zęby. — Nie widzisz? Pewnie nie, nigdy nie widziałeś mnie w innym stanie.

— Wiedziałaś, że sprowadzą mnie do Akademii? — zapytał. Musiałaś wiedzieć, pomyślał, ponieważ miałaś przy sobie dwie moje płyty Gdybyś nie wiedziała, byłaby dosłownie jedna szansa na miliard, że będziesz je mieć przy sobie.

— Podsłuchiwałam niektóre ich rozmowy — odpowiedziała Alys; krążyła niespokojnie po pokoju, stukając długim paznokciem w lakierowaną tackę. — Przypadkowo przechwyciłam rozmowę między Las Vegas a Felixem. Lubię go słuchać od czasu do czasu, kiedy jest na służbie. Nie zawsze, ale… — wskazała na pokój znajdujący się na końcu korytarza. — Chcę na coś popatrzeć. Pokażę ci to, jeśli jest tak dobre, jak twierdzi Felix.

Poszedł za nią, szum pytań w jego głowie cichł powoli. Jeśli ona może poruszać się tak swobodnie, myślał, wchodzić i wychodzić…

— Mówił, że w środkowej szufadzie jego biurka z klonowego drewna — powiedziała w zadumie Alys, stojąc na środku biblioteki. Oprawione w skórę książki piętrzyły się na półkach sięgających aż pod suft. W pomieszczeniu znajdowało się kilka biurek, szklana szafka z maleńkimi fliżankami, dawne komplety szachów, dwie stare deski do tarota… Alys podeszła do biurka w stylu Nowej Anglii, otworzyła szufadę i zajrzała do niej. — Ach — westchnęła i wyjęła celofanową kopertę.

— Alys… — zaczął Jason, ale uciszyła go niecierpliwym pstryknięciem palców.

— Siedź cicho, a ja to sprawdzę. — Wzięła z biurka duże szkło powiększające i obejrzała kopertę. — Znaczek — wyjaśniła po chwili. — Wyjmę go, żebyś mógł sobie obejrzeć.

Znalazłszy pincetę flatelistyczną, ostrożnie wyjęła znaczek z koperty i położyła go na flcowej podkładce na blacie biurka.

Jason posłusznie zerknął przez szkło powiększające na znaczek. Wydał mu się zupełnie zwyczajnym znaczkiem, tyle że w przeciwieństwie do współczesnych znaczków został wydrukowany w

jednym kolorze.

— Spójrz na te zwierzęta — rzekła Alys. — Na przywódcę stada. Jest doskonały, widać każdą linię. Ten znaczek nigdy nie był…

Chwyciła go za rękę, gdy chciał dotknąć znaczka.

— Och nie — powiedziała. — Nigdy nie dotykaj znaczków palcami, zawsze używaj pincety.

— Czy on jest cenny?

— Właściwie nie, ale prawie nigdy nie można go było kupić. Kiedyś ci to wyjaśnię. Sprezentował mi go Felix, ponieważ mnie kocha, ponieważ, jak twierdzi, jestem dobra w łóżku.

— To ładny znaczek — rzekł Jason, zmieszany. Oddał jej szkło powiększające.

— Felix mówił prawdę, to dobry egzemplarz: idealnie centrowany, z delikatnym stemplem nie zacierającym rysunku i…

Zręcznym ruchem pincetą odwróciła znaczek, kładąc go obrazkiem do flcowej podkładki. Wyraz jej twarzy natychmiast się zmienił; czerwona ze złości powiedziała:

— Skurwiel.

— O co chodzi? — spytał Jason.

— Kancer. — Dotknęła szczypcami jednego rogu znaczka. — No, z wierzchu tego nie widać. To cały Felix. Do diabła, i tak pewnie jest fałszywy, chociaż Felixowi przeważnie udaje się nie kupować fałszywych. No dobrze, Felixie, zapamiętam ci to. — Po chwili namysłu dodała: — Zastanawiam się, czy w swojej kolekcji nie ma takiego drugiego. Podmieniłabym je.

Podeszła do sejfu w ścianie, przez chwilę kręciła tarczami, w końcu otworzyła sejf i wyjęła ogromny, ciężki album, który położyła na biurku.

— Felix nie ma pojęcia, że znam kombinację otwierającą ten sejf. Nie mów mu o tym.

— Ostrożnie przewracała kartki z grubego kartonu, aż doszła do takiej, na której były tylko cztery znaczki. — Nie ma czarnej jednodolarówki. Mógł ją jednak ukryć gdzie indziej, może nawet ma ją w Akademii.

Zamknęła album i schowała go z powrotem do sejfu w ścianie.

— Meskalina zaczyna działać — stwierdził Jason. Bolały go nogi; u niego zawsze był to objaw działania meskaliny na organizm.

— Usiądę — powiedział i zdołał dopaść skórzanego fotela, zanim nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a raczej pozornie odmówiły posłuszeństwa, bo w rzeczywistości było to złudzenie wywołane narkotykiem, choć wydawało się bardzo realne.

— Chciałbyś zobaczyć zbiór pięknych zdobionych tabakierek? — spytała Alys. — Felix ma niesamowicie cenną kolekcję. Same antyki, ze złota, srebra, stopów, inkrustowane kamieniami, ze scenami

myśliwskimi… nie? — Usiadła naprzeciw niego, skrzyżowała długie nogi w czarnych spodniach; kołysała butem na wysokim obcasie. — Pewnego razu Felix kupił na licytacji starą tabakierę, sporo za nią zapłacił i przyniósł do domu. Oczyścił ją ze starej tabaki i znalazł sprężynkę otwierającą skrytkę w dnie, a raczej w tym, co wydawało się dnem. Skrytka otwierała się po przekręceniu maleńkiej śrubki. Przez cały dzień szukał odpowiednio małego narzędzia, żeby ją przekręcić. W końcu znalazł. — Roześmiała się.

— I co się stało? — zapytał Jason.

— Dno tabakierki było fałszywe, ukrywało blaszaną płytkę. Felix wyjął ją. — Ponownie się roześmiała, błyskając złotymi ozdobami na zębach. — Okazało się, że to pornograficzny obrazek sprzed dwustu lat, przedstawiający koguta kopulującego z kucykiem szetlandzkim. Kolorowy, w siedmiu barwach. Wart… och, jakieś pięć tysięcy dolarów — niewiele, ale naprawdę nas to ucieszyło. Sprzedający, oczywiście, nie miał pojęcia o istnieniu tej miniaturki.

— Rozumiem — powiedział Jason.

— W ogóle nie interesują cię tabakierki — rzekła Alys, wciąż uśmiechnięta.

— Chciałbym… ją zobaczyć — powiedział. Po chwili dodał: — Alys, ty mnie znasz, wiesz, kim jestem. Dlaczego nikt inny mnie nie zna?

— Ponieważ oni nigdy tam nie byli.

— Gdzie?

Alys pomasowała skronie, wysunęła koniec języka i patrzyła pustym wzrokiem przed siebie, pogrążona w swoich myślach, jakby go nie słyszała.

— No wiesz — odezwała się w końcu znudzonym i lekko zirytowanym tonem.

— Chryste, człowieku, przeżyłeś czterdzieści dwa lata. Co mogę ci powiedzieć o tym miejscu, czego jeszcze nie wiesz?

Spojrzała na niego, złośliwie krzywiąc wydatne usta; uśmiechnęła się.

— Jak się tu dostałem?

— Ty… — zawahała się. — Nie wiem, czy powinnam ci powiedzieć.

— Dlaczego nie? — krzyknął.

— Dojdziemy do tego w swoim czasie. — Niedbale machnęła ręką. — W swoim czasie. Słuchaj, człowieku, wiele już przeszedłeś. Dzisiaj o mało nie wysłali cię do obozu pracy, a wiesz, co to oznacza. Dzięki temu dupkowi McNulty'emu i mojemu drogiemu braciszkowi, mojemu braciszkowi — generałowi policji.

Jej twarz wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia, ale zaraz znów uśmiechnęła się swoim prowokacyjnym uśmiechem — leniwym,

złotozębnym i zachęcającym.

— Chcę wiedzieć, gdzie jestem — rzekł Jason.

— W moim pokoju, w moim domu. Jesteś tu zupełnie bezpieczny, usunęłam wszystkie pluskwy. Nikt się tutaj nie włamie. Wiesz co? — Zerwała się z fotela i skoczyła na równe nogi jak zwinne zwierzę; mimowolnie odsunął się. — Robiłeś to kiedyś przez telefon? — spytała z zapałem i z roziskrzonym wzrokiem.

— Co takiego?

— Sieć — odparła Alys. — Wiesz o czym mówię?

— Nie — powiedział, chociaż słyszał o tym.

— Twoje wrażenia seksualne, a także każdego uczestnika, są pobudzane elektronicznie i wzmacniane w takim stopniu, jaki zdołasz znieść; kumulują się dzięki elektronicznej obróbce. Niektórzy ludzie uzależniają się tak bardzo, że nie potrafą z tym skończyć. Całe ich życie kręci się wokół cotygodniowej — do licha, nawet codziennej! — sesji z seks-siecią. To zwykłe wideofony na kartę kredytową, możesz z nich skorzystać w każdej chwili. Sponsorzy raz na miesiąc przysyłają ci rachunek i jeśli nie zapłacisz, blokują dostęp do sieci.

— Ilu ludzi bierze w tym udział?

— Tysiące.

— Jednocześnie? Alys kiwnęła głową.

— Większość robi to przez dwa, trzy lata. Na skutek tego degenerują się fzycznie i psychicznie, ponieważ stopniowo wypala się ta część ich umysłu, która rejestruje orgazm. Mimo to trudno mieć im to za złe; robią to nawet najmądrzejsi i najbardziej wrażliwi ludzie na Ziemi. Traktują to niemal jak sakrament. Uczestnika sieci możesz poznać z daleka: jest rozwiązły, stary, tłusty, apatyczny — to ostatnie, oczywiście, między kolejnymi orgiami telefonicznymi.

— Ty też to robisz?

Wcale nie wydawała mu się rozwiązła, stara, tłusta czy apatyczna.

— Od czasu do czasu, ale nie wpadłam w nałóg; odłączyłam się od sieci w samą porę. Chcesz spróbować?

— Nie.

— No dobrze — powiedziała trzeźwo Alys. — Co chciałbyś robić? Mamy niezłą kolekcję płyt z utworami Rilkego i Brechta, przełożonymi na język uniwersalny. Któregoś dnia Felix przyniósł kwadrofoniczny zestaw wszystkich siedmiu symfonii Sibeliusa — są bardzo dobre. Na obiad Emma przyrządza żabie udka… Felix uwielbia żabie udka i eskalopki. Zazwyczaj jada w dobrych francuskich i baskijskich restauracjach, ale dziś wieczór…

— Chcę wiedzieć — przerwał jej Jason — gdzie jestem.

— A nie możesz być po prostu szczęśliwy? Podniósł się z trudem i w milczeniu spojrzał na nią.

20

Meskalina działała coraz silniej; pokój rozjaśnił się od barw, perspektywa uległa zniekształceniu, tak że suft wydawał się odległy o miliony kilometrów. Gdy patrzył na Alys, zdawało mu się, że jej włosy ożyły… jak u Meduzy; poczuł strach.

Nie zwracając na niego uwagi, Alys mówiła dalej:

— Felix szczególnie lubi kuchnię baskijską, ale oni dodają tyle masła, że dostaje skurczów odźwiernika. Ma także niezłą kolekcję *Weird Tales* i uwielbia baseball. I… zaraz… — Zamyśliła się, pukając palcem w dolną wargę. — On interesuje się okultyzmem. Czy ty…

— Czuję coś — oznajmił Jason.

— Co?

— Nie mogę uciec.

— To meskalina. Nie przejmuj się.

— Ja…

Zamyślił się; czuł ogromny ciężar na mózgu, przeszywany wszędzie strumieniami światła.

— To, co ja kolekcjonuję — mówiła Alys — jest w następnym pokoju, który nazywamy biblioteką. Ten pokój to gabinet. W bibliotece Felix ma wszystkie swoje książki prawnicze… czy wiesz, że on jest nie tylko generałem policji, ale także prawnikiem? Zrobił wiele dobrego, muszę to przyznać. Czy wiesz, co kiedyś zrobił?

Nie był w stanie odpowiedzieć. Mógł jedynie nieruchomo stać; słyszał dźwięki, ale żadnego nie rozumiał.

— Przez rok Felix zarządzał jedną czwartą wszystkich obozów pracy na Ziemi.

W tym czasie odkrył zapomnianą ustawę, wydaną przed laty, kiedy obozy pracy bardziej przypominały obozy śmierci i siedziało w nich mnóstwo czarnych. Ustawa ta pozwalała na istnienie obozów jedynie w czasie Drugiej Wojny Domowej, a zatem mógł w każdej chwili je zamknąć, gdyby uznał, że leży to w interesie społecznym. Czarni i studenci, siedzący długo w obozach, są twardzi i silni po latach pracy fzycznej, nie tak jak mizerni, bladzi, wynędzniali studenci kryjący się w podziemiach kampusów. Zaczął szukać i odkrył jeszcze jedną zapomnianą ustawę. Obóz nie przynoszący dochodu powinien, a nawet musi być zamknięty. Felix zmienił wysokość bardzo skromnych dniówek wypłacanych więźniom. Teraz wystarczyło podliczyć wydatki, wykazać w księgach debet i bach! — zamknąć obozy. — Roześmiała się.

Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Umysł tłukł mu się pod czaszką jak duża gumowa piłka; opadał i unosił się, zwalniał i przyspieszał, gasł i zapalał się jaskrawym fajerwerkiem; smugi światła

były wszędzie, przeszywały każdą część jego ciała.

— Największe osiągnięcie Felixa — mówiła Alys — było związane ze studenckimi kibucami w podziemiach spalonych kampusów. Wielu studentów rozpaczliwie poszukiwało żywności i wody, a wiesz, czym to się kończy: ruszają na miasto, okradają sklepy, niszczą i rabują. Policja ma wśród studentów wielu prowokatorów, którzy agitują za ostateczną rozprawą z glinami… a na to policja i wojsko tylko czekają. Widzisz?

— Widzę — powiedział — kapelusz.

— Felix próbował do tego nie dopuścić; dlatego musiał dostarczyć studentom jedzenia i wody, rozumiesz?

— Kapelusz jest czerwony — odparł Jason. — Jak twoje uszy.

— Z racji stanowiska marszałka policji Felix miał dostęp do raportów informatorów donoszących o sytuacji studenckich kibuców. Wiedział, które podupadają, a które sobie radzą; wyciąganie istotnych faktów z powodzi abstrakcyjnych danych to jego specjalność. Kiedy skompletował już listę słabych kibuców, spotkali się z nim inni wysocy rangą ofcerowie policji, aby zdecydować, jaką obrać taktykę, żeby przyspieszyć ich upadek. Szerzył się defetyzm siany przez informatorów policyjnych, sabotowano dostawy żywności i wody. Dochodziło do rozpaczliwych i beznadziejnych wypadów z kampusów w poszukiwaniu pomocy; studenci z Columbia University planowali, na przykład, opanować obóz pracy imienia Harry'ego S. Trumana i uwolnić oraz uzbroić więźniów, ale wtedy nawet Felix kazał interweniować! Do Felixa należało określanie taktyki wobec każdego z wybranych kibuców. Często, bardzo często odradzał jakąkolwiek akcję, za co, oczywiście, twardogłowi go krytykowali i żądali jego dymisji. — Alys umilkła na chwilę.

— Musisz wiedzieć, że wtedy był marszałkiem policji.

— Twoja czerwień — rzekł Jason — jest fantastyczna.

— Wiem. — Usta Alys wygięły się w podkówkę. — Nie możesz zaczekać, człowieku? Usiłuję ci coś powiedzieć. Felix został zdegradowany ze stopnia marszałka do generała, ponieważ starał się, jak mógł, żeby studenci w kibucach byli wykąpani, najedzeni, a także mieli zapasy leków i prycze. O to samo zabiegał w obozach pracy, które mu podlegały. Dlatego teraz jest tylko generałem. Dali mu jednak spokój; zaszkodzili tyle, ile mogli, ale nadal pozostał na wysokim stanowisku.

— A wasze kazirodztwo — powiedział Jason. — Co jeśli…? — urwał. Nie mógł przypomnieć sobie reszty zdania. — Jeśli? — ponowił pytanie; czuł szalejący płomień na skutek tego, że zdołał przekazać jej tę wiadomość. — Jeśli — powtórzył i wewnętrzny pożar rozgorzał z radosną furią. Krzyknął.

— Pytasz, co by się stało, gdyby marszałkowie wiedzieli, że Felix i

ja mamy syna? Co by wtedy zrobili?

— Co by zrobili — rzekł Jason. — Czy możemy posłuchać muzyki? Albo daj mi… — umilkł, nie znajdując słów, żadne nie docierało do jego mózgu. — O rany! — powiedział. — Mojej matki tam nie będzie. Umarła.

Alys głęboko wciągnęła powietrze i westchnęła.

— Dobrze, Jasonie — oświadczyła. — Przestanę bawić cię rozmową, aż rozjaśni ci się w głowie.

— Mów.

— Chciałbyś zobaczyć moje pornografczne kreskówki?

— Jakie?

— Stylizowane obrazki związanych dziewcząt i mężczyzn…

— Czy mogę się położyć? — spytał. — Nogi odmawiają mi posłuszeństwa; prawą stoję chyba na Księżycu. Innymi słowy, złamię ją, wstając.

— Chodź. — Wyprowadziła go, krok za krokiem, ze swojego pokoju do bawialni.

— Połóż się na kanapie — poleciła. Zrobił to z najwyższym trudem. — Dam ci trochę torazyny; znosi działanie meskaliny.

— Znosić — wybełkotał.

— Zaraz… gdzie ja ją położyłam, do diabła? Rzadko ją zażywam, ale trzymam na wszelki wypadek… Niech to szlag, nie możesz łyknąć jednej kapsułki i nadawać się do czegoś? Ja biorę pięć na raz.

— Bo jesteś wielka — rzekł Jason.

— Zaraz wracam, idę na górę.

Alys odeszła w kierunku znacznie oddalonych drzwi; przez długi czas obserwował, jak maleje — jak ona to robi? Wydawało się niewiarygodne, że potrafła zmniejszać się tak bardzo — aż zniknęła. Widząc to, poczuł przeraźliwy lęk. Wiedział, że został sam, bez niczyjej pomocy. Kto mi pomoże? — zadawał sobie pytanie. Muszę uciec od tych znaczków, fliżanek, tabakierek, pornografcznych kreskówek, seks-sieci i żabich udek, muszę wrócić do śmigacza, muszę odlecieć i wrócić tam, gdzie wszystko znam, może do Ruth Rae, jeśli ją wypuścili, albo nawet do Kathy Nelson, ta kobieta to dla mnie za wiele, tak samo jak jej brat i ich kazirodczo poczęty syn na Florydzie, który ma na imię — jak?

Wstał chwiejnie; zataczając się, stąpał ciężkimi butami po dywanie mieniącym się milionem czystych barw; w końcu trafł do drzwi rozkołysanego pokoju.

Słońce. Wyszedł na zewnątrz.

Śmigacz. Pokuśtykał do niego. Usiadł przy tablicy rozdzielczej, oszołomiony mnóstwem gałek, dźwigni, kół, pedałów i pokręteł.

— Dlaczego to nie jedzie? — powiedział głośno. — Jedź! — rozkazał, kołysząc się w fotelu kierowcy. — Czy ona mnie nie

wypuści? — zapytał śmigacz.

Kluczyki. Oczywiście, nie poleci bez kluczyków. Jej płaszcz na tylnym siedzeniu. Sam widział. I ta jej wielka konduktorka. Tam są klucze. Tam.

Dwa albumy płytowe. *Taverner i blue, blue blues* i najlepszy ze wszystkich *Dziś wieczór spędzimy miło czas.* Pomacał ręką, zdołał jakoś chwycić oba albumy i przenieść je na pusty fotel obok siebie. Mam tu dowód, uświadomił sobie. Jeden to te płyty, a drugi w domu. Ona go ma. Muszę go znaleźć, jeśli mam z tego wyjść. Znaleźć tutaj. Nigdzie indziej. Nawet generał, pan Felix Jak-mu-tam?, nie znajdzie go. Nie będzie wiedział. Tak samo jak ja.

Pobiegł z powrotem do domu, niosąc albumy; krajobraz wokół niego płynął, ogoniaste, wysokie, podobne do drzew stwory połykały powietrze z sielskiego niebieskiego nieba, inne organizmy wchłaniały wodę i światło, wyżerały barwę nieba… Doszedł do bramy, pchnął, nie ustąpiła. Przycisk.

Nie znalazł żadnego.

Krok po kroku. Obmacać palcami cal po calu. Jak w ciemności. Tak, pomyślał. Błądzę w mroku. Postawił płyty, oparł je o ścianę przy bramie i powoli masował gumowatą powierzchnię muru. Nic.

Przycisk. Nacisnął go, złapał płyty i stanął przed bramą, która niewiarygodnie wolno otworzyła się ze zgrzytem protestu. Pojawił się uzbrojony mężczyzna w brązowym uniformie.

— Musiałem pójść po coś do śmigacza — powiedział Jason.

— Wszystko w porządku, sir — odparł człowiek w brązowym mundurze. — Widziałem, jak pan wychodzi, i wiedziałem, że będzie pan wracał.

— Czy ona jest szalona? — zapytał Jason.

— To nie moja sprawa, sir — rzekł mężczyzna w brązowym mundurze i wycofał się, dotknąwszy czapki z daszkiem.

Frontowe drzwi były otwarte, tak jak je zostawił. Przecisnął się przez nie, zszedł po ceglanych stopniach i ponownie znalazł się w bawialni o nieregularnym kształcie i odległym o miliony kilometrów sufcie.

— Alys! — zawołał.

Czy była w tym pokoju? Uważnie rozejrzał się wokoło; sprawdził każdy cal pomieszczenia, tak samo jak wtedy, kiedy szukał przycisku. Bar pod przeciwległą ścianą, ładny kredens z orzechowego drzewa… kanapa, fotele, obrazy na ścianach. Twarz na jednym z portretów szydziła z niego, ale nie dbał o to; i tak nie zdoła zejść ze ściany. Zestaw kwadrofoniczny…

Jego płyty. Zagrać.

Chwycił pokrywę adaptera, lecz nie zdołał jej unieść. Dlaczego? — zapytał. Zamknięta? Nie, odsuwa się. Odsunął ją z

okropnym zgrzytem, jakby niszczył sprzęt. Zmieniacz. Talerz. Wyjął z koperty płytę i położył na zmieniaczu. Umiem obsługiwać taki aparat, powiedział, po czym włączył wzmacniacz, przestawiając tryb na phono. Przełącznik uruchamiający zmieniacz płyt. Nacisnął go. Ramię adaptera drgnęło; talerz zaczął się kręcić — niezwykle wolno. Co jest z tym gratem? Nie ta szybkość? Nie, sprawdził, trzydzieści trzy i jedna trzecia. Talerz zaszumiał i płyta opadła.

Głośny odgłos igły trafającej w pierwszy rowek. Trzaski kurzu, szmery, typowe dla starych płyt. Łatwo było je złamać lub uszkodzić, wystarczyło chuchnąć.

Syk zakłóceń. Kolejne trzaski.

I nic.

Podniósł ramię i przestawił je dalej. Donośny zgrzyt, gdy igła opadła na płytę; skrzywił się, odszukał pokrętło głośności i ściszył adapter. Nadal żadnej muzyki. Nie słychać jego śpiewu.

Działanie meskaliny nagle zaczęło ustępować, poczuł się trzeźwy i spokojny. Druga płyta. Wyjął ją z koperty, umieścił w zmieniaczu, odłożył pierwszą płytę.

Odgłos igły dotykającej plastikowej powierzchni. Szum, niedostępne trzaski i szmery. Nadal żadnej muzyki.

Płyty były puste.

CZĘŚĆ TRZECIA

Od zgryzot mych nie będzie zbawienia,
Bo nie masz już dla mnie litości;
Tylko łzy, jęki i głuche westchnienia
Dni bez cienia radości.

21

— Alys! — zawołał głośno Jason Taverner. Nie było odpowiedzi.

Czy to przez meskalinę? — zadawał sobie pytanie. Chwiejnie ruszył do drzwi, za którymi zniknęła Alys. Długi korytarz, gruby kożuch wełnianego dywanu, na przeciwległym końcu schody z czarną żelazną poręczą, prowadzące na pierwsze piętro.

Przeszedł najszybciej, jak mógł, przez korytarz i stopień za stopniem zaczął się piąć po schodach w górę.

Pierwsze piętro. Przedsionek z antycznym stolikiem Hepplewhite'a, zasypanym stertą egzemplarzy „Box". Nieoczekiwanie przyciągnęło to jego uwagę: kto, Felix czy Alys, czyta taką szmatławą pornografczną gazetę jak „Box", a może czytają oboje? Poszedł dalej, wciąż — zapewne pod wpływem meskaliny — dostrzegając najdrobniejsze szczegóły. Łazienka — tam ją znajdzie.

— Alys — rzekł ponuro; pot ściekał mu po nosie i policzkach, koszula zwilgotniała pod pachami od targających jego ciałem emocji. — Niech to szlag — mówił do niej, chociaż jej nie widział. — Na tych płytach nie ma muzyki ani mojego głosu. To atrapy, prawda?

A może to przez meskalinę? — zadawał sobie pytanie.

— Muszę wiedzieć! — powiedział głośno. — Przesłuchać je, jeśli są w porządku. To adapter jest zepsuty, tak? Złamana igła albo coś takiego?

To się zdarza, pomyślał. Może igła tylko ślizga się po rowkach.

Uchylone drzwi; otworzył je szerzej. Sypialnia z nie zasłanym łóżkiem. Na podłodze materac z rzuconym śpiworem. Trochę męskich drobiazgów: krem do golenia, dezodorant, maszynka do golenia, woda po goleniu, grzebień… Jakiś gość, pomyślał, był tutaj, ale już poszedł. — Czy jest tu ktoś? — zawołał.

Cisza.

Naprzeciwko ujrzał łazienkę; przez uchylone drzwi dostrzegł zdumiewająco starą wannę na pomalowanych lwich łapach. Sanie antyki, pomyślał, nawet wanna. Powoli przeszedł przez korytarz i dotarł do łazienki; wyciągnął rękę i pchnął drzwi.

Na podłodze zobaczył szkielet. Kościotrup miał czarne, błyszczące spodnie, skórzaną koszulę i pas z żelaznych ogniw z ręcznie kutą klamrą. Obok kości stóp leżały buty na wysokich obcasach. Na czaszce pozostało parę kosmyków włosów; oprócz nich nie było już nic: ani oczu, ani reszty ciała. Sam szkielet zdążył już pożółknąć.

— Boże — wykrztusił Jason i zachwiał się; poczuł, że zawodzi go wzrok i zmysł równowagi. Ciśnienie w uchu środkowym gwałtownie się zmieniało, tak że pokój kołysał się wokół Jasona cichym, monotonnym ruchem, jakby znajdował się na karuzeli w wesołym

miasteczku.

Zamknął oczy, przykleił się do ściany i spojrzał jeszcze raz.

Umarła, pomyślał. Tylko kiedy? Sto tysięcy lat temu? Czy też przed dziesięcioma minutami?

Na co umarła? — zadał sobie pytanie.

Czy to skutek meskaliny, którą zażyłem? A może to rzeczywistość?

To rzeczywistość.

Pochylił się i dotknął skórzanej koszuli z frędzlami. Skóra była miękka i gładka; nie zbutwiała. Czas nie tknął jej ubrania; to coś oznaczało, lecz Jason nie wiedział, co. Tylko ona, pomyślał. Wszystko w tym domu pozostało takie, jakie było. A zatem to nie może być skutek meskaliny. Nie mogę być tego jednak pewien, myślał.

Zejść po schodach. Wynieść się stąd.

Zataczając się, poczłapał z powrotem korytarzem, wciąż usiłując złapać równowagę; szedł zgięty jak dziwaczna małpa. Złapał metalową poręcz i zbiegł na dół, pokonując po dwa, trzy stopnie na raz. Potknął się i upadł, podniósł się i wstał na nogi. Serce łomotało mu w piersi, a przepracowane płuca napełniały się i opróżniały jak miechy.

Po chwili biegł już przez bawialnię do drzwi frontowych; z jakichś niejasnych dla niego, ale istotnych powodów porwał obie płyty z adaptera, wepchnął do kopert i zabrał z sobą. Wyszedł i znalazł się w jasnym, ciepłym blasku słonecznego dnia.

— Opuszcza nas pan, sir? — zapytał strażnik w brązowym mundurze, widząc jego wyczerpanie.

— Źle się czuję — powiedział Jason.

— Przykro mi to słyszeć, sir. Czy mogę panu czymś służyć?

— Kluczykami do śmigacza.

— Panna Buckman zwykle zostawia kluczyki w stacyjce — rzekł strażnik.

— Sprawdzałem — wysapał Jason.

— Pójdę i poproszę pannę Buckman…

— Nie — przerwał mu Jason, lecz zaraz pomyślał: jeśli to tylko skutek meskaliny, to wszystko w porządku.

— Nie? — powtórzył strażnik i nagle wyraz jego twarzy zmienił się. — Zostań tutaj — polecił — i nie zbliżaj się do tego śmigacza.

Odwrócił się i wbiegł do domu. Jason przebiegł szybko po trawie do asfaltowego placu i zaparkowanego tam śmigacza. Kluczyki, czy są w stacyjce? Nie. Jej torebka. Złapał ją i wytrząsnął wszystko na siedzenie. Tysiące przedmiotów, ale żadnych kluczy. Nagle posłyszał rozdzierający uszy, chrapliwy krzyk.

Przed frontowymi drzwiami ukazał się strażnik z groźnie wykrzywioną twarzą. Odruchowo odskoczył na bok, wyjął broń, chwycił ją oburącz i strzelił do Jasona. Nie tra-ft; za bardzo drżały mu

ręce.

Jason wygramolił się ze śmigacza i pobiegł przez gęstą, wilgotną trawę w stronę dębów. Strażnik ponownie wystrzelił. Znów chybił. Jason słyszał, jak policjant klnie i biegnie za nim, usiłując go dogonić; nagle zawrócił i biegiem wrócił do domu.

Jason dotarł do drzew. Przedzierał się przez wysuszone podszycie, łamiąc zagradzające drogę gałęzie. Wysoki mur… Co mówiła Alys? Z wmurowanymi na górze odłamkami szkła? Podkradł się do podnóża muru, rozgarniając gęste zarośla, i niespodziewanie znalazł się przed zepsutą drewnianą furtką. Była niedomknięta, dostrzegł przez nią inne domy i ulicę.

To nie była meskalina, pojął nagle. Strażnik też widział leżącą tam Alys. Ten stary szkielet. Jakby nie żyła od lat.

Po drugiej stronie ulicy kobieta z naręczem pakunków otwierała drzwi swojego śmigacza. Jason przeszedł przez ulicę, zmuszając mózg do pracy, oczyszczając go z oparów meskaliny.

— Proszę pani — wysapał.

Zaskoczona kobieta obejrzała się szybko. Była młoda, tęgawa, miała piękne rude włosy.

— Tak? — powiedziała nerwowo, mierząc go wzrokiem.

— Podano mi trującą dawkę jakiegoś środka — rzekł Jason, usiłując mówić spokojnie. — Czy zechciałaby pani odwieźć mnie do szpitala?

Milczenie. Nadal patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nic nie mówił, tylko stał, dysząc i czekając. Tak albo nie, nie było innej możliwości.

— Ja… ja nie jestem zbyt dobrym kierowcą. Dopiero tydzień temu dostałam prawo jazdy — odparła tęgawa dziewczyna o rudych włosach.

— Ja poprowadzę.

— Ale ja nie lecę.

Cofnęła się, ściskając naręcze kiepsko zapakowanych w brązowy papier paczek. Pewnie wybierała się na pocztę.

— Mógłbym dostać kluczyki? — zapytał i wyciągnął rękę. Czekał.

— Ale może pan zemdleć, a wtedy mój śmigacz…

— A zatem proszę lecieć ze mną.

Podała mu kluczyki i usiadła na tylnym siedzeniu śmigacza. Jason z poczuciem głębokiej ulgi usiadł za sterem, włożył kluczyk do stacyjki, uruchomił silnik i po chwili leciał już w niebo z maksymalną prędkością czterdziestu węzłów na godzinę. Z jakiegoś dziwnego powodu zauważył, że był to bardzo popularny model śmigacza: Ford Grey-hound. Tani i nienowy.

— Bardzo pana boli? — zapytała niespokojnie dziewczyna; jej twarz, widoczna w lusterku, nadal zdradzała zdenerwowanie, nawet

strach. Ta sytuacja przerastała ją.

— Nie.

— Co to był za narkotyk?

— Nie powiedzieli mi.

Meskalina przestała już niemal działać; dzięki Bogu, jego organizm szóstaka poradził sobie z nią. Nie cieszyła go perspektywa pilotowania powolnego śmigacza w gęstym ruchu Los Angeles, po zażyciu dawki narkotyku. I to, pomyślał ze złością, silnej dawki, obojętnie, co twierdziła Alys.

Ona. Alys. Dlaczego na płytach nic nie ma? — rozważał w duchu. Te nagrania — gdzie one są? Z obawą rozejrzał się wokół. Och, są na fotelu obok; machinalnie rzucił je tam, wsiadając do śmigacza. A więc nic im się nie stało. Spróbuję przesłuchać je na innym adapterze.

— Najbliższy szpital — oznajmiła tęgawa dziewczyna — to St. Martin's na rogu Trzydziestej Piątej i Webster. Jest mały; usuwali mi tam kurzajkę z ręki, wydali mi się bardzo sprawni i mili.

— Polecimy tam — odparł Jason.

— Czuje się pan gorzej czy lepiej? — Lepiej.

— Był pan w domu Buckmanów?

— Tak.

— Czy to prawda, że państwo Buckman to brat i siostra? Chcę…

— Bliźniaki — odparł.

— Rozumiem — rzekła dziewczyna. — To dziwne: kiedy są razem, zachowują się jak mąż i żona. Całują się i trzymają za ręce, a on traktuje ją z najwyższym szacunkiem, choć czasem okropnie się kłócą.

Dziewczyna milczała chwilę, następnie nachyliła się do niego i powiedziała:

— Nazywam się Mary Anne Dominie. A pan?

— Jason Taverner — poinformował ją. To nie miało żadnego znaczenia. Mimo wszystko. Mimo tego, co przez moment… Głos dziewczyny przerwał mu te rozmyślania.

— Zajmuję się garncarstwem — wyznała wstydliwie. — W tych paczkach są naczynia, które chcę wysłać do sklepów w północnej Kalifornii, szczególnie do Gumpa w San Francisco i Frazera w Berkeley.

— Robi pani ładne naczynia? — zapytał. Niemal wszystkie jego myśli i cała świadomość pozostawały uwięzione w tamtym czasie, w tamtej chwili, kiedy otworzył drzwi łazienki i zobaczył ją — to — na podłodze. Ledwie słyszał głos panny Dominie.

— Staram się, ale trudno powiedzieć. W każdym razie sprzedają się.

— Ma pani silne ręce — stwierdził, nie mając nic lepszego do powiedzenia. Słowa nadal wydobywały się z jego ust mimowolnie,

jakby były formowane przez osobny fragment jaźni.

— Dziękuję — rzekła Mary Anne Dominie. Cisza.

— Minął pan szpital — powiedziała Mary Anne Dominie.

— Został tam, z tyłu, trochę na lewo. W jej głosie znów pojawił się lęk.

— Czy naprawdę pan tam leci, czy też to tylko…

— Proszę się nie bać — rzekł i tym razem myślał o tym, co mówi; starał się ze wszystkich sił, żeby jego głos był miły i przekonujący. — Nie jestem zbiegłym studentem ani uciekinierem z obozu pracy. — Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

— Mam kłopoty.

— A więc nie zażył pan żadnego toksycznego środka.

Jej głos drżał. Wydawało się, że spotkało ją to, czego obawiała się przez całe życie.

— Wylądujemy, żeby poczuła się pani bezpiecznie — oznajmił. Odlecieliśmy już dostatecznie daleko. Proszę nie panikować, nie zrobię pani krzywdy.

Mimo to dziewczyna siedziała sztywno i nieruchomo, czekając na… żadne z nich nie wiedziało, na co.

Wylądował przy krawężniku w pobliżu ruchliwego skrzyżowania i szybko otworzył drzwi. Pod wpływem dziwnego impulsu pozostał jeszcze chwilę w śmigaczu, obrócony twarzą do dziewczyny.

— Proszę wysiąść — powiedziała drżącym głosem. — Nie chcę być nieuprzejma, ale naprawdę się boję. Mówią o tych oszalałych z głodu studentach, którzy przedostają się przez barykady wokół kampusów…

— Posłuchaj — rzekł ostro, przerywając potok jej słów.

— Dobrze.

Uspokoiła się; przytrzymując rękami stertę paczek, posłusznie i z lękiem czekała.

— Nie powinnaś tak łatwo dawać się przestraszyć, inaczej życie będzie dla ciebie zbyt trudne.

— Rozumiem. Pokornie skinęła głową; słuchała uważnie, jakby siedziała w sali wykładowej.

— Zawsze obawiasz się obcych?

— Chyba tak. Znów skinęła głową; tym razem zwiesiła ją, jakby ją napominał, i w pewnym sensie tak było.

— Strach — mówił Jason — może wyrządzić ci większą krzywdę niż nienawiść czy zazdrość. Jeśli się boisz, nie żyjesz pełnią życia. Strach zawsze cię paraliżuje.

— Chyba wiem, o czym pan mówi — powiedziała Mary Anne Dominie. — Pewnego dnia, rok temu, ktoś zaczął łomotać do moich drzwi, a ja uciekłam do łazienki, zamknęłam się i udawałam, że mnie nie ma, bo myślałam, że ktoś chce się włamać… Później dowiedziałam

się, że to kobieta piętro wyżej włożyła rękę do zlewu z automatycznym odpływem, bo wpadł jej nóż, i złapało ją. Jej synek dobijał się do moich drzwi…

— A zatem rozumiesz, o co mi chodzi — przerwał jej Jason.

— Tak. Chciałabym być inna. Naprawdę, ale nie potrafę.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści dwa.

To go zdziwiło, wyglądała o wiele młodziej. Najwyraźniej jeszcze nie dorosła. Poczuł do niej sympatię; decyzja, aby pozwolić mu skorzystać ze śmigacza, na pewno przyszła jej z wielkim trudem. Pod pewnym względem jej obawy były uzasadnione: nie prosił o pomoc z powodów, jakie podał.

— Jesteś bardzo miłą osobą — powiedział.

— Dziękuję — odparła ulegle i skromnie.

— Widzisz tę kawiarnię? — zapytał, pokazując nowoczesny, zadbany lokal. — Chodź my tam. Chcę z tobą porozmawiać.

Muszę z kimś porozmawiać, pomyślał, obojętnie z kim, inaczej — szóstak czy nie — postradam zmysły.

— Ale — zaprotestowała niespokojnie — muszę zanieść paczki na pocztę przed drugą, żeby wysłali je popołudniowym transportem do Kalifornii.

— A więc zrobimy to najpierw — oświadczył. Sięgnął do stacyjki, wyjął kluczyk i oddał go Mary Anne Dominie. — Ty prowadź. Tak wolno, jak chcesz.

— Panie… Taverner — poprosiła. — Ja chcę tylko zostać sama.

— Nie — odparł. — Nie powinnaś być sama. To cię zabija, dręczy. Przez cały czas, codziennie, powinnaś być wśród ludzi.

Milczenie. Po chwili Mary Anne powiedziała:

— Poczta jest na rogu Czterdziestej Dziewiątej i Fulton. Może pan poprowadzić? Jestem trochę zdenerwowana.

Wydało mu się to wielkim moralnym zwycięstwem, był zadowolony. Wziął od niej kluczyki i wkrótce lecieli w kierunku skrzyżowania Czterdziestej Dziewiątej i Fulton.

22

Siedzieli przy stoliku w kawiarni, czystym i atrakcyjnym lokalu z młodymi kelnerkami i stosunkowo niewielką liczbą gości. Szafa grająca dudniła *Memory of Your Nose* Louisa Pandy. Jason zamówił tylko kawę, panna Dominie sałatkę owocową i herbatę z lodem.

— Co to za płyty? — spytała. Podał jej albumy.

— O, przecież to pan. Jeśli jest pan Jasonem Tavernerem. A jest pan?

— Tak. Przynajmniej tego był pewny.

— Nie sądzę, żebym kiedyś słyszała, jak pan śpiewa — powiedziała Mary Anne Dominie. — Szkoda, ale niezbyt lubię muzykę pop; najczęściej słucham piosenkarzy folk z dawnych czasów, takich jak Bufy St. Marie. Teraz nikt nie potraf tak śpiewać jak Buffy.

— Racja — przyznał ponuro, znów wracając myślą do tego domu, łazienki, ucieczki przed strażnikiem w brązowym mundurze. To nie przez meskalinę, pomyślał jeszcze raz. Strażnik też to widział. A może zobaczył coś innego. — Może on nie widział tego, co ja — powiedział głośno. — Może po prostu zobaczył ją leżącą na podłodze. Może upadła. Może… — Może, pomyślał, powinienem tam wrócić.

— Kto nie widział czego? — zapytała Mary Anne Dominie i oblała się szkarłatnym rumieńcem. — Nie chciałabym wścibiać nosa w pańskie życie, ale powiedział pan o kłopotach i widzę, że obsesyjnie rozmyśla pan nad jakimś poważnym problemem.

— Musze się upewnić — rzekł — co naprawdę zaszło. Wszystko jest tam, w tym domu.

I na tych płytach, pomyślał.

Alys Buckman widziała mój program telewizyjny. Znała moje płyty. Wiedziała, która była przebojem; miała je. Jednak…

Na płytach nie było muzyki. Złamana igła… — diabła tam, nawet wtedy powinno się słyszeć jakieś dźwięki, choćby zniekształcone. Zbyt długo miał do czynienia z płytami i nagraniami, żeby o tym nie wiedzieć.

— Jest pan melancholikiem — orzekła Mary Anne Dominie. Z małej torebki wyjęła okulary; zaczęła dokładnie studiować notę biograficzną na koszulkach płyt.

— To, co mi się przytrafło — rzekł krótko Jason — wprawiło mnie w melancholijny nastrój.

— Tu jest napisane, że prowadzi pan program w TV.

— Zgadza się — kiwnął głową. — O dziewiątej wieczór, w każdy wtorek.

— A więc jest pan naprawdę sławny. Siedzę tu, rozmawiając ze sławną osobą, którą powinnam znać. Jak pan się czuł… wtedy, kiedy

przedstawił mi się pan, a ja nie wiedziałam, kim pan jest?

Wzruszył ramionami. Był ubawiony.

— Czy w tej szafe grającej są jakieś pańskie piosenki? — Wskazała na kolorową konstrukcję w stylu babilońskiego gotyku, stojącą w odległym kącie lokalu.

— Może — odparł. To dobre pytanie.

— Pójdę sprawdzić.

Panna Dominie wyłowiła z torebki ćwierćdolarówkę, wstała od stolika i przeszła przez kawiarnię, żeby spojrzeć na listę tytułów i wykonawców umieszczoną na szafe grającej.

Kiedy wróci, nie będzie już pod takim wrażeniem, pomyślał Jason. Znał skutki nieobecności: jeśli nigdzie go nie było, w żadnym odbiorniku i adapterze, w żadnej szafe grającej i sklepie muzycznym, na ekranie telewizyjnym, w całym wszechświecie — czar pryskał.

Wróciła z uśmiechem.

— *Nowhere Nuthin' Fuck-up* — oznajmiła, siadając na krześle. Zauważył, że nie ma już monety. — Zaraz powinniśmy ją usłyszeć.

Zerwał się na równe nogi i przeszedł przez kawiarnię do szafy grającej.

Miała rację. Sekcja B4. Jego najnowszy przebój. *Nowhere Nuthin' Fuck-up* — sentymentalny kawałek. Mechanizm szafy już zaczął podawać płytę. Po chwili jego głos, wzmocniony przez kwadrofoniczne głośniki i sztuczne echo, wypełnił kawiarnię.

Oszołomiony Jason powrócił do stolika.

— Ma pan cudowny głos — powiedziała, może tylko z grzeczności, kiedy skończyła się płyta.

— Dziękuję.

To rzeczywiście był jego głos. Rowki na tej płycie nie były puste.

— Naprawdę jest pan wspaniały — rzekła Mary Anne entuzjastycznie, cała w uśmiechach i błyskach okularów.

— Robię to od dawna — odparł z prostotą Jason.

— Czy uraziło pana, że o panu nie słyszałam?

— Nie — potrząsnął głową, nadal oszołomiony. Z pewnością nie ona jedna, jak wykazały wypadki dwóch ostatnich dni — dwóch dni? czy minęło tylko tyle czasu? — Czy mogę… jeszcze coś zamówić? — spytała Mary Anne. Zawahała się.

— Wydałam wszystkie pieniądze na znaczki, więc…

— Ja płacę — rzekł Jason.

— Co pan myśli o serniku z truskawkami?

— Niezwykły wybór — odparł rozbawiony. Szczerość tej kobiety, jej lęki… Czy ona ma jakiegoś chłopca? — zastanawiał się. Pewnie nie… Żyje w świecie naczyń, gliny, paczek w brązowym papierze, kłopotów z małym starym Fordem Greyhoundem i stereofonicznych głosów dawnych gwiazd — Judy Collins i Joan Baez — w tle.

— Słuchała pani kiedyś Heather Hart? — zapytał delikatnie. Zmarszczyła brwi.

— Nie jestem pewna. Czy ona śpiewa folk, czy… Umilkła i posmutniała, jakby uważała, że nie wiedząc tego, o czym każdy wie, nie dopełniła jakiegoś obowiązku, nie wiedząc tego, o czym każdy wie. Poczuł sympatię do tej kobiety.

— Ballady — rzekł. — Tak jak ja.

— Czy możemy jeszcze raz posłuchać pańskiej piosenki?

Uprzejmie wrócił do szafy grającej i powtórzył to samo. Tym razem Mary Anne wydawała się nie słuchać utworu.

— O co chodzi? — zapytał.

— Och — odparła. — Zawsze wmawiam sobie, że pracuję twórczo; robię naczynia i podobne rzeczy. Nie wiem jednak, czy są naprawdę dobre; nie wiem, po czym to poznać. Ludzie mówią mi…

— Ludzie powiedzą ci wszystko: zarówno, że twoje dzieła są bezwartościowe, jak i że bezcenne. Najgorsze i najlepsze. Zawsze trafasz do jednych… — Postukał w solniczkę.

— …a nie trafasz do drugich. — Pokazał talerz po sałatce.

— Musi być jednak jakiś sposób…

— Są znawcy. Można słuchać ich oraz ich teorii. Oni zawsze mają jakieś teorie. Piszą długie artykuły i omawiają twoje utwory, począwszy od pierwszej piosenki, którą nagrałeś dziewiętnaście lat temu. Porównują nagrania, których nawet nie pamiętasz. A krytycy telewizyjni…

— Byle być zauważoną. — Jej oczy znów na krótko rozbłysły.

— Przepraszam — rzekł, ponownie wstając od stolika. Nie mógł już dłużej czekać.

— Muszę zadzwonić. Mam nadzieję, że zaraz wrócę. Jeśli nie… — Położył jej dłoń na ramieniu, na białym wełnianym swetrze, który pewnie sama zrobiła na drutach. — Miło było panią spotkać.

Zdumiona, patrzyła w swój smutny, uległy sposób, jak przeciskał się w tył zatłoczonej kawiarni, do budki telefonicznej.

Zamknął się w budce, znalazł numer Akademii Policyjnej Los Angeles w wykazie telefonów służb porządkowych i wrzuciwszy monetę, wykręcił go.

— Chciałbym mówić z generałem policji Felixem Buckmanem — powiedział i bez zdziwienia usłyszał, że jego głos drży. Jestem wykończony psychicznie, uświadomił sobie. Wszystko, co się wydarzyło, razem z piosenką w szafe grającej, to dla mnie o wiele za dużo. Jestem po prostu wystraszony i zdezorientowany. Być może, pomyślał, meskalina jeszcze nie całkiem przestała działać. Jednak dobrze prowadziłem ten mały śmigacz; to o czymś świadczy. Pieprzone prochy, myślał. Zawsze wiesz, kiedy odlatujesz, ale nigdy nie masz pojęcia, kiedy przestają działać — jeżeli w ogóle kiedyś

przestają. Osłabiają cię na zawsze, a przynajmniej tak sądzisz: nie masz pewności. Może nigdy nie dochodzisz do siebie. Oni mówią: „Hej, człowieku, mózg ci się zlasował", a ty im odpowiadasz: „Możliwe". Nie masz pewności, czy tak jest, czy nie. A wszystko dlatego, że łyknąłeś jakąś kapsułkę albo jedną kapsułkę za dużo, bo ktoś powiedział: „Po tym odlecisz".

— Mówi Miss Beason — usłyszał kobiecy głos. — Asystentka pana Buckmana. W czym mogę pomóc?

— Peggy Beason — mruknął. Nabrał tchu w piersi i powiedział: — Tu Jason Taverner.

— Ach tak, pan Taverner. Czego pan chce? Zostawił pan tu coś?

— Chcę mówić z generałem Buckmanem.

— Obawiam się, że pan Buckman…

— Chodzi o Alys — przerwał jej Jason. Cisza. Po chwili Peggy Beason powiedziała:

— Proszę zaczekać, panie Taverner. Zadzwonię do pana Buckmana i zorientuję się, czy znajdzie chwilę czasu.

Trzaski. Długa cisza. Odgłos połączenia.

— Pan Taverner? — To nie był głos generała Buckmana. — Tu Herbert Maime, szef personelu generała Buckmana. Rozumiem, że powiedział pan pannie Beason, że chodzi o siostrę generała, pannę Alys Buckman. Chciałbym wiedzieć, w jakich okolicznościach poznał pan pannę…

Jason odwiesił słuchawkę. Patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, wrócił do stolika, gdzie siedziała Mary Anne Dominie i jadła sernik z truskawkami.

— A jednak wrócił pan — ucieszyła się.

— Jaki jest ten sernik?

— Trochę za ciężki, ale smaczny.

Usiadł przy stoliku w ponurym nastroju. No cóż, zrobił co mógł, żeby skontaktować się z Felixem Buckmanem, powiedzieć mu o Alys. Jednakże… co mógłbym mu powiedzieć?

Śmieszność tego wszystkiego, daremność wszelkich wysiłków i starań… spotęgowane jeszcze, myślał, przez to, co mi dała — przez tę kapsułkę meskaliny. Jeżeli to była meskalina.

To stwarzało nowe możliwości. Nie miał wcale pewności, żadnego dowodu, że Alys naprawdę podała mu meskalinę. Mogło to być cokolwiek. Dlaczego, na przykład, meskalina miałaby pochodzić ze Szwajcarii? To bez sensu; świadczyłoby, iż jest to środek syntetyczny, a nie naturalny: coś wyprodukowane w laboratorium, może nowy wieloskładnikowy narkotyk kultowy albo coś wykradzione z policyjnych laboratoriów.

Nagranie *Nowhere Nuthin' Fuck-up:* załóżmy, iż wydawało mu się, że je słyszy i widzi w spisie utworów szafy grającej pod wpływem

narkotyku. Jednakże Mary Anne Dominie też słyszała piosenkę, a nawet sama ją znalazła.

A co z dwiema pustymi płytami?

Kiedy siedział pogrążony w myślach, pochylił się nad nim dorastający chłopiec w podkoszulku i dżinsach i wymamrotał:

— Hej, pan jest Jason Taverner, prawda? — Podał Jasonowi długopis i kartkę. — Czy mógłbym dostać pański autograf, sir?

Za jego plecami śliczna rudowłosa nastolatka bez biustonosza, w szortach, uśmiechnęła się i powiedziała z ożywieniem: — Oglądamy pana w każdy wtorkowy wieczór. Jest pan fantastyczny. W rzeczywistości wygląda pan… tak samo jak na ekranie, tyle że jest pan bardziej, no… opalony. — Przyjaźnie zakołysała sterczącymi sutkami.

Machinalnie, z przyzwyczajenia, złożył swój podpis.

— Dziękuję wam — powiedział; było ich już czworo. Czwórka nastolatków opuściła lokal, wymieniając uwagi.

Ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli z zainteresowaniem spoglądać na Jasona i szeptać do siebie. Jak zawsze, powiedział sobie w duchu. Tak było do niedawna. Moja rzeczywistość zaczyna powracać. Czuł niepohamowane, gwałtowne uniesienie. Oto świat, jaki znał; oto jego styl życia. Utraciłem go na chwilę, pomyślał, ale teraz — nareszcie — go odzyskam!

Heather Hart. Teraz mogę do niej zadzwonić i porozumieć się z nią. Już nie weźmie mnie za zboczonego fana.

A może istnieję tylko wtedy, kiedy zażywam narkotyk, ten preparat, który podała mi Alys. W takim razie moja kariera, pomyślał, całe dwadzieścia lat, jest zaledwie retrospektywną halucynacją wywołaną przez ten narkotyk.

Ten środek, rozmyślał Jason Taverner, po prostu przestał działać. Ona (czy ktokolwiek) przestała mi go podawać i wróciłem do rzeczywistości w nędznym pokoju podupadłego hoteliku, z popękanym lustrem i zapchlonym materacem. Pozostałem w nim do tej pory, aż Alys podała mi następną dawkę.

Nic dziwnego, myślał, że znała mnie i mój wtorkowy program telewizyjny. Sama stworzyła go za pomocą narkotyku. Dwa albumy płytowe to atrapy służące do wzmocnienia halucynacji.

Jezu Chryste, pomyślał, czy istotnie tak jest?

A pieniądze, z którymi obudziłem się w pokoju hotelowym, gruby plik? Odruchowo poklepał się po kieszeni, poczuł, że nadal tam są. Jeśli w prawdziwym życiu wegetuję w zapchlonym hoteliku w dzielnicy Watts, to skąd mam tyle forsy?

Poza tym powinienem figurować w aktach policyjnych oraz we wszystkich bankach danych na świecie, nie jako słynny artysta, lecz nędzny kombinator, który nigdy do niczego nie doszedł, na wyżyny wspinał się tylko po prochach, Bóg wie, od jak dawna. Może zażywam

ten narkotyk od lat.

Alys, przypomniał sobie, mówiła, że byłem już w tym domu. I najwidoczniej, zawyrokował, to prawda. Byłem. Przychodziłem po swoją porcję narkotyku.

Może jestem tylko jednym z wielu ludzi żyjących syntetycznym życiem z kapsułki, zapewniającej sławę, pieniądze i władzę, a w rzeczywistości wegetujących w zapchlonych, starych pokojach hotelowych, w dzielnicach nędzy. To wyrzutki, nędzarze, mniej niż zero, snujący jednak swoje marzenia.

— Pogrążył się pan w głębokiej zadumie — powiedziała Mary Anne. Skończyła sernik; wyglądała na uspokojoną i szczęśliwą.

— Słuchaj — rzekł ochrypłym głosem. — Czy moja piosenka naprawdę jest w tej szafe grającej?

Szeroko otworzyła oczy, usiłując zrozumieć.

— O czym pan mówi? Przecież słuchaliśmy jej. Jeszcze widać nazwę w okienku, gdzie pokazuje się wybrany utwór. Szafy grające nigdy się nie mylą.

Znalazł monetę.

— Idź, puść ją ponownie. Nastaw trzykrotną powtórkę. Posłusznie podniosła się z krzesła, przeszła między stolikami i dotarła do szafy; śliczne brązowe włosy podskakiwały na jej kształtnych ramionach. Wkrótce usłyszał ją, usłyszał swoją piosenkę. Ludzie przy stolikach i kontuarze kiwali głowami i uśmiechali się do niego; wiedzieli, że to on śpiewa. To byli jego słuchacze.

Kiedy piosenka się skończyła, kawiarniani goście zaczęli klaskać. Uśmiechając się refeksyjnym, profesjonalnym uśmiechem, podziękował im za aplauz i za to, że go rozpoznali.

— Jest tam — stwierdził, powtórnie słysząc piosenkę. Gwałtownie zacisnął pięść i uderzył nią w plastikowy stolik oddzielający go od Mary Anne Dominie. — Niech to szlag, ona tam jest!

Wiedziona osobliwą, intuicyjną kobiecą chęcią pomocy, Mary Anne powiedziała:

— I ja też tu jestem.

— Nie leżę, marząc, na pryczy w jakimś nędznym hoteliku — rzekł na głos.

— Nie — mówiła czułym, zatroskanym głosem. Naprawdę martwiła się o niego.

— Znów jestem rzeczywisty — powiedział — ale jeśli coś takiego mogło zdarzyć się raz i trwać przez… — Przychodzić i odchodzić w ten sposób, pojawiać się i znikać…

— Może powinniśmy już pójść — podsunęła taktownie Mary Anne. To go otrzeźwiło.

— Przepraszam — rzekł, chcąc ją uspokoić.

— Chodzi mi o to, że ludzie nas słuchają.

— To im nie zaszkodzi — odparł. — Niech słuchają, niech wiedzą, że człowiek ma swoje troski i kłopoty nawet wtedy, gdy jest gwiazdą światowej sławy.

Wstał jednak od stolika.

— Dokąd chcesz lecieć? — zapytał. — Do twojego mieszkania?

To oznaczało powrót w pobliże domu Alys, lecz w przypływie optymizmu postanowił zaryzykować.

— Do mojego mieszkania? — powtórzyła niepewnie.

— Myślisz, że zrobię ci krzywdę? Przez chwilę siedziała, nerwowo rozważając propozycję.

— N-nie — odparła w końcu.

— Czy masz adapter w swoim mieszkaniu? — zapytał.

— Tak, niezbyt dobry — tylko stereofoniczny, ale działa.

— W porządku — rzekł, prowadząc ją między stolikami do kasy. — Chodźmy.

23

Mary Anne Dominie sama pomalowała ściany i suft swojego mieszkania. Piękne soczyste, mocne kolory; Jason był pod wrażeniem. Liczne dzieła sztuki stojące w bawialni miały w sobie nieodparte piękno. Ceramika. Podniósł śliczną wazę z niebieską polewą.

— Ja ją zrobiłam — powiedziała Mary Anne.

— Ta waza wystąpi w moim programie — oznajmił. Mary Anne patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Wkrótce pokażę ją na ekranie. To będzie — już widział to oczami duszy — wspaniały numer, kiedy wyłonię się z tej wazy śpiewając, jak magiczny dżin z butelki.

Wysoko podniósł wazę, trzymając ją w jednej ręce.

— *Nowhere Nuthin' Fuck-up* — powiedział. — Zrobisz karierę.

— Może powinien pan trzymać ją obiema rękami — rzekła z obawą Mary Anne.

— *Nowhere Nuthin' Fuck-up,* piosenka, która przyniosła mi większą popularność…

Waza wyślizgnęła mu się z palców i upadła na podłogę. Mary Anne skoczyła, usiłując ją złapać, ale było za późno. Rozbiła się na trzy części i leżała przy prawym bucie Jasona; szorstkie, nieglazurowane krawędzie odłamków były blade, nieregularne i pozbawione waloru artystycznego.

Zapadła długa cisza. — Myślę, że zdołam ją skleić — rzekła Mary Anne. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć.

— Najbardziej kłopotliwa sytuacja w moim życiu — zaczęła mówić Mary Anne — była związana z moją matką. Otóż, moja matka cierpiała na postępującą niewydolność nerek, nazywaną chorobą Brighta. Kiedy byłam dorastającą panienką, wciąż leżała w szpitalu i w rozmowach wiecznie powtarzała, że na pewno na to umrze, i pytała, czy nie będzie mi wtedy przykro — jakby to była moja wina. Wierzyłam jej, że pewnego dnia umrze. Tymczasem dorosłam, wyprowadziłam się z domu, a ona ciągle nie umierała. Trochę o niej zapomniałam i o tych jej cholernych nerkach; miałam własne życie i sprawy. Pewnego dnia odwiedziła mnie, nie tutaj, ale w mieszkaniu, które wynajmowałam przedtem; wymęczyła mnie, siedząc i opowiadając bez końca o stanie swoich nerek i narzekając… W końcu powiedziałam: „Muszę zrobić zakupy na obiad" i ruszyłam do sklepu. Matka pokuśtykała ze mną i po drodze mówiła, że jej nerki są już tak zniszczone, że trzeba będzie je usunąć, spróbują wszczepić jej sztuczną nerkę, ale to prawdopodobnie się nie uda. Powiedziała, że teraz już naprawdę umrze, jak zawsze twierdziła… Rozejrzałam się wokół i zobaczyłam, że jestem w supermarkecie, przy stoisku mięsnym; miły

sprzedawca, którego lubiłam, podchodzi, żeby powiedzieć dzień dobry. Zapytał: „Co pani dzisiaj podać, panienko?", a ja odpowiedziałam: „Chciałabym na obiad zapiekankę z nerek". Sytuacja była bardzo kłopotliwa. „Wielką zapiekankę z nerek — powiedziałam — drobno posiekanych, delikatnych, świeżych i soczystych". „Na ile osób?" — zapytał. Matka patrzyła na mnie dziwnym wzrokiem. Naprawdę nie wiedziałam, jak z tego wybrnąć. W końcu rzeczywiście kupiłam zapiekankę z nerek, ale musiałam pójść po nią do delikatesów; była w puszce, wyprodukowana w Anglii. Zdaje się, że kosztowała cztery dolary. Była bardzo smaczna.

— Zapłacę za wazę — zaproponował Jason. — Ile pani za nią chce?

— No cóż, sklepom sprzedaję po cenach hurtowych, ale panu muszę policzyć cenę detaliczną, bo nie ma pan… — odpowiedziała po namyśle.

Wyjął pieniądze.

— Ile detalicznie?

— Dwadzieścia dolarów.

— Mogę wykorzystać panią w inny sposób — powiedział. — Wszystko, czego nam potrzeba, to odpowiednie podejście. Moglibyśmy pokazać widzom bezcenną antyczną wazę, na przykład chińską z piątego wieku, a potem eksperta muzealnego w uniformie, który potwierdziłby jej autentyczność. Pani na swoim kole zrobiłaby taką wazę na oczach telewidzów i pokazalibyśmy, że pani waza jest lepsza.

— Nie byłaby. Wczesna chińska porcelana…

— Pokazalibyśmy im, oni by uwierzyli. Znam moją publiczność. Te trzydzieści milionów ludzi czeka na mój znak; podziw na mojej twarzy świadczyłby o mojej reakcji.

— Nie potrafłabym stanąć przed tymi wszystkimi kamerami; jestem taka… gruba. Ludzie śmialiby się ze mnie — wyznała cicho Mary Anne.

— To zapewni pani reklamę. Muzea i sklepy poznają pani nazwisko, pani wyroby, klienci zaczną pchać się drzwiami i oknami.

— Proszę mnie zostawić — odparła spokojnie Mary Anne. Jestem bardzo szczęśliwa. Wiem, że jestem dobrym garncarzem; wiem, że sklepom, i to eleganckim, podobają się moje wyroby. Czy wszystko musi być na wielką skalę, liczone w tysiące? Czy nie mogę żyć swoim własnym, skromnym życiem? — spojrzała na niego przenikliwie; jej głos był niemal niesłyszalny. — Nie widzę, żeby popularność i sława przyniosły panu wiele dobrego. Tam, w kawiarni, powiedział pan do mnie: „Czy moja piosenka naprawdę jest w tej szafe grającej?" Obawiał się pan, że jej tam nie ma; czuł się pan o wiele mniej bezpiecznie niż ja.

— Skoro o tym mowa — rzekł Jason — chciałbym przesłuchać te

dwie płyty, zanim pójdę.

— Lepiej sama je puszczę — oświadczyła Mary Anne. — Z moim adapterem trzeba umieć się obchodzić.

Wzięła obie płyty i dwadzieścia dolarów; Jason stał przy kawałkach rozbitej wazy. Czekał, dopóki nie usłyszał znanych dźwięków. Jego najlepiej sprzedający się album. Rowki płyty nie są już puste.

— Może pani zatrzymać te płyty — powiedział. — Wychodzę.

Teraz, pomyślał, już ich nie potrzebuję; pewnie można je kupić w każdym sklepie muzycznym.

— To nie jest rodzaj muzyki, jaki lubię… Obawiam się, że nie będę ich zbyt często słuchała.

— Mimo to zostawię je — rzekł.

— Za pańskie dwadzieścia dolarów dam panu inną wazę. Chwileczkę — oznajmiła Mary Anne.

Wypadła z pokoju; słyszał szelest papieru i gorączkową krzątaninę. W końcu dziewczyna wróciła, trzymając drugą niebieską wazę. Była jeszcze piękniejsza; intuicja podpowiadała mu, że uważa ją za jedno ze swoich najlepszych dzieł.

— Dziękuję — powiedział.

— Zapakuję ją, żeby się nie stłukła, jak tamta.

Tak zrobiła, uwijając się z pośpiechem, ale zarazem ostrożnie.

— To bardzo ekscytujące przeżycie — mówiła — zjeść lunch ze sławnym człowiekiem. Bardzo się cieszę, że pana poznałam, długo będę pamiętać nasze spotkanie. Mam nadzieję, że pańskie kłopoty miną, to znaczy, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Jason Taverner sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza po małe, opatrzone inicjałami, skórzane etui na wizytówki. Wyjął wytłaczaną, wielobarwną wizytówkę i wręczył ją Mary Anne.

— Proszę dzwonić do mojego studia o dowolnej porze, jeśli zmieni pani zdanie i postanowi wystąpić w moim programie. Jestem pewien, że uda nam się panią pokazać. A przy okazji — tu jest mój prywatny telefon.

— Do widzenia — powiedziała, otwierając mu drzwi.

— Do widzenia. — Przerwał, chcąc coś jeszcze powiedzieć, ale już nic nie pozostało do powiedzenia. — Zawiedliśmy — rzekł. — Zupełnie zawiedliśmy. Oboje.

Zamrugała oczami.

— Co ma pan na myśli?

— Proszę uważać na siebie — powiedział i wyszedł z jej mieszkania prosto w popołudniowy skwar, w gorące światło dnia.

24

— Mogę tylko stwierdzić, że umarła w wyniku przedawkowania jakiegoś toksycznego lub półtoksycznego środka. Dopiero za dwadzieścia cztery godziny będziemy w stanie powiedzieć, co to był za środek — powiedział policyjny koroner, klęcząc przy ciele Alys Buckman.

— W końcu musiało do tego dojść — rzekł Felix Buckman.

Zadziwiające, ale prawie nic nie odczuwał. Prawdę mówiąc, poczuł głęboką ulgę, kiedy Tim Chancer, ich strażnik, powiadomił go, że Alys została znaleziona martwa w łazience na piętrze.

— Myślałem, że ten Taverner coś jej zrobił — powtarzał raz po raz Chancer, usiłując zwrócić uwagę Buckmana. — Zachowywał się dziwnie. Wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Strzeliłem do niego kilka razy, ale udało mu się uciec. Chyba dobrze, że go nie trafłem, jeśli był niewinny. A może czuł się winny, bo wmusił w nią ten narkotyk. Czy to możliwe?

— Nikt nie musiał wmuszać w Alys narkotyku — odparł ze złością Buckman. Wyszedł z łazienki do holu. Dwaj policjanci w szarych mundurach stanęli na baczność, czekając na rozkazy. — Nie potrzebowała Tavernera ani nikogo, żeby je zażywać.

Poczuł mdłości. Boże, pomyślał, jak na to zareaguje Barney? To było najgorsze. Z niejasnych dla Felixa powodów dzieciak uwielbiał matkę. No cóż, pomyślał Buckman, trudno zrozumieć gust innych ludzi.

A jednak on sam także ją kochał. Miała ogromną zaletę, rozmyślał. Będzie mi jej brakowało. Wypełniała sporą część jego życia. Na dobre i złe.

Pobladły Herb Maime wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, i zjawił się przed Buckmanem.

— Przyleciałem najszybciej, jak mogłem — zapewnił, wyciągając dłoń do Buckmana. Uścisnęli sobie ręce. — Co to było? — spytał Herb ściszając głos. — Przedawkowała coś?

— Widocznie.

— Miałem wcześniej telefon od Tavernera — powiedział Herb. — Chciał rozmawiać z panem; mówił, że chodzi o Alys.

— Chciał poinformować mnie o śmierci Alys. Był tu wtedy.

— Jak? Skąd ją znał?

— Nie wiem — odparł Buckman. W tej chwili wydawało się, że to go wcale nie obchodzi. Nie widział powodu, żeby winić Tavernera… Znał temperament i zwyczaje Alys; pewnie go tu zaciągnęła. Może dopadła go, kiedy opuszczał budynek Akademii, wpakowała do swojego podrasowanego śmigacza, a potem zabrała do domu. W

końcu Taverner był szóstakiem, Alys lubiła szóstaków. Mężczyzn i kobiety. Szczególnie kobiety.

— Może urządzili sobie orgię — mruknął Buckman.

— We dwoje? Czy też podejrzewa pan, że byli inni?

— Nie było tu nikogo więcej. Chancer by zauważył. Mogli mieć telefoniczną orgię; to miałem na myśli. Tyle razy była bliska szaleństwa z powodu tych przeklętych orgii telefonicznych; szkoda, że nie możemy wyśledzić nowych zarządców, którzy przejęli interes, kiedy zastrzeliliśmy Billa, Carol, Freda i Jill. Tych degeneratów.

Drżącą ręką zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

— To mi przypomina zabawne słowa, jakie kiedyś powiedziała Alys. Mówiła o urządzaniu orgii i zastanawiała się, czy powinna wysłać formalne zaproszenia. „Lepiej tak zrobię — oświadczyła — inaczej nie wszyscy dotrą jednocześnie". Zaśmiał się.

— Już mi pan to opowiadał — rzekł Herb.

— Ona jest naprawdę martwa. Zimna i martwa. — Buckman zdusił papierosa w popielniczce. — Moja żona — powiedział do Herba Maime'a. — Była moją żoną.

Herb nieznacznym ruchem głowy wskazał dwóch policjantów w szarych mundurach, stojących na baczność.

— I co z tego? Czy nie czytali libretta *Walkiriil* — Drżąc, zapalił następnego papierosa. — Sigmund i Siglinda. *Schwester und Braut.* Siostra i narzeczona. Do diabła ze wszystkim.

Upuścił papierosa na dywan; stojąc, patrzył, jak się żarzy, paląc wełnę. Zdeptał go obcasem.

— Powinien pan usiąść — radził Herb. — Albo położyć się. Wygląda pan strasznie.

— To straszne — rzekł Buckman. — Naprawdę. Wielu rzeczy w niej nie lubiłem, ale…

— Chryste — ona była taka pełna życia. Wciąż próbowała czegoś nowego. To ją zabiło — pewnie jakiś nowy narkotyk, upichcony przez nią i jej przyjaciółki-wiedźmy w nędznych podziemnych laboratoriach; coś na bazie wywoływacza do flmów, proszku do prania albo czegoś jeszcze gorszego.

— Myślę, że powinniśmy porozmawiać z Tavernerem — powiedział Herb.

— W porządku. Zgarnijcie go. Przecież ma na sobie mikronadajnik, prawda?

— Najwidoczniej nie. Wszystkie pluskwy, jakie mu podrzuciliśmy, zanim opuścił budynek Akademii, przestały działać, z wyjątkiem, być może, głowicy bojowej. Nie mamy jednak powodu, aby ją odpalić.

— Taverner to sprytny drań — mruknął Buckman. — Albo ktoś mu pomógł. Ten lub ci, z którymi współdziała. Nie trudź się odpalaniem głowicy; na pewno wyciął mu ją jakiś uprzejmy kolega.

Albo Alys, dopowiedział w myślach. Moja przemiła siostra. Ze wszystkich sił pomagająca policji. Cudownie.

— Lepiej będzie na razie opuścić dom — rzekł Herb. — Do czasu, aż ludzie koronera zakończą rutynowe działania.

— Zawieź mnie z powrotem do Akademii — polecił Buckman. — Chyba nie mogę prowadzić, za bardzo się trzęsę.

Poczuł coś na twarzy; podniósł rękę i stwierdził, że ma mokrą brodę.

— Co to takiego? — zapytał, zdumiony.

— Płacze pan — odparł Herb.

— Zawieź mnie z powrotem do Akademii; chcę zamknąć wszystkie sprawy, nim przekażę je tobie — powiedział Buckman. — A potem może zechcę tu wrócić.

Może Taverner rzeczywiście coś jej dał, powiedział sobie w duchu, ale Taverner jest niczym. To jej robota. A jednak…

— Chodźmy — rzekł Herb, biorąc go pod rękę i prowadząc do schodów. Schodząc, Buckman zapytał:

— Na rany Chrystusa, pomyślałbyś kiedyś, że zobaczysz, jak płaczę?

— Nie — odparł Herb. — Ale to zrozumiałe. Byliście sobie bardzo bliscy.

— Można tak powiedzieć — warknął Buckman w nagłym przypływie gniewu.

— Niech ją szlag traf! Mówiłem jej, że tak skończy. Jej przyjaciele warzyli dla niej te świństwa i robili z niej królika doświadczalnego.

— Proszę nie przepracowywać się w biurze — poradził Herb, gdy wyszli przez bawialnię na zewnątrz, do zaparkowanych przed domem pojazdów. — Wystarczy, że zamknie pan sprawy tak, żebym mógł je przejąć.

— Właśnie tak mówiłem — rzekł Buckman. — Nikt mnie nie słucha, cholera! Herb poklepał go po plecach i nie odezwał się; obaj w milczeniu szli po trawniku. Gdy wracali do Akademii, Herb, siedzący za sterem śmigacza, powiedział:

— W płaszczu mam papierosy. To były pierwsze słowa, jakie padły między nimi, od kiedy wsiedli do pojazdu.

— Dzięki — odparł Buckman. Zdążył już wypalić swój tygodniowy przydział.

— Chcę omówić z panem pewną sprawę — oznajmił Herb. — Wolałbym z tym poczekać, ale nie mogę.

— Nawet do czasu, gdy znajdziemy się w biurze?

— Tam możemy zastać innych wysokich rangą funkcjonariuszy albo po prostu innych ludzi — na przykład mój personel.

— Nie mam niczego do…

— Proszę posłuchać — przerwał mu Herb. — Chodzi o Alys. O

pańskie małżeństwo z nią. Z siostrą.

— Kazirodztwo — burknął Buckman.

— Niektórzy marszałkowie mogą o tym wiedzieć. Alys opowiadała o tym zbyt wielu ludziom. Wie pan, jaka była.

— Była z tego dumna — rzekł Buckman, z trudem zapalając papierosa. Wciąż nie mógł oswoić się z myślą, że płakał. Naprawdę musiałem ją kochać, powiedział sobie. A zdawało mi się, że czuję tylko lęk i niechęć, a także pociąg seksualny. Ileż razy, pomyślał, dyskutowaliśmy o tym, zanim to zrobiliśmy. Całe lata. — Nigdy nie mówiłem o tym nikomu oprócz ciebie.

— Jednak Alys…

— Dobrze. No cóż, może wiedzą o tym niektórzy marszałkowie, a może i dyrektor — jeśli chce wiedzieć.

— Marszałkowie będący w opozycji, którzy wiedzą o… — zawahał się — o tym kazirodztwie, powiedzą, że popełniła samobójstwo. Ze wstydu. Powinien pan być na to przygotowany. I postarają się, żeby to przeciekło do prasy.

— Tak uważasz? — spytał Buckman. Tak, pomyślał, to byłaby niesamowita sensacja. Generał policji żonaty z własną siostrą, z którą ma dziecko ukryte gdzieś na Florydzie. Generał i jego siostra udający męża i żonę na Florydzie, kiedy byli z dzieckiem. I chłopiec: produkt obciążony genetyczną skazą.

— Chcę, żeby pan zrozumiał — ciągnął Herb — i obawiam się, że musi pan to pojąć teraz, chociaż nie jest to najlepszy moment, tak zaraz po śmierci Alys i…

— Przecież to nasz koroner — rzekł Buckman. — Nasz, z Akademii. — Nie rozumiał, o co chodzi Herbowi. — Oświadczy, że to było przedawkowanie semitoksycznego środka, jak to już zrobił.

— Świadome — powiedział Herb. — W celach samobójczych.

— Co mam zrobić?

— Zobowiązać — rozkazać, żeby orzekł morderstwo. Teraz zrozumiał. Później, kiedy trochę opanowałby żal, sam by o tym pomyślał. Herb Maime ma rację; trzeba stawić temu czoło teraz, zanim wrócą do budynku Akademii i personelu.

— Tak więc możemy ogłosić — powiedział Herb — że…

— Że pewne jednostki z kręgów policyjnej hierarchii, wrogo nastawionej do mojej polityki wobec kampusów i obozów pracy, zemściły się, mordując moją siostrę — cedził Buckman przez zaciśnięte zęby. Doprowadzało go do szału, że już teraz musi myśleć o takich sprawach. Jednak…

— Coś w tym rodzaju — rzekł Herb. — Nie wymieniając niczyjego nazwiska, żadnych marszałków, zasugerujmy, że to oni wynajęli kogoś w tym celu albo kazali zrobić to jakiemuś niższemu rangą, żądnemu awansu ofcerowi. Czy zgadza się pan ze mną?

Musimy działać szybko; trzeba ogłosić to natychmiast. Jak tylko wrócimy do Akademii, niech pan poleci rozesłać pismo tej treści do wszystkich marszałków i do dyrektora.

Muszę posłużyć się tą straszną osobistą tragedią dla własnych korzyści, zdał sobie sprawę Buckman. Muszę wykorzystać przypadkową śmierć mojej siostry; jeśli była przypadkowa.

— Może to prawda — zasugerował. Może, na przykład, zaaranżował to marszałek Holbein, który nienawidził go jak zarazy.

— Nie — odparł Herb. — To nieprawda, ale trzeba wszcząć śledztwo. Należy znaleźć kogoś, kogo można obwinić; musi dojść do procesu.

— Tak — przytaknął odruchowo. Ze wszystkimi szykanami. Zakończonego egzekucją, z wieloma wzmiankami w prasie o zamieszanych w tę zbrodnię „wyższych funkcjonariuszach", którzy pozostają nietykalni z racji zajmowanych stanowisk. Dyrektor, być może, ofcjalnie wyrazi swoje współczucie z powodu tragedii oraz nadzieję, że winni zostaną odnalezieni i ukarani.

— Przepraszam, że podnoszę tę kwestię tak szybko — powiedział Herb. — Zdegradowali pana z marszałka do generała; jeżeli kazirodztwo stanie się publiczną tajemnicą, mogą zmusić pana do przejścia na emeryturę. Oczywiście, mogą wygrzebać tę historię z kazirodztwem nawet wtedy, kiedy przejmiemy inicjatywę. Miejmy nadzieję, że jest pan dobrze kryty.

— Zrobiłem wszystko, co możliwe — rzekł Buckman.

— Na kogo to zrzucimy?

— Na marszałka Holbeina i marszałka Ackersa. Nienawidził ich tak bardzo, jak oni jego. To oni pięć lat temu doprowadzili do rzezi ponad dziesięciu tysięcy studentów w kampusie Stanford; ostatniej krwawej i niepotrzebnej zbrodni tej zbrodni nad zbrodniami, jaką była Druga Wojna Domowa.

— Nie chodzi mi o tych, którzy to zaplanowali — mówił Herb. — To oczywiste: jak pan powiedział, Holbein, Ackers i inni. Mówię o tym, kto wstrzyknął jej narkotyk.

— Jakaś mała płotka — odparł Buckman. — Jakiś więzień polityczny z jednego z obozów pracy.

To naprawdę nie miało żadnego znaczenia. Można w to wrobić któregokolwiek z miliona więźniów lub któregokolwiek studenta z podupadających kibuców.

— Uważam, że powinniśmy przypisać to komuś stojącemu wyżej.

— Dlaczego? — Buckman nie nadążał za tokiem jego rozumowania. — Zawsze robi się w ten sposób; aparat wybiera kogoś nieznanego, nieważnego…

— Niech to będzie któryś z jej znajomych. Ktoś, kto mógł być jej równy, ktoś dobrze znany. Najlepiej któryś ze sławnych ludzi

mieszkających w tej okolicy; ona była cholerną snobką.

— Dlaczego ma to być ktoś ważny?

— Aby powiązać Holbeina i Ackersa z tymi parszywymi, zdegenerowanymi draniami od orgii telefonicznych, z którymi przestawała. — Herb powiedział to z prawdziwą złością; Buckman spojrzał na niego ze zdziwieniem. — Z tymi, którzy naprawdę ją zabili. Jej współwyznawcami. Trzeba wybrać kogoś stojącego najwyżej, jak się da. Wtedy naprawdę będzie co przypisać marszałkom. Proszę pomyśleć o skandalu, jaki wybuchnie. Holbein współwinnym prowadzenia seks-sieci.

Buckman zgasił papierosa i zapalił następnego. Myślał intensywnie. Muszę załatwić ich większym skandalem. Moja historia musi być bardziej sensacyjna niż ich.

A to naprawdę nie będzie łatwe.

25

W swoim gabinecie w budynku Akademii Policyjnej Los Angeles Felix Buckman sortował na biurku notatki, listy i dokumenty; machinalnie wybierał te, które będzie musiał załatwić Herbert Maime, a odkładał te, które mogą zaczekać. Pracował szybko, bez zainteresowania. W czasie gdy przeglądał papiery, Herb w swoim gabinecie zabrał się do pisania pierwszego nieofcjalnego komunikatu, jaki Buckman przekaże opinii publicznej w związku ze śmiercią siostry.

Obaj skończyli niemal jednocześnie i spotkali się w biurze Buckmana, skąd kierował on najważniejszymi operacjami. Usiedli przy wielkim dębowym biurku. Buckman przeczytał pierwszą wersję oświadczenia przygotowanego przez Herba.

— Czy musimy to robić? — zapytał.

— Tak — odparł Herb. — Gdyby nie był pan tak pogrążony w żalu, zrozumiałby pan to od razu. Pańska umiejętność dostrzegania takich rzeczy zapewniła panu stanowisko; bez tego już pięć lat temu zrobiliby pana majorem w jakiejś szkole podofcerskiej.

— A zatem wydaj to oświadczenie — postanowił Buckman. — Zaczekaj. — Ruchem ręki przywołał Herba z powrotem. — Cytujesz koronera. Czy środki masowego przekazu nie wiedzą, że dochodzenie koronera nie mogło zakończyć się tak szybko?

— Właśnie z tego powodu przesunąłem czas śmierci. Podają, że miała miejsce wczoraj.

— Czy to konieczne?

— Nasze oświadczenie musi ukazać się pierwsze, przed ich komunikatem. Oni na pewno nie będą czekać z tym, aż koroner zakończy dochodzenie — odparł Herb z prostotą.

— W porządku — powiedział Buckman. — Wydaj je.

Peggy Beason weszła do biura, niosąc kilka tajnych komunikatów policyjnych i żółte akta.

— Panie Buckman — powiedziała — nie chcę zawracać panu głowy w takiej chwili, ale te…

— Przejrzę je — rzekł Buckman. I to wszystko, powiedział sobie. Potem idę do domu.

— Wiem, że szukał pan tych akt, tak samo jak inspektor McNulty. Dopiero co przyszły z Danpolu, jakieś dziesięć minut temu. — Położyła akta na bibularzu, przed generałem. — Akta Jasona Tavernera.

— Przecież nie ma żadnych akt Jasona Tavernera — zdumiał się Buckman.

— Widocznie ktoś miał je u siebie — odparła Peggy — W każdym

razie przysłali je nam, więc pewnie właśnie dostali je z powrotem. Nie dołączyli żadnego wyjaśnienia, ci z Danpolu po prostu…

— Odejdź i daj mi je przejrzeć — polecił Buckman. Peggy Beason cicho opuściła gabinet, zamykając za sobą drzwi.

— Nie powinienem jej tak traktować — powiedział Buckman do Herba Maime'a.

— To zrozumiałe.

Otworzywszy akta Jasona Tavernera, Buckman zobaczył błyszczącą fotografę. Przyczepiona do niej karteczka głosiła: *Na pamiątkę od Jasona Tavernera, co wtorek o dziewiątej wieczór w NBC.*

— Jezu Chryste — rzekł Buckman. Bogowie, pomyślał, igrają z nami. Obrywają nam skrzydełka.

Herb pochylił się i również spojrzał na akta. Razem patrzyli na błyszczącą odbitkę, bez słów, aż w końcu Herb zaproponował:

— Zobaczmy, co tam jeszcze jest.

Buckman odłożył na bok pocztówkowe zdjęcie z przyczepioną kartką i przeczytał pierwszą stronę akt.

— Ilu widzów? — spytał Herb.

— Trzydzieści milionów — odparł Buckman. Wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

— Peggy — powiedział. — Zadzwoń do tutejszej flii NBC. KNBC czy jakoś tak. Połącz mnie z kimś z zarządu, im wyższe stanowisko, tym lepiej. Powiedz, kto dzwoni.

— Tak, panie Buckman.

Chwilę później na ekranie wideofonu pojawiła się poważna twarz, spokojny głos powiedział:

— Tak, generale? Co możemy dla pana zrobić?

— Czy macie w programie *Jason Tavemer Show?*

— W każdy wtorek, od trzech lat. Punktualnie o dziewiątej wieczorem.

— Puszczacie to od trzech lat?

— Tak jest, generale. Buckman odłożył słuchawkę.

— A zatem, co Taverner robił w Watts, kupując podrobione świadectwa tożsamości?

— zapytał Herb Maime.

— Nie mogliśmy znaleźć nawet jego metryki — mówił Buckman. — Przeszukaliśmy wszystkie istniejące banki danych, wszystkie istniejące wycinki prasowe. Czy oglądałeś kiedyś *Jason Taverner Show,* puszczany przez NBC o dziewiątej w każdy wtorek?

— Nie — odparł ostrożnie Herb, z lekkim wahaniem.

— Nie jesteś pewien?

— Tyle rozmawialiśmy o rym Tavernerze…

— Ja nigdy nie widziałem tego programu — rzekł Buckman — a co wieczór przez dwie godziny, między ósmą a dziesiątą, oglądam

telewizję.

Przeszedł do następnej strony akt; odłożył pierwszą, która spadła na podłogę; podniósł ją Herb.

Druga strona zawierała listę przebojów Jasona Tavernera; podawano tytuł, numer płyty i datę nagrania. Generał patrzył na listę niewidzącym wzrokiem; obejmowała okres dziewiętnastu lat.

— Mówił nam, że jest piosenkarzem. Jeden z jego dokumentów głosił, że należy do związku artystów muzyków, a więc to prawda — powiedział Herb.

— To wszystko prawda — rzucił gniewnie Buckman. Spojrzał na trzecią stronę. Opisywała stan majątkowy Tavernera, źródła i wysokość jego dochodów. — Zarabia o wiele więcej niż ja — stwierdził Buckman — jako generał policji. Więcej niż ty i ja razem wzięci.

— Miał przy sobie sporą sumkę, kiedy go tutaj ściągnęliśmy. Kathy Nelson dał piekielnie dużo forsy. Pamięta pan?

— Tak, Kathy powiedziała o tym McNulty'emu; czytałem w jego raporcie.

Buckman zamyślił się, machinalnie zaginając róg kserokopii. Nagle przestał to robić.

— O co chodzi? — spytał Herb.

— To kserokopia; akt Danpolu nigdy nie wyjmuje się z banku, wysyłają tylko kopie.

— Przecież muszą je wyjąć, żeby skserować.

— Na pięć sekund.

— No, nie wiem — rzekł Herb. — Mnie proszę nie pytać. Nie wiem, jak długo to trwa.

— Na pewno wiesz. Wszyscy wiemy. Milion razy widzieliśmy, jak je kserują. Nic innego nie robią przez cały dzień.

— A zatem pomylił się komputer.

— No dobrze — powiedział Buckman. — On nigdy nie miał żadnych politycznych powiązań, jest zupełnie czysty. Jego szczęście. — Znów zajrzał do akt. — Przez jakiś czas zamieszany w historię z Syndykatem. Nosił broń, ale miał pozwolenie. Przed dwoma laty zaskarżył go do sądu widz, który twierdził, że Tavener w jednym ze skeczy sparodiował jego osobę. Facet nazywa się Artemus Franks i mieszka w Des Moines. Adwokat Tavernera wygrał sprawę. — Czytał fragmenty akt, nie szukając niczego konkretnego; ciągle się dziwił. — Jego najnowsza, czterdziesta piąta płyta: *Nowhere Nuthin' Fuck-up,* rozeszła się w dwóch milionach egzemplarzy. Słyszałeś ją kiedy?

— Nie wiem — odparł Herb.

Buckman przez chwilę mierzył go wzrokiem.

— Ja nigdy jej nie słyszałem. Na tym polega różnica między tobą a mną, Maime. Ty nie jesteś pewien, ja jestem.

— Ma pan rację — przyznał Herb. — Ale teraz naprawdę już nie wiem. Uważam, że to bardzo zagmatwane, ale mamy ważniejsze sprawy: musimy myśleć o Alys i raporcie koronera. Powinniśmy porozmawiać z nim najszybciej, jak to możliwe. Pewnie wciąż jest w domu; zadzwonię do niego i…

— Taverner — przerwał mu Buckman — był z nią w chwili śmierci.

— Tak, wiemy. Chancer mówił o tym. Uznał pan, że to nieistotne. Sądzę jednak, że na wszelki wypadek powinniśmy go tu ściągnąć i pogadać z nim; przekonać się, co ma do powiedzenia.

— Czy Alys mogła znać go wcześniej? — spytał Buckman. Tak, pomyślał, zawsze lubiła szóstaków, szczególnie związanych z przemysłem rozrywkowym, takich jak Heather Hart. Dwa lata temu ona i ta Hart miały romans trwający trzy miesiące… ten związek niemal udało im się zataić przede mną; tak dobrze się kryły. Tylko ten jeden raz Alys zdołała utrzymać język za zębami.

Nagle w aktach Jasona Tavernera znalazł wzmiankę o Heather Hart; przeczytał ją uważnie. Heather Hart mniej więcej przez rok była kochanką Tavernera.

— W końcu — powiedział głośno — oboje są szóstakami.

— Taverner i kto?

— Heather Hart. Ta pieśniarka. Akta są aktualne; mówią, że Heather Hart wystąpiła w tym tygodniu w jego programie jako specjalny gość.

Odłożył akta i zaczął przetrząsać kieszenie płaszcza w poszukiwaniu papierosów.

— Proszę. — Herb podał mu swoją paczkę. Buckman potarł szczękę i powiedział:

— Sprowadźmy tu tę Heather Hart. Razem z Tavernerem.

— Dobrze. — Herb kiwnął głową i zanotował to sobie w nieodłącznym notesie.

— To Jason Taverner — rzekł cicho Buckman, jakby mówił do siebie — zabił Alys. Z zazdrości o Heather Hart. Dowiedział się o ich związku.

Herb Maime zamrugał oczami.

— Czy tak będzie dobrze? — Buckman przez chwilę patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

— W porządku — odparł po pewnym czasie Herb Maime.

— Miał motyw. Sposobność. Świadek: Chancer, który może zeznać, że Taverner wybiegł, zataczając się, i usiłował zdobyć kluczyki od wozu Alys. Kiedy Chancer wszedł do domu, żeby sprawdzić swoje podejrzenia, Taverner zaczął uciekać i zbiegł, chociaż Chancer strzelał mu nad głową, chcąc go zatrzymać.

Herb kiwnął głową w milczeniu.

— To wszystko.

— Chce pan, żebyśmy zgarnęli go natychmiast?

— Najszybciej, jak możecie.

— Zawiadomimy wszystkie posterunki. Wyślemy list gończy. Jeśli nadal jest w Los Angeles, może uda nam się go złapać, sprawdzając EEG z helikoptera — porównując wykresy, tak jak to zaczęli robić w Nowym Jorku. Możemy nawet ściągnąć stamtąd jeden śmigłowiec.

— Świetnie — rzekł Buckman.

— Czy powiemy, że Taverner brał udział w jej orgiach?

— Nie było żadnych orgii.

— Holbein i jego ludzie będą…

— Niech to udowodnią — powiedział Buckman. — Tu, przed kalifornijskim sądem, gdzie sprawa podlega naszej jurysdykcji.

— Dlaczego Taverner? — zapytał Herb.

— To musi być ktoś — odparł Buckman, na pół do siebie; splótł dłonie i położył je na wielkim, antycznym, dębowym biurku. Kurczowo, z całej siły, zaciskał palce. — To zawsze, zawsze — dodał — musi być ktoś. A Tavemer jest kimś ważnym. Takich lubiła. Właśnie dlatego tam był; uwielbiała zadawać się z osobistościami. Poza tym — zerknął na Herba — dlaczego nie?

Tak, pomyślał, dlaczego nie? Nadal coraz mocniej i mocniej splatał palce oparte na biurku.

26

Idąc ulicą i oddalając się od mieszkania Mary Anne, Jason Taverner mówił sobie: Dzięki Bogu szczęście znów mi sprzyja. Odzyskałem wszystko, co utraciłem. Bogu dzięki! Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na całym pieprzonym świecie, pomyślał. To najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Doceniamy coś dopiero wtedy, kiedy to stracimy, gdy już tego nie mamy. No cóż, straciłem to na dwa dni, a teraz mam z powrotem i doceniam.

Niosąc pudełko z wazą zrobioną przez Mary Anne, pospieszył ulicą i zatrzymał mijającą go taksówkę.

— Dokąd, mister? — spytała taksówka, otwierając drzwi. Dysząc z wysiłku, wsiadł do środka i własnoręcznie zamknął drzwi.

— Norden Lane 803 — powiedział — Beverly Hills. — Adres Heather Hart. W końcu wróci do niej, i to taki, jakim był naprawdę, nie jakim wyobrażała go sobie przez te okropne dwa dni.

Taksówka wystrzeliła w niebo, a Jason z zadowoleniem rozparł się w fotelu, odczuwając jeszcze większe zmęczenie niż w mieszkaniu Mary Anne. Tyle się wydarzyło. Co z Alys Buckman? — zastanawiał się. Czy powinienem ponownie spróbować skontaktować się z generałem Buckmanem? Przecież on już na pewno wie, a ja powinienem trzymać się od tego z daleka. Gwiazda telewizji i piosenki nie powinna mieszać się w takie ponure afery, myślał. Prasa brukowa potraf wycisnąć z takich historii wszystko.

Jestem jednak coś jej winien, pomyślał. Uwolniła mnie od elektronicznych urządzeń, jakie policja podrzuciła mi, zanim opuściłem budynek Akademii. Teraz nie będą mnie już szukać. Znów mam swoje dokumenty; jestem znany na całej planecie. Trzydzieści milionów widzów może zaświadczyć o moim fzycznym i prawnym istnieniu. Już nigdy nie będę musiał obawiać się wyrywkowej kontroli, powiedział sobie i zamknął oczy, zapadając w drzemkę.

— Jesteśmy na miejscu, sir — oznajmiła nagle taksówka. Otworzył oczy i usiadł. Już?

Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył budynek, w którym Heather wynajmowała apartament wykorzystywany podczas jej pobytów na Zachodnim Wybrzeżu.

— Ach tak — powiedział, wyciągając z płaszcza zwitek banknotów. — Dzięki.

Zapłacił taksówce, która otworzyła przed nim drzwi. Znów był w dobrym humorze; zapytał:

— A gdybym nie zapłacił, otworzyłabyś drzwi? Taksówka nie odpowiedziała. Nie została zaprogramowana na takie pytanie. Ale co go to, do diabła, obchodzi? Przecież ma pieniądze.

Szedł chodnikiem, a potem dróżką wyłożoną drewnem sekwojowym do głównego holu ekskluzywnego dziesięciopiętrowego budynku. Dom unosił się kilka stóp nad ziemią na strumieniach sprężonego powietrza; dzięki temu jego mieszkańcy mieli wrażenie nieustannego kołysania, jakby znajdowali się na łonie gigantycznej matki. Zawsze to lubił. Na Wschodzie to się nie przyjęło, ale tutaj, na Wybrzeżu, było kosztowną modą.

Przycisnąwszy guzik z numerem jej apartamentu, stał trzymając tekturowe pudło z wazą na czubkach palców podniesionej ręki. Lepiej nie, doszedł do wniosku, mogę ją upuścić i stłuc jak tamtą. Ale przecież już nie trzęsą mi się ręce. Dam tę przeklętą wazę Heather, postanowił. Będzie to prezent, jaki wybrałem dla niej, ponieważ rozumiem jej konsumpcyjne upodobania.

Ekran rozjaśnił się; pojawiła się na nim kobieca twarz, spoglądająca na Jasona. To Susie, pokojówka Heather.

— Och, pan Taverner — powiedziała Susie i natychmiast zwolniła zatrzask drzwi, zabezpieczonych wymyślnym systemem bezpieczeństwa. — Proszę wejść. Heather niema, ale…

— Zaczekam — rzekł Jason. Przeszedł przez hol do windy, wcisnął guzik i czekał.

Chwilę później Susie otwierała drzwi do apartamentu Heather. Ciemnoskóra, śliczna i drobna dziewczyna powitała go, jak zwykle, ciepło i przyjaźnie.

— Cześć — powiedział Jason i wszedł.

— Jak już panu mówiłam — informowała Susie — Heather jest na zakupach, ale powinna wrócić około ósmej. Dzisiaj ma sporo wolnego czasu i mówiła mi, że chce go jak najlepiej wykorzystać, ponieważ w drugiej połowie tygodnia ma tę dużą sesję nagraniową z RCA.

— Nie spieszy mi się — rzekł wesoło. Wszedł do bawialni i umieścił pudełko na stoliku do herbaty, na samym środku, gdzie na pewno zauważy je Heather. — Posłucham kwadro, jeśli można.

— Przecież zawsze pan słucha — odparła Susie. — Ja też muszę wyjść; mam wizytę u dentysty o czwartej piętnaście, a to na samym końcu Hollywood.

Objął ją ramieniem i ścisnął twardą prawą pierś.

— Jesteśmy dziś napaleni — powiedziała zadowolona Susie.

— To skorzystajmy z tego.

— Jest pan dla mnie za duży — wymówiła się Susie i odeszła zająć się tym, co robiła, kiedy zadzwonił.

Przejrzał stertę niedawno słuchanych płyt leżących na adapterze. Żadna z nich mu się nie spodobała, więc pochylił się i przejrzał całą kolekcję. Wybrał kilka albumów Heather i parę swoich. Włożył płyty do zmieniacza i uruchomił adapter. Ramię opadło i dźwięki jego ulubionej płyty, *The Heart of Hart,* rozbrzmiały i odbiły się echem w

wielkiej bawialni, której draperie wspaniale wzmacniały naturalne tony kwadrofonii, tu i ówdzie zręcznie podczyszczone.

Położył się na kanapie, zdjął buty i wyciągnął się wygodnie.

Zrobiła cholernie dobrą robotę przy tym nagraniu, powiedział do siebie, prawie na głos. Nigdy w życiu nie byłem tak wyczerpany, uświadomił sobie nagle. To przez tę meskalinę. Mógłbym spać przez tydzień. Może tak zrobię. Przy śpiewie Heather i moim. Dlaczego nigdy nie nagraliśmy wspólnej płyty? Dobry pomysł. Sprzedałby się. Dobrze. Zamknął oczy. Podwojenie sprzedaży, a Al mógłby załatwić nam promocję RCA. Tyle że mam kontrakt z Reprise. No nic, nad tym można popracować. Trzeba popracować. Nad wszystkim. Jednak, pomyślał, warto.

— A teraz zaśpiewa Jason Taverner — powiedział z zamkniętymi oczami.

Automat opuścił następną płytę. Już? — zdziwił się Jason. Usiadł i spojrzał na zegarek. Przespał *The Heart oj Hart,* ledwie ją słysząc. Położył się ponownie, zamknął oczy. Zasnąć, pomyślał, przy wtórze własnego głosu. Słyszał swój głos wszędzie wokół, wzbogacony dwuścieżkowym akompaniamentem gitar oraz instrumentów smyczkowych.

Ciemność. Usiadł i otworzył oczy; wiedział, że minęło mnóstwo czasu.

Cisza. Zmieniacz odtworzył wszystkie płyty, kilkugodzinną porcję. Która godzina?

Macając ręką, odkrył znajomy kształt lampy, znalazł włącznik i wcisnął go.

Zegarek pokazywał dziesiątą trzydzieści. Zimno i głodno. Gdzie Heather? — zastanawiał się, wkładając buty. Mam zziębnięte nogi i pusto w brzuchu. Może…

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie. Stanęła w nich Heather w płaszczyku a la cherubin; w ręku trzymała egzemplarz „Los Angeles Times". Jej twarz, szara i ściągnięta, wyglądała jak pośmiertna maska.

— Co się stało? — spytał przerażony.

Heather podeszła i bez słowa podała mu gazetę.

Wziął ją w milczeniu. Przeczytał:

SŁYNNY PIOSENKARZ POSZUKIWANY W ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIĄ SIOSTRY GENERAŁA POLICJI.

— Czy zabiłeś Alys Buckman? — warknęła Heather.

— Nie — odparł, czytając artykuł.

Popularny piosenkarz, Jason Taverner, gwiazda własnego godzinnego

programu telewizyjnego, zdaniem Wydziału Policji Los Angeles jest zamieszany w morderstwo, które eksperci policyjni uważają za starannie zaplanowaną zemstę — oznajmiła dziś Akademia Policyjna. Czterdziestodwuletni Taverner jest poszukiwany zarówno przez…

Przestał czytać i z wściekłością zmiął gazetę w rękach.

— Kurwa — rzekł. Wciągnął powietrze w płuca i gwałtownie zadrżał.

— Tu określają jej wiek na trzydzieści dwa lata — powiedziała Heather. — Wiem na pewno, że ma — miała — trzydzieści cztery.

— Widziałem to — przyznał Jason. — Byłem w tym domu.

— Nie wiedziałam, że ją znasz.

— Właśnie ją poznałem. Dzisiaj.

— Dzisiaj? Dopiero dzisiaj? Nie wierzę.

— To prawda. Generał Buckman przesłuchiwał mnie w budynku Akademii, a ona zaczepiła mnie, kiedy stamtąd wychodziłem. Podrzucili mi kilka elektronicznych urządzeń śledzących, włącznie z…

— Robią to tylko studentom — wtrąciła Heather.

— …i Alys uwolniła mnie od nich — dokończył. — Potem zaprosiła mnie do domu.

— I umarła.

— Tak — skinął głową. — Widziałem jej zwłoki w postaci pożółkłego szkieletu, przestraszyłem się; masz cholerną rację, że się przestraszyłem. Uciekłem stamtąd najszybciej, jak mogłem. Postąpiłabyś inaczej?

— Dlaczego widziałeś ją jako szkielet? Zażyłeś podwójną dawkę prochów? Ona zawsze tak robiła, więc ty pewnie też.

— Meskalina — rzekł Jason. — Tak mi powiedziała, ale myślę, że to było coś innego.

Chciałbym wiedzieć, co to było, powiedział sobie w duchu; strach nadal ściskał mu serce. Czy właśnie to wywoływało halucynacje, z widokiem szkieletu włącznie? Czy ja żyję tutaj, czy w tamtym zapchlonym pokoju hotelowym? Wielki Boże, pomyślał, co mam teraz robić?

— Lepiej oddaj się w ręce policji — poradziła Heather.

— Nie mogą zwalić tego na mnie — rzekł. Zdawał sobie jednak sprawę, że jest inaczej. Przez ostatnie dwa dni dowiedział się wielu rzeczy o policji rządzącej tym społeczeństwem. Dziedzictwo Drugiej Wojny Domowej, pomyślał. Ze świni gliniarz. Jeden szybki skok.

— Jeśli tego nie zrobiłeś, nie oskarżą cię. Gliny grają uczciwie. Nie tak jak gwardziści.

Rozprostował gazetę i przeczytał następny fragment tekstu:

…prawdopodobnie przedawkowanie toksycznej substancji podanej przez Tavernera pannie Buckman, gdy była pogrążona we śnie, lub…

— Podają tu, że śmierć nastąpiła wczoraj — powiedziała

Heather. — Gdzie byłeś wczoraj? Dzwoniłam do ciebie i nikt nie odbierał telefonu. Dopiero co mówiłeś, że…

— To nie było wczoraj, ale dziś rano.

Wszystko stało się nierzeczywiste; miał wrażenie, że jego pozbawione ciężaru ciało unosi się wraz z tym mieszkaniem w bezkresnym morzu zapomnienia.

— Przesunęli czas śmierci. Gościłem kiedyś w moim programie eksperta policyjnego, który powiedział mi, jak…

— Zamknij się! — zgasiła go ostro Heather. Przestał mówić. Bezradnie stał, czekając.

— W tym artykule jest też coś o mnie — wycedziła Heather przez zaciśnięte zęby. — Popatrz na ostatnią stronę.

Posłusznie spojrzał na ostatnią stronę, gdzie umieszczono zakończenie artykułu:

…hipoteza wysuwana przez ekspertów policyjnych zakłada, Że związek łączący Heather Hart, również znaną piosenkarkę i gwiazdę TV, z panną Buckman był motorem zemsty Tavernera, który…

— Co łączyło cię z Alys? — zapytał Jason. — Znałem ją…

— Mówiłeś, że jej nie znałeś. Powiedziałeś, że poznałeś ją dopiero dziś.

— Była niesamowita. Naprawdę myślę, że była lesbijką. Czy łączyły was stosunki seksualne? — Słyszał, że podnosi głos; nie potrafł nad tym zapanować. — Właśnie to sugeruje ten artykuł. Może nie?

Twarz zapiekła go od silnego uderzenia; odruchowo cofnął się o krok, unosząc ręce w obronnym geście. Uświadomił sobie, że jeszcze nikt go tak nie spoliczkował. Bolało jak diabli. Zadzwoniło mu w uszach.

— W porządku — wydyszała Heather. — Oddaj mi. Cofnął ramię, zacisnął pięść, ale szybko opuścił rękę i rozluźnił palce.

— Nie mogę — powiedział. — Chociaż chciałbym. Masz szczęście.

— Pewnie tak. Skoro ją zabiłeś, mógłbyś zabić i mnie. Co masz do stracenia? I tak pójdziesz do komory gazowej.

— Nie wierzysz mi — rzekł Jason. — Nie wierzysz, że tego nie zrobiłem.

— To nie ma znaczenia. Oni uważają, że to zrobiłeś. Nawet jeśli się wykręcisz, oznacza to koniec twojej przeklętej kariery i przy okazji mojej również. Jesteśmy skończeni, rozumiesz? Czy pojmujesz, co narobiłeś?

Zaczęła na niego krzyczeć; przestraszony, zrobił krok w jej kierunku, ale kiedy jej krzyk się nasilił, cofnął się. Był zmieszany.

— Jeśli porozmawiam z generałem Buckmanem — powiedział — może on będzie mógł…

— Jej brat? Masz zamiar prosić go o pomoc? — Heather ruszyła na niego, nastawiając palce jak szpony. — On kieruje komisją

prowadzącą dochodzenie. Gdy tylko koroner oświadczył, że to było morderstwo, generał Buckman ogłosił, że osobiście poprowadzi śledztwo. Czy nie możesz przeczytać artykułu do końca? Ja w drodze tutaj przeczytałam go z dziesięć razy; kupiłam gazetę w Bel Aire, gdzie odbierałam nową woalkę, którą sprowadzali dla mnie z Belgii. W końcu przyszła. Jakie to ma teraz znaczenie?

Wyciągnął ręce, usiłując ją objąć. Odsunęła się.

— Nie mam zamiaru oddawać się w ich ręce — oznajmił.

— Rób, co chcesz. — Jej głos osłabł do zgnębionego szeptu. — Nie dbam o to. Tylko idź sobie. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Wolałabym, żebyście oboje padli trupem, ty i ona. Ta koścista wiedźma — miałam z nią same kłopoty. W końcu musiałam ją wyrzucić za drzwi; przyczepiła się do mnie jak pijawka.

— Była dobra w łóżku? — zapytał i cofnął się, gdy Heather błyskawicznie podniosła rękę, jakby chciała wydrapać mu oczy. Przez chwilę oboje nie odzywali się słowem. Stali blisko siebie. Jason słyszał jej oddech i swój. Gwałtowne, głośne zawirowania powietrza. Wdech i wydech, wdech i wydech. Zamknął oczy.

— Rób, co chcesz — oświadczyła w końcu Heather. — Ja oddaję się w ręce policji.

— Ciebie też szukają? — spytał.

— Nie możesz doczytać artykułu? Nie możesz zrobić chociaż tego? Potrzebne im moje zeznanie. Co, moim zdaniem, czułeś w związku z moim romansem z Alys. Chryste, przecież powszechnie wiadomo, że ty i ja sypialiśmy ze sobą.

— Nie wiedziałem o waszym romansie.

— Powiem im to. Kiedy… — zawahała się, a potem dokończyła: — kiedy się dowiedziałeś?

— Właśnie teraz — odparł. — Z tej gazety.

— Nie wiedziałeś o tym wczoraj, kiedy została zabita?

Słysząc to, dał spokój; to beznadziejne, powiedział sobie. Jakbyś mieszkał w świecie zrobionym z gumy. Wszystko się odbija. Zmienia kształt pod lada dotknięciem, a nawet spojrzeniem.

— A więc dzisiaj — powiedziała Heather. — Jeśli tak uważasz. Przecież kto jak kto, ale ty musisz to wiedzieć.

— Do widzenia — rzekł. Usiadł, odnalazł swoje buty pod kanapą, włożył je, zawiązał sznurowadła i wstał. Wziął pudełko ze stolika. — To dla ciebie — oznajmił i rzucił je Heather. Próbowała je złapać, ale odbiło się od jej piersi i upadło na podłogę.

— Co to takiego? — spytała.

— Zdążyłem już zapomnieć — odparł. Klęknąwszy, Heather podniosła pudełko, otworzyła je i wyjęła zmięte gazety oraz błękitną wazę. Naczynie nie zbiło się.

— Och — szepnęła cicho. Wstała i obejrzała wazę, przysuwając

do światła. — Jest niewiarygodnie piękna. Dziękuję.

— Nie zabiłem tej kobiety — rzekł Jason.

Heather odeszła od niego i postawiła wazę na wysokiej półce z drobiazgami. Nic nie powiedziała.

— Co mogę zrobić… oprócz tego, że odejdę? — Czekał, lecz ona nadal się nie odzywała. — Nie umiesz mówić?

— Zadzwoń do nich — rzekła Heather — i powiedz, że tu jesteś.

Podniósł słuchawkę, wykręcił numer centrali.

— Chcę zamówić rozmowę z Akademią Policyjną Los Angeles — powiedział telefonistce. — Z generałem Felixem Buckmanem. Powiedzcie mu, że dzwoni Jason Taverner.

Telefonistka milczała.

— Halo?

— Może pan połączyć się bezpośrednio, sir.

— Chcę, żeby pani to zrobiła.

— Sir, przecież…

— Proszę — nalegał Jason.

27

Phil Westerburg, naczelny koroner Akademii Policyjnej Los Angeles, mówił do swojego zwierzchnika, generała Felixa Buckmana:

— Zaraz wyjaśnię panu działanie tego narkotyku. Nie słyszał pan o nim, ponieważ nie jest jeszcze stosowany; musiała zwinąć go z tajnego laboratorium policyjnego. — Na kartce papieru rysował jakiś wykres. — Związki czasowe są determinowane przez mózg. To powiązanie percepcji oraz orientacji.

— Dlaczego to ją zabiło? — zapytał Buckman. Było późno i bolała go głowa. Chciał, żeby ten dzień już się skończył, żeby odeszli wszyscy i wszystko. — Przedawkowanie?

— Na razie w żaden sposób nie możemy określić śmiertelnej dawki KR-3. Obecnie testujemy ten związek na ochotnikach z obozu pracy w San Bernardino, ale dotychczas… — Westerburg nadal rysował. — W każdym razie, jak już mówiłem, związki czasowe są determinowane przez mózg, co zachodzi, dopóki mózg odbiera sygnały. Obecnie wiemy, że mózg nie może funkcjonować, jeśli równocześnie nie ma poczucia przestrzeni… ale jeszcze nie wiemy, dlaczego tak jest. Zapewne polega to na instynktownej stabilizacji rzeczywistości w taki sposób, że poszczególne jej sekwencje zostają uporządkowane na zasadzie przedtem-i-potem, będąc umiejscowione w czasie i — co ważniejsze — w przestrzeni, tak jak trójwymiarowy obiekt przedstawiony w postaci rysunku.

Pokazał Buckmanowi swój szkic. Rysunek nic mu nie mówił; patrzył nań pustym wzrokiem, zastanawiając się, gdzie — o tak późnej porze — mógłby dostać tabletkę dar-wonu na ból głowy. Może Alys coś miała? Zgromadziła tyle proszków.

— No więc, jedną z cech przestrzeni jest to, że każda jej jednostka wyklucza wszystkie inne — mówił dalej Westerburg. — Jeżeli coś jest tutaj, nie może być tam. Tak samo z czasem: jeśli coś zdarzyło się przedtem, nie może jednocześnie zdarzyć się potem.

— Czy to nie może zaczekać do jutra? — zapytał Buckman. — Sam pan powiedział, że dopiero za dwadzieścia cztery godziny może pan złożyć raport o rodzaju trucizny. Dwadzieścia cztery godziny to dla mnie zadowalający termin.

— Przecież życzył pan sobie, żeby przyspieszyć analizy — rzekł Westerburg. — Chciał pan, żeby natychmiast przystąpiono do sekcji, o drugiej dwadzieścia, kiedy ofcjalnie mnie wezwano.

— Rzeczywiście? — zapytał Buckman. Istotnie, pomyślał, tak mówiłem. Zanim marszałkowie ogłoszą swoją wersję. — Tylko niech mi pan niczego nie rysuje — dodał. — Bolą mnie oczy. Niech mi pan opowie.

— Wyjątkowość przestrzeni, jak dowiedzieliśmy się, jest tylko funkcją mózgu i jego percepcji. On sortuje dane według wzajemnie wykluczających się jednostek przestrzeni. Są ich miliony, a nawet, teoretycznie, miliardy. Sama w sobie przestrzeń nie jest jednak wyjątkowa. Faktycznie, sama w sobie, przestrzeń wcale nie istnieje.

— Co to oznacza?

Westerburg, powstrzymując chęć zilustrowania słów rysunkiem, odparł:

— Narkotyk taki jak KR-3 znosi umiejętność oddzielania jednej jednostki czasu od drugiej. W ten sposób mózg zatraca zdolność odróżniania „tu" od „tam", kiedy próbuje poradzić sobie z percepcją. Nie jest w stanie stwierdzić, czy dany obiekt zniknął, czy nadal tam jest. W wyniku tego mózg nie potraf już różnicować poszczególnych wektorów przestrzennych. Dopuszcza istnienie szeregu wariantów. Nie jest w stanie stwierdzić, które przedmioty istnieją, a które są jedynie dawnymi projekcjami przestrzennymi. W rezultacie otwierają się konkurencyjne korytarze przestrzenne, w które wchodzi zakłócony układ percepcji, i mózgowi wydaje się, że właśnie powstaje cały nowy wszechświat.

— Rozumiem — powiedział Buckman. W rzeczywistości nie rozumiał i nie dbał o to. Chcę tylko iść do domu, myślał, i zapomnieć o tym.

— To bardzo ważne — rzekł z przekonaniem Westerburg. — KR-3 jest przełomowym osiągnięciem. Człowiek pod jego wpływem doświadcza istnienia nierealnych wszechświatów, czy tego pragnie, czy nie. Jak powiedziałem, miliardy teoretycznych wariantów nagle stają się rzeczywistością; wkracza przypadek i układ percepcyjny człowieka wybiera jedną z wielu możliwości. Musi wybrać, ponieważ w przeciwnym razie konkurencyjne wszechświaty nałożyłyby się i zniknęłoby samo pojęcie przestrzeni. Nadąża pan?

— On chce powiedzieć, że umysł chwyta się pierwszego lepszego wszechświata — odezwał się Herb Maime, siedzący nieco z boku, za biurkiem.

— Tak — potwierdził Westerburg. — Czytał pan tajny raport o KR-3, prawda, panie Maime?

— Przeczytałem go zaledwie godzinę temu — odpowiedział Herb Maime. — Większości szczegółów technicznych nie byłem w stanie zrozumieć, ale zauważyłem, że skutki zażycia narkotyku są przejściowe. Mózg w końcu ponownie nawiązuje kontakt z tymi obiektami czasoprzestrzeni, które postrzegał uprzednio.

— Zgadza się — rzekł Westerburg, kiwając głową. — Ale podczas gdy preparat działa, obiekt egzystuje, a raczej myśli, że egzystuje w…

— Nie ma żadnej różnicy — przerwał mu Herb — między tymi dwoma stanami. W ten sposób działa ten środek, znosi zdolność

rozróżniania.

— Technicznie rzecz biorąc — tak. Obiekt uważa jednak, że otacza go zmienione środowisko, różne od tego, jakie dotychczas znał, a zatem postępuje tak, jakby znalazł się w innym świecie, w zupełnie innej rzeczywistości… zmienionej w stopniu zależnym od tego, jak duża jest ta, umownie mówiąc, „odległość" między uprzednio znanym mu światem czasoprzestrzennym a tym, w jakim jest zmuszony funkcjonować.

— Idę do domu — oznajmił Buckman. — Dłużej już tego nie zniosę.

Wstał.

— Dziękuję, Westerburg — powiedział, odruchowo wyciągając rękę do naczelnego koronera. Uścisnęli sobie ręce. — Przygotuj mi wyciąg — polecił Herbowi Maime'owi — to przeczytam go rano.

Ruszył do wyjścia, niosąc szary prochowiec przerzucony przez ramię. Zawsze go tak nosił.

— Czy teraz pan rozumie, co przydarzyło się Jasonowi Tavernerowi?

— Nie — odparł Buckman, przystanąwszy.

— Przeszedł do wszechświata, w którym nie istniał. My przeszliśmy razem z nim jako obiekty jego układu percepcji. Potem, kiedy narkotyk przestał działać, znowu powrócił. Naprawdę zatrzymało go tutaj nie to, co zażył lub czego nie zażył, lecz jej śmierć. Wtedy, oczywiście, otrzymaliśmy jego akta z Danpolu.

— Dobranoc — powiedział Buckman. Opuścił biuro, przeszedł przez wielką cichą salę pełną pustych metalowych biurek, podobnych do siebie, uporządkowanych pod koniec dnia, z biurkiem McNulty'ego włącznie. Wreszcie znalazł się w szybie wyjściowym i wjechał na dach.

Od nocnego powietrza, chłodnego i rześkiego, głowa rozbolała go jeszcze bardziej; zamknął oczy i zacisnął zęby. Mógłbym wziąć jakiś środek przeciwbólowy od Phila Westerburga, pomyślał. W wydziałowej aptece jest pewnie pięćdziesiąt różnych lekarstw, Westerburg ma do niej klucze.

Przesiadł się do szybu zjazdowego i wrócił na czternaste piętro, do swoich biur, gdzie Westerburg i Maime nadal siedzieli i dyskutowali.

— Chcę wyjaśnić jedną rzecz, o której mówiłem. O tym, że jesteśmy obiektami jego układu percepcji — powiedział Herb do Buckmana.

— Nie jesteśmy — rzekł Buckman.

— I tak, i nie — powiedział Herb. — To nie Taverner zażył KR-3, lecz Alys. Taverner, tak jak i my, stał się częścią układu percepcji pańskiej siostry i został przez nią pociągnięty, kiedy zmienił się jej

system współrzędnych. Widocznie był dla niej bardzo ważny jako podziwiany artysta i od dawna fantazjowała, że poznaje go naprawdę. Chociaż dokonała tego, zażywając narkotyk, zarówno on, jak i my, pozostaliśmy jednocześnie w naszym własnym wszechświecie. Zajmowaliśmy dwa korytarze przestrzeni na raz — jeden realny, drugi nie. Jednym była bieżąca rzeczywistość, drugim jedna z wielu możliwości, wykreowana czasowo przez KR-3, lecz tylko czasowo, mniej więcej na dwa dni.

— Co wystarczy — wtrącił się Westerburg — aby znacznie uszkodzić tkankę mózgową. Mózg pańskiej siostry, panie Buckman, prawdopodobnie nie został zniszczony przez toksyczne działanie preparatu, ale na skutek utrzymującego się przeciążenia. Zapewne stwierdzimy, iż bezpośrednią przyczyną jej śmierci były nieodwracalne zmiany w korze mózgowej, przyspieszony rozpad neurologiczny… można powiedzieć, że jej mózg osiągnął wiek starczy w ciągu dwóch dni.

— Czy mógłby mi pan dać tabletkę darwonu?

— Apteka jest zamknięta — odparł Westerburg.

— Ale pan ma klucze.

— Nie wolno mi ich używać, kiedy nie ma farmaceuty.

— Proszę zrobić wyjątek — polecił ostro Herb. — Tym razem. Westerburg odszedł, szukając po drodze właściwego klucza.

— Gdyby farmaceuta był obecny — rzekł po dłuższej chwili Buckman — nie potrzebowałby klucza.

— Całą tą planetą — oświadczył Herb — rządzą biurokraci. — Przyjrzał się Buckmanowi. — Jesteś zbyt chory, żeby to znosić. Kiedy przyniesie darwon, idź do domu.

— Nie jestem chory — odparł generał. — Po prostu nie czuję się dobrze.

— Ale nie siedź tutaj. Ja to dokończę. Wychodzisz, a za chwilę wracasz.

— Jestem jak zwierzę — rzekł Buckman. — Jak szczur w labiryncie.

Zadzwonił telefon na jego wielkim dębowym biurku.

— Czy to może być któryś z marszałków? — zapytał Buckman. — Nie mogę dzisiaj z nimi rozmawiać; to musi zaczekać.

Herb odebrał telefon. Posłuchał. Zakrywszy dłonią słuchawkę, oznajmił:

— To Tavemer. Jason Taverner.

— Porozmawiam z nim. — Buckman wziął słuchawkę od Herba Maime'a i powiedział: — Halo, Taverner. Już późno.

Usłyszał metaliczny głos Tavernera.

— Chcę się oddać w ręce policji. Jestem w apartamencie Heather Hart. Czekamy tu razem.

— Chce się oddać w nasze ręce — powiedział Buckman do Herba Maime'a.

— Powiedz mu, żeby tu przyszedł.

— Przyjdź tutaj — rzekł Buckman do telefonu. — Dlaczego chcesz się poddać? W końcu byśmy cię zabili, ty nędzny popieprzony morderco, dobrze o tym wiesz. Dlaczego nie uciekasz?

— Dokąd? — jęknął Taverner.

— Do jakiegoś kampusu. Wybierz Columbia University. Mają ustabilizowaną sytuację; na jakiś czas starczy im żywności i wody.

— Nie chcę już być zwierzyną łowną — odparł Taverner.

— Żyć, to być zwierzyną łowną — warknął Buckman. — W porządku, Taverner. Przyjdź tu, a ja cię aresztuję. Przyprowadź z sobą tę Hart, żeby złożyła zeznanie.

Ty przeklęty głupcze, pomyślał, poddajesz się.

— Urwiemy ci jaja, ty głupi skurwielu — dorzucił drżącym głosem.

— Chcę się oczyścić z zarzutów. — Głos Tavernera dźwięczał metalicznie w uchu Buckmana.

— Kiedy się tutaj zjawisz — rzekł Buckman — zastrzelę cię osobiście, ty degeneracie. Za stawianie oporu podczas aresztowania albo za cokolwiek, co przyjdzie nam do głowy. Cokolwiek.

Rozłączył się.

— Przyleci tu, żeby dać się zabić — powiedział do Herba Maime'a.

— Ty go wybrałeś. Możesz z niego zrezygnować, jeśli chcesz. Oczyścić, odesłać z powrotem do jego nagrań i głupiego programu telewizyjnego.

— Nie. — Buckman potrząsnął głową. Nadszedł Westerburg z dwoma różowymi kapsułkami i tekturowym kubkiem.

— Darwon — oznajmił, dając kapsułki Buckmanowi.

— Dziękuję. — Generał połknął lekarstwo, popił wodą, zgniótł kubek i wrzucił do niszczarki. Zęby niszczarki obróciły się bezgłośnie i znieruchomiały. Cisza.

— Proszę iść do domu — powiedział Herb. — Albo jeszcze lepiej, niech się pan zatrzyma na noc w motelu, dobrym motelu w centrum miasta, i pośpi długo. Ja zajmę się marszałkami, kiedy zadzwonią.

— Muszę spotkać się z Tavernerem.

— Nie, nie musi pan. Ja go aresztuję albo dyżurny sierżant. Jak zwykłego kryminalistę.

— Herb — powiedział Buckman. — Zamierzam zabić tego faceta, tak jak powiedziałem.

Podszedł do biurka, otworzył dolną szufadę, wyjął pudełko z cedrowego drzewa i postawił na blacie. Otworzył je i wyjął jednostrzałowy pistolet Derringera, kaliber dwadzieścia dwa.

Załadował go nabojem z wydrążonym czubkiem i odbezpieczył, kierując lufę w suft ze względów bezpieczeństwa. Nawyk.

— Proszę mi go pokazać — powiedział Herb. Buckman podał mu broń.

— Wyprodukowany przez Colta — rzekł. — Colt przejął znak handlowy i patent, nie pamiętam kiedy.

— Ładna broń — ocenił Herb, ważąc ją w dłoni. — Świetny pistolet.

Oddał go generałowi.

— Pocisk dwadzieścia dwa będzie jednak za mały. Musi pan trafć go prosto między oczy. Powinien stać dokładnie naprzeciw pana. — Położył dłoń na ramieniu Buckmana. — Proszę użyć trzydziestki ósemki albo czterdziestki piątki, dobrze? Zrobi pan to?

— Wiesz, czyja to broń? — spytał Buckman. — Alys. Trzymała ją tutaj, bo mówiła, że w domu mogłaby jej użyć przeciw mnie w trakcie kłótni albo późną nocą, kiedy była przygnębiona. Ale to nie jest kobieca broń. Derringer robił broń dla kobiet, ale ten pistolet do niej nie należy.

— Pan go jej kupił?

— Nie. Znalazła go w lombardzie, gdzieś w Watts. Dała za niego dwadzieścia pięć papierów. Niezła cena, zważywszy na stan broni.

Podniósł wzrok na Herba.

— Naprawdę musimy go zabić. Marszałkowie ukrzyżują mnie, jeśli nie zrzucę winy na niego, a ja muszę mieć wpływ na politykę.

— Zajmę się tym.

— Dobrze — kiwnął głową Buckman. — Pójdę do domu. Umieścił pistolet z powrotem w pudełku, na wyściółce z czerwonego aksamitu, zamknął wieko, ponownie je otworzył i wyjął nabój z komory. Herb Maime i Phil Westerburg obserwowali go.

— W tym modelu lufa łamie się na bok — objaśnił. — To niezwykłe.

— Lepiej niech pan weźmie wóz służbowy — poradził Herb. — W tym stanie i po tym, co się stało, nie może pan prowadzić.

— Mogę — rzekł Buckman. — Zawsze mogę prowadzić. Czego nie mogę zrobić, to zabić stojącego przede mną człowieka kulą kaliber dwadzieścia dwa. Ktoś musi to zrobić za mnie.

— Dobranoc — powiedział cicho Herb.

— Dobranoc.

Buckman zostawił ich, przeszedł przez opustoszałe biura i sale Akademii ponownie do szybu wyjściowego. Darwon już zaczął łagodzić ból głowy; Buckman był za to wdzięczny losowi. Nareszcie mogę odetchnąć nocnym powietrzem, pomyślał, nie cierpiąc przy tym.

Drzwi szybu otworzyły się. Stanął w nich Jason Taverner, a przy nim jakaś atrakcyjna kobieta. Oboje byli bladzi i przestraszeni. Dwoje

wysokich, przystojnych, wystraszonych ludzi. Oczywiście szóstacy. Przegrani szóstacy.

— Jest pan aresztowany — oznajmił Buckman. — Oto pańskie prawa. Cokolwiek pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. Ma pan prawo do adwokata, a jeśli nie stać pana na prawnika, otrzyma pan obrońcę z urzędu. Ma pan prawo stanąć przed sądem lub też zrezygnować z tego prawa i zostać osądzonym przez sędziego wyznaczonego przez Akademię Policyjną Miasta i Okręgu Los Angeles. Czy rozumie pan, co powiedziałem?

— Przyszedłem tu oczyścić się z zarzutów — rzekł Jason Taverner.

— Mój personel weźmie w depozyt pańskie rzeczy — mówił Buckman. — Pójdzie pan do tych pomalowanych na niebiesko biur, w których był pan przedtem. — Wskazał ręką. — Widzi go pan? Tego człowieka w jednorzędowym garniturze i w żółtym krawacie?

— Czy mogę oczyścić się z zarzutów? — spytał Jason Taverner. — Przyznaję, że byłem w domu w chwili jej śmierci, ale nie miałem z tym nic wspólnego. Wszedłem na górę i znalazłem ją w łazience. Poszła po torazynę dla mnie, aby złagodzić działanie meskaliny, którą mi podała.

— Zobaczył ją jako szkielet — powiedziała kobieta, zapewne Heather Hart. — Przez meskalinę. Czy nie może obronić się tym, że był pod wpływem silnego środka halucynogennego? Czy to nie jest okoliczność łagodząca? Nie panował nad tym, co robi, a ja nie miałam z tym nic wspólnego. Nawet nie wiedziałam, że ona nie żyje, dopóki nie przeczytałam wieczornej gazety.

— W niektórych stanach wykręciłby się tym — rzekł Buckman.

— Ale nie tu — dodała niepotrzebnie kobieta. Ze zrozumieniem.

Wyłoniwszy się ze swojego gabinetu, Herb Maime ocenił sytuację i oświadczył:

— Ja go aresztuję i wysłucham ich zeznań, panie Buckman. Niech pan idzie do domu, jak uzgodniliśmy.

— Dziękuję — rzekł Buckman. — Gdzie mój płaszcz? — spytał, rozglądając się wokół. — Boże, jak zimno — powiedział. — Na noc wyłączają ogrzewanie — wyjaśnił Tavernerowi i Heather Hart. — Przykro mi.

— Dobranoc — odezwał się Herb.

Buckman wszedł do szybu i wcisnął guzik zamykający drzwi. Nadal nie miał swojego płaszcza. Może powinienem wziąć służbowy wóz, powiedział do siebie. Jakiś gorliwy kadet odwiózłby mnie do domu albo — jak proponował Herb — do jakiegoś motelu lub jednego z nowoczesnych hoteli w pobliżu lotniska. Ale wtedy mój śmigacz zostałby tutaj i nie miałbym czym jutro przylecieć do pracy.

Skrzywił się, gdy wyszedł w chłód nocy na dachu budynku.

Nawet darwon mi nie pomoże, pomyślał. Wciąż to czuję.

Otworzył drzwi swojego śmigacza, wsiadł i zatrzasnął je za sobą. Zimniej w środku niż na zewnątrz, myślał, Jezu. Uruchomił silnik i włączył ogrzewanie. Z nawiewników w podłodze dmuchnęło mroźnym powietrzem. Zaczął dygotać. Poczuję się lepiej, kiedy będę w domu. Spojrzawszy na zegarek, zobaczył, że jest druga trzydzieści. Nic dziwnego, że jest tak zimno, pomyślał.

Dlaczego wybrałem Tavernera? — zadawał sobie pytanie. Z sześciu miliardów mieszkańców planety… akurat takiego, który nigdy nikogo nie skrzywdził, nigdy niczego nie zrobił, tylko pozwolił na to, aby jego akta zwróciły uwagę policji. Na tym to polega, uświadomił sobie. Jason Taverner zwrócił na siebie naszą uwagę, a — jak powiadają — jeśli raz zwrócisz uwagę władz, nigdy o tobie nie zapomną.

Przecież mogę z niego zrezygnować, jak powiedział Herb.

Nie. Niestety, nie. Role były rozdzielone od dawna, zanim ktokolwiek z nas wszedł na scenę. Taverner, pomyślał, byłeś zgubiony od początku. Od twego pierwszego kroku w górę drabiny.

Gramy swoje role, rozmyślał Buckman. Zajmujemy pozycje, jedni skromne, inni ważne. Jedni zwyczajne, drudzy dziwne. Niektórzy niezwykłe i niesamowite. Jedni eksponowane, drudzy ledwie widoczne lub nic nie znaczące. Rola Jasona Tavernera w fnale była duża i znacząca, tak że decyzję należało podjąć w fnale. Gdyby został tym, kim był na początku: człowieczkiem bez dokumentów, mieszkającym w nędznym podupadłym hoteliku w slumsach… gdyby pozostał tam, skąd mógł uciec… a w najgorszym razie skończyć w obozie pracy. Taverner nie skorzystał jednak z tych możliwości.

Z jakichś irracjonalnych powodów musiał się pojawić, być widziany, znany. W porządku, Jasonie Taverner, pomyślał Buckman, znów jesteś sławny tak jak kiedyś, ale sławny w zupełnie inny sposób; w sposób służący wyższym celom — celom, o których nic nie wiesz, ale które musisz zaakceptować, nie rozumiejąc. Schodząc do grobu, będziesz nadal rozdziawiał usta, pytając: „Co ja zrobiłem?” I tak zostaniesz pochowany: z rozdziawionymi ustami.

Nigdy nie będę mógł ci tego wyjaśnić, myślał Buckman. Powiem tylko: Nie zwracaj na siebie uwagi władzy. Nigdy nie stawaj się obiektem naszego zainteresowania. Nie pozwól, abyśmy zechcieli dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

Może pewnego dnia twoja historia, rytuał i sposób upadku zostaną podane do publicznej wiadomości — w dalekiej przyszłości, kiedy to nie będzie miało już żadnego znaczenia; kiedy nie będzie już obozów pracy i kampusów otoczonych pierścieniami policji uzbrojonej w szybkostrzelne karabiny maszynowe, noszącej maski gazowe nadające im wygląd odrażających, podłych zwierząt, korzeniojadów o

wielkich gębach i olbrzymich oczach. Pewnego dnia zostanie przeprowadzone dochodzenie pośmiertne i okaże się, że w rzeczywistości nie popełniłeś żadnej zbrodni, nie zrobiłeś nic, zwróciłeś jedynie na siebie uwagę.

Rzecz w tym, iż mimo twej sławy i ogromnej publiczności, można cię spisać na straty, myślał Buckman. A mnie nie. Na tym polega różnica między nami. Tak więc ty musisz odejść, a ja zostanę.

Jego śmigacz płynął po niebie, wśród nocnych gwiazd. Cicho śpiewał, wytężając wzrok, usiłując wypatrzyć czas, świat swojego domu, muzyki, troski i miłości, książek, ozdobnych tabakierek i rzadkich znaczków. Chciał wyciszyć na chwilę wicher ryczący wokół, gdy leciał jak drobina ginąca niemal w mroku nocy.

Oto piękno, które nigdy nie zginie, powiedział sobie; ja je ocalę — ja jestem tym, który je ceni. I przetrwa. W ostatecznym rozrachunku tylko to się liczy.

Bezdźwięcznie podśpiewywał pod nosem. W końcu poczuł nieco ciepła, gdy ogrzewanie standardowego policyjnego pojazdu wreszcie zaczęło działać.

Coś spadło z jego brody na materiał marynarki. Mój Boże, pomyślał ze zgrozą, znów płaczę. Uniósł rękę i otarł oczy ze słonej wilgoci. Po kim? — zadawał sobie pytanie. Po Alys? Po Tavernerze? Po Hart? Czy po nich wszystkich?

Nie, pomyślał. To odruch. Skutek zmęczenia i niepokoju. To niczego nie oznacza. Dlaczego mężczyzna płacze? — zastanawiał się. Nie tak jak kobieta, nie z takich powodów, nie z sentymentalizmu. Mężczyzna opłakuje utratę czegoś, czegoś żywego. Mężczyzna może płakać nad chorym zwierzęciem, o którym wie, że nie przeżyje. Śmierć dziecka: to mężczyzna może oblać łzami, ale nie płacze dlatego, że świat jest smutny.

Mężczyzna, rozmyślał, nie opłakuje przyszłości czy przeszłości, tylko teraźniejszość. A czym jest teraźniejszość w tej chwili? Tam, w budynku Akademii Policyjnej, aresztowali Jasona Tavernera, który opowiada im swoją historię. Tak jak każdy, musi złożyć ofarę, wyjaśnienia dowodzące jego niewinności. Jason Taverner, podczas gdy ja lecę tą maszyną, robi to właśnie w tej chwili.

Obróciwszy kierownicę, położył śmigacz w długi skręt, który w końcu przeszedł w immelmanna; zmienił kierunek lotu śmigacza, nie zwiększając ani nie tracąc prędkości. Po prostu leciał w przeciwnym kierunku, z powrotem ku Akademii.

Wciąż płakał. Z każdą chwilą łzy płynęły szerszym i obftszym strumieniem. Zmierzam w złym kierunku, pomyślał. Herb ma rację: muszę się stąd wynieść. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to stać się świadkiem czegoś, nad czym już nie jestem w stanie zapanować. Jestem malowany jak fresk. Istnieję tylko w dwóch wymiarach. Ja i

Jason Taverner jesteśmy postaciami ze starego dziecinnego rysunku, pokrytego kurzem.

Nacisnął nogą pedał akceleratora i pociągnął kierownicę pojazdu; silnik zakrztusił się, prychając i strzelając. Jeszcze nie włączył się automatyczny dławik, pomyślał Buckman. Powinienem go rozruszać. Jest wciąż zimny. Ponownie zmienił kierunek lotu.

Obolały i znużony, w końcu wrzucił w szczelinę wieżyczki kontrolnej śmigacza kartę z trasą lotu do domu i włączył automatycznego pilota. Muszę odpocząć, powiedział sobie. Sięgnął ręką i uruchomił obwód snu nad głową; mechanizm zamruczał, Buckman zamknął oczy.

Sztucznie wywołany sen przyszedł — jak zawsze — natychmiast. Czuł, jak zapada weń spiralnym ruchem, i ucieszył się. Niemal od razu zaczął śnić. Chociaż nie pragnął tego nie kontrolowanego przez aparaturę marzenia sennego, nie mógł go przerwać. Z całą pewnością nie chciał żadnego snu. Jednak nie mógł go przerwać.

Letni wiejski krajobraz, brązowy i suchy, okolicy, gdzie mieszkał jako dziecko. Jechał konno, od lewej strony powoli zbliżało się do niego stado koni. Na koniach jechali ludzie w jaskrawych szatach, każda była w innym kolorze. Wszyscy nosili spiczaste hełmy, błyszczące w słońcu. Posępni rycerze powoli przejechali obok; kiedy go mijali, dostrzegł twarz jednego z nich: marmurowe oblicze bardzo starego człowieka z falującą białą brodą. Jaki wydatny nos miał ten mężczyzna. Jakie szlachetne rysy. Taki zmęczony, taki poważny, taki inny niż zwykli ludzie. Widocznie był królem.

Felix Buckman pozwolił im przejechać; nie odezwał się do nich, oni też do niego nic nie powiedzieli. Wszyscy razem jechali w kierunku domu, z którego wyjechał. W tym domu bez okien zamknął się jakiś człowiek, sam jeden, Jason Taverner, w ciszy i ciemności, samotny na wieki. Siedział, po prostu istniał, w bezruchu. Felix Buckman jechał dalej po okolicy. Potem usłyszał za sobą przeraźliwy krzyk. Zabili Tavernera; widząc, jak wchodzą, wyczuwając ich w mroku, wiedząc, co zamierzają z nim zrobić, Taverner krzyknął.

Felixa Buckmana ogarnęło głębokie, dojmujące poczucie winy. We śnie nie mógł jednak wrócić ani obejrzeć się. Niczego nie można było zrobić. Nikt nie mógł zatrzymać oddziału w różnobarwnych szatach; nie można było im się sprzeciwić. Zresztą, było już po wszystkim. Taverner nie żył.

Przez maleńkie elektrody jego ociężały, rozkojarzony umysł zdołał wysłać sygnał do obwodu snu. Cicho trzasnął wyłącznik, przeciągły, niepokojący dźwięk przerwał Buckmanowi drzemkę i niepokojący sen.

Boże, pomyślał i zadrżał. Jak zimno. Jakże czuł się pusty i samotny.

Ogromny, przejmujący żal, jaki pozostawił sen, wciąż ściskał mu serce, wciąż niepokoił. Muszę wylądować, powiedział sobie. Zobaczyć kogoś. Porozmawiać z kimś. Nie mogę być sam. Jeśli choć przez sekundę…

Wyłączywszy automatycznego pilota, skierował śmigacz ku widocznemu w dole prostokątowi fuoryzującego światła: stacja paliw czynna całą dobę.

W chwilę później z lekkim podskokiem wylądował przed dystrybutorami i stanął obok innego zaparkowanego pojazdu; był pusty, nikogo nie było w środku.

Blask neonu oświetlił postać czarnego mężczyzny w średnim wieku, w płaszczu, w ładnym kolorowym krawacie; miał arystokratyczną twarz o wyrazistych rysach. Przechadzał się po poplamionym smarami cemencie, z rękami założonymi na piersi i nieobecnym wyrazem twarzy. Najwyraźniej czekał, aż roboty na stacji skończą tankować jego śmigacz. Nie był ani niespokojny, ani zrezygnowany; po prostu istniał, w samotności, izolacji i splendorze, silny, dumnie wyprostowany, nie widzący niczego, ponieważ nie miał ochoty niczego widzieć.

Zaparkowawszy maszynę, Felix Buckman wyłączył silnik, uruchomił mechanizm zamka i drzwi i niezgrabnie wyszedł w chłodną noc. Ruszył ku czarnemu mężczyźnie.

Mężczyzna nawet na niego nie spojrzał. Trzymał się z daleka. Przechadzał się spokojnie i dostojnie. Nic nie mówił.

Drżącymi z zimna palcami Felix Buckman sięgnął do kieszeni marynarki; znalazł długopis, wyjął go; szukał w kieszeniach jakiegoś kawałka papieru, choćby skrawka, może kartki z notesu. Znalazł kartkę i położył ją na masce pojazdu czarnego mężczyzny. W białym, jaskrawym świetle stacji obsługi Buckman narysował na papierze serce przebite strzałą. Dygocząc z zimna, podszedł do przechadzającego się mężczyzny i podał mu rysunek.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, mruknął coś, wziął kartkę i zaczął ją oglądać. Buckman czekał. Czarny odwrócił kartkę, zobaczył, że na drugiej stronie nic nie ma, i znów przyjrzał się sercu przebitemu strzałą. Zmarszczył brwi, wzruszył ramionami, oddał kartkę Buckmanowi i odszedł; ponownie założył ręce na piersi i odwrócił się plecami do generała policji. Karteczka trzepocząc, odleciała w mrok.

Felix Buckman w milczeniu wrócił do śmigacza, otworzył drzwi i wcisnął się za kierownicę. Włączył silnik, zatrzasnął drzwi i poleciał w nocne niebo, aż czerwone lampki wznoszenia zamrugały doń ostrzegawczo. Później automatycznie się wyłączyły i Buckman pomknął ku linii horyzontu, nie myśląc o niczym.

Ponownie łzy popłynęły mu z oczu.

Nagle zakręcił kierownicą; śmigacz gwałtownie podskoczył, stanął dęba i długim łukiem spłynął w dół; po chwili znów toczył się w oślepiającym blasku do zaparkowanego pustego pojazdu, spacerującego czarnego mężczyzny i dystrybutorów. Buckman zahamował, wyłączył silnik i wysiadł.

Czarny człowiek patrzył na niego.

Buckman szedł w jego kierunku. Mężczyzna nie cofnął się; stał tam, gdzie był. Buckman doszedł do niego, wyciągnął ramiona, objął go i uścisnął. Mężczyzna sapnął ze zdziwienia i niechęci. Nie odezwali się ani słowem. Stali tak przez chwilę, aż Buckman puścił go, odwrócił się i niepewnym krokiem poszedł do swego śmigacza.

— Zaczekaj — odezwał się czarny mężczyzna. Buckman odwrócił się i spojrzał mu w oczy. Mężczyzna stał, drżąc; po krótkim wahaniu zapytał:

— Czy wie pan, jak dostać się stąd do Ventura? Przy korytarzu powietrznym trzydzieści?

Czekał. Buckman nie odpowiadał.

— To jakieś pięćdziesiąt mil stąd — dorzucił czarny. Buckman nadal się nie odzywał.

— Może ma pan mapę tej okolicy? — spytał mężczyzna.

— Nie — odparł Buckman. — Przykro mi.

— Zapytam na stacji — rzekł i łagodnie się uśmiechnął. — Było mi… miło pana poznać. Jak się pan nazywa?

Czekał chwilę.

— Powie mi pan?

— Nie mam nazwiska — powiedział Buckman. — Nie teraz. Naprawdę nie mógł się zdobyć, żeby o tym pomyśleć, nie o tej porze.

— Jest pan kimś ważnym? Urzędnikiem? A może z Izby Handlowej Los Angeles? Miałem z nimi do czynienia i uważam, że są w porządku.

— Nie — odparł Buckman. — Jestem jednostką. Tak jak pan.

— No cóż, ja mam nazwisko — powiedział czarny. Zręcznie sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął mały kartonik, który wręczył Buckmanowi. — Montgomery L. Hopkins to ja. Niech pan spojrzy na wizytówkę. Czy nie jest ładnie wydrukowana? Lubię takie wypukłe litery. Kosztowała pięćdziesiąt dolarów za tysiąc, po specjalnej cenie z okazji otwarcia działalności.

Litery na wizytówce były pięknie wytłaczane, wielkie i czarne.

— Produkuję tanie słuchawki analogowe z biosprzężeniem. W hurcie idą poniżej stu dolarów od sztuki.

— Proszę mnie odwiedzić — rzekł Buckman.

— Niech pan do mnie zadzwoni — powiedział mężczyzna. Powoli, stanowczo, trochę za głośno mówił: — Te miejsca, te stacje paliwowe na automaty wrzutowe, to w nocy kiepskie miejsca.

Możemy jeszcze kiedyś porozmawiać, w jakimś bardziej przyjaznym otoczeniu. Dobrze wiem i rozumiem, jak to jest, kiedy takie miejsca jak to działają człowiekowi na nerwy. Często tankuję w drodze z fabryki do domu, żeby nie zatrzymywać się późną nocą. Z różnych powodów mam wiele nocnych wezwań. Tak, widzę, że ma pan zgryza… no wie pan, że jest pan przygnębiony. To dlatego wręczył mi pan tę kartkę, której — obawiam się — nie zrozumiałem od razu, potem zapragnął pan, przez chwilę, jak dziecko objąć mnie ramionami — i zrobił pan to. Czasami w swoim życiu ja również czułem taki przypływ natchnienia, taki impuls. Mam teraz czterdzieści siedem lat. Rozumiem. Człowiek nie chce być sam w taką noc, szczególnie tak zimną jak dziś. Tak, całkowicie się z tym zgadzam; teraz nie wie pan, co powiedzieć, gdyż nieoczekiwanie zrobił pan coś pod wpływem irracjonalnego impulsu, nie myśląc o konsekwencjach. Wszystko w porządku, rozumiem to. Niech się pan tym nie przejmuje. Musi pan do mnie wpaść. Spodoba się panu mój dom. Jest bardzo spokojny. Pozna pan moją żonę i dzieci. Mamy troje.

— Tak zrobię — obiecał Buckman. — Zatrzymam pańską wizytówkę. — Wyjął portfel i włożył do niego kartonik. — Dziękuję.

— Widzę, że mój śmigacz już gotowy — rzekł czarny mężczyzna. — Oleju też miałem mało.

Zawahał się, zaczął odchodzić, ale zawrócił i wyciągnął rękę. Buckman potrząsnął nią szybko.

— Do widzenia — powiedział mężczyzna.

Buckman patrzył, jak odchodzi; czarnoskóry zapłacił, wsiadł do nieco sfatygowanego śmigacza, wystartował i poleciał w ciemność. Przelatując nad Buckmanem, oderwał rękę od steru i pomachał.

Dobrej nocy, pomyślał Buckman, w milczeniu machając do niego zesztywniałymi z zimna palcami. Wsiadł do śmigacza i znieruchomiał, odrętwiały; odczekał chwilę; kiedy niczego nie dostrzegł, gwałtownie zatrzasnął drzwi i uruchomił silnik. Za moment osiągnął niebo.

Płyńcie, łzy moje, pomyślał. Pierwszy abstrakcyjny utwór muzyczny. John Dowland w Drugiej Księdze Lutni, w 1600 roku. Puszczę go na moim wielkim, nowym, kwadrofonicznym adapterze, kiedy wrócę do domu, gdzie przypomni mi Alys i wszystkich innych, gdzie będzie symfonia, kominek i wszędzie będzie ciepło.

Odbiorę mojego chłopca. Jutro z samego rana polecę na Florydę i zabiorę Barneya. Od tej pory będzie ze mną. My dwaj, zawsze razem. Bez względu na konsekwencje. Nie będzie żadnych konsekwencji, już po wszystkim. Bezpieczni. Na zawsze.

Jego śmigacz pełzł po nocnym niebie jak okaleczony, na pół rozłożony owad. Niósł go do domu.

CZĘŚĆ CZWARTA

Słuchajcie! Wy, cienie ukryte w ciemności,
Mieszkańcy mroku wiecznego.
Jakżeście szczęśliwi w piekielnej czeluści,
Gdzie nie sięga nędza świata tego.

EPILOG

Próba oskarżenia Jasona Tavernera o morderstwo pierwszego stopnia popełnione na osobie Alys Buckman nieoczekiwanie spełzła na niczym; sąd uniewinnił go, częściowo dzięki wspaniałej pomocy prawnej zapewnionej przez NBC i Billa Wolfera, a częściowo dzięki temu, że Taverner nie popełnił żadnego przestępstwa. Faktycznie, nie było żadnego przestępstwa i oskarżenie wysunięte przez koronera obróciło się przeciwko niemu, powodując przedwczesne przejście na emeryturę i ustąpienie miejsca młodszemu. Popularność Jasona Tavernera, która trochę spadła podczas procesu, wzrosła po uniewinnieniu, tak że teraz oglądało go nie trzydzieści, ale trzydzieści pięć milionów telewidzów.

Dom, który był własnością i miejscem zamieszkania Felixa Buckmana oraz jego siostry Alys, przez kilka lat pozostawał w swego rodzaju próżni prawnej. Alys zapisała swoją część lesbijskiej organizacji zwanej Synami Caribrona, mającej siedzibę w Lee Summit, Missouri, i pragnącej zrobić z niego przytułek dla swoich nielicznych świętych. W marcu 2003 roku Buckman sprzedał swoją część Synom Caribrona i za uzyskane pieniądze przeniósł się, zabierając swoje bogate zbiory, na Borneo, gdzie życie było tanie, a policja przyjaźnie usposobiona.

Eksperymenty ze środkiem KR-3, dającym dostęp do światów równoległych, zostały zaniechane pod koniec 1992 roku z uwagi na jego toksyczność. Jednakże policja przez kilka lat w tajemnicy testowała go na pensjonariuszach obozów pracy. Ostatecznie, z powodu ryzyka związanego z takimi próbami, dyrektor polecił zakończyć badania.

Kathy Nelson rok później dowiedziała się i przyjęła do wiadomości, że jej mąż Jack od dawna nie żyje, jak twierdził McNulty. Wywołało to u niej silny wstrząs psychiczny, tak że znów musiano ją hospitalizować, tym razem na dobre i w o wiele mniej eleganckim szpitalu psychiatrycznym niż Morningside.

Po raz pięćdziesiąty pierwszy i ostatni Ruth Rae wyszła za mąż, tym razem za starszego, bogatego, brzuchatego importera broni, działającego na przedmieściach New Jersey na pograniczu prawa. Na wiosnę 1994 roku zmarła w wyniku przedawkowania alkoholu i nowego środka uspokajającego — frenozyny, działającego na ośrodkowy system nerwowy, jak również na nerw błędny. W chwili śmierci ważyła około czterdziestu kilogramów, co było skutkiem poważnych i chronicznych problemów psychologicznych. Nigdy nie udało się wyjaśnić, czy śmierć nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku czy samobójstwa; w końcu lek był stosunkowo nowy. Jej

mąż, Jake Mongo, był w tym czasie mocno zadłużony, przeżył ją zaledwie o rok. Jason Taverner był na pogrzebie Ruth i w czasie stypy poznał jej przyjaciółkę, Fay Krankheit, z którą pozostawał w bliskim związku przez dwa lata. Od niej Jason dowiedział się, że Ruth systematycznie włączała się do seks-sieci telefonicznej; wiedząc o tym, lepiej rozumiał dlaczego stała się taką, jaką była, kiedy spotkał ją w Vegas.

Heather Hart, cyniczna i podstarzała, stopniowo porzuciła karierę piosenkarską i zniknęła ze sceny. Po kilku próbach odnalezienia jej Jason Taverner zrezygnował i uznał to za jeden z największych sukcesów w swoim życiu, mimo okropnego zakończenia.

Słyszał również, że Mary Anne Dominie zdobyła główną nagrodę na międzynarodowym konkursie ceramiki kuchennej, ale nigdy nie próbował jej odnaleźć. Tymczasem Monica Buf pojawiła się w jego życiu pod koniec 1998 roku, jak zawsze zaniedbana, ale mimo to atrakcyjna na swój niechlujny sposób. Jason umówił się z nią kilkakrotnie, a potem rzucił. Przez parę miesięcy pisała do niego dziwne, długie listy z tajemniczymi symbolami nakreślonymi między wierszami, ale w końcu przestała, za co był wdzięczny losowi.

W podziemiach zrujnowanych uniwersytetów studenckie zbiorowiska stopniowo porzucały daremne próby życia na swój sposób i przeważnie dobrowolnie udawały się do obozów pracy. W ten sposób powoli znikały ostatnie ślady Drugiej Wojny Domowej i w 2004 roku odbudowano Columbia University jako wzorcową uczelnię, w której spokojnym, zdrowym moralnie studentom pozwolono uczęszczać na zaaprobowane przez cenzurę zajęcia.

U schyłku życia emerytowany generał policji Felix Buckman, mieszkający na Borneo, napisał autobiografę ujawniającą kulisy działalności planetarnego aparatu policyjnego; wkrótce jego książka rozeszła się w drugim obiegu we wszystkich większych miastach Ziemi. Na skutek tego latem 2017 roku generał Buckman został zastrzelony — zabójcy nie zidentyfkowano i nigdy nikogo nie aresztowano. Jego książka, *Mentalność prawa i porządku,* była nielegalnie rozprowadzana jeszcze przez kilka lat po śmierci generała, ale w końcu i o niej zapomniano. Liczba obozów pracy malała, w końcu przestały istnieć. Aparat policyjny z biegiem lat stawał się zbyt nieudolny, aby komukolwiek zagrozić; w 2136 roku zlikwidowano stopień marszałka policji.

Niektóre z pornografcznych kreskówek zebranych przez Alys Buckman znalazły się w muzeach pokazujących eksponaty dawnych kultur; w końcu Alys została ofcjalnie uznana przez „Librarian's Journal Quarterly" za autorytet w dziedzinie sztuki sadomasochistycznej dwudziestego wieku. Jednodolarowy czarny znaczek pocztowy Trans-Mississippi, który podarował jej Felix Buckman, został

zakupiony w 1999 roku na aukcji przez dealera z Warszawy. Zniknął w mglistym światku flatelistów, by nigdy więcej nie wypłynąć.

Barney Buckman, syn Felixa i Alys Buckman, po latach burzliwej młodości wstąpił do nowojorskiej policji i w drugim roku patrolowania ulic spadł z uszkodzonych schodów przeciwpożarowych, spiesząc na wezwanie do włamania w budynku zamieszkanym niegdyś przez bogatych Murzynów. Sparaliżowany od pasa w dół w wieku dwudziestu trzech lat, zainteresował się starymi reklamówkami telewizyjnymi i wkrótce zgromadził bogatą bibliotekę najstarszych i najbardziej poszukiwanych reklam, które sprytnie kupował, sprzedawał i wymieniał. Żył długo, słabo pamiętając ojca i wcale nie pamiętając Alys. Wolny i szczęśliwy Barney Buckman rzadko narzekał; szczególnie lubił oglądać stare reklamy Alka-Seltzer, które były jego specjalnością.

Ktoś z Akademii Policyjnej Los Angeles ukradł derringera kaliber dwadzieścia dwa, którego Felix Buckman trzymał w swoim biurku, i pistolet zniknął na zawsze. W tym czasie broń na ołowiane kule wyszła z użycia i nadawała się jedynie do muzeum, tak więc urzędnik zajmujący się inwentarzem Akademii, który powinien wyjaśnić los der-ringera, rozsądnie uznał, że pistolet stał się ozdobą mieszkania jakiegoś niższego urzędnika policyjnego, i na tym zakończył śledztwo.

W 2047 roku Jason Taverner, od dawna nie pracujący w przemyśle rozrywkowym, zmarł w ekskluzywnym domu starców na zwłóknienie ostre — chorobę, jakiej Ziemianie nabawiali się w marsjańskich koloniach utrzymywanych dla wątpliwej rozrywki bardzo bogatych ludzi. W skład majątku Tavernera wchodził pięciopokojowy dom w Des Moines, zapełniony głównie pamiątkami, oraz gruby pakiet akcji korporacji, która bezskutecznie próbowała sfnansować komercyjne połączenie promowe z Proximą Centauri. Jego śmierć przeszła niemal nie zauważona przez prasę, chociaż w większości stołecznych gazet pojawiły się małe nekrologi. Została zupełnie zignorowana przez reporterów telewizyjnych, ale nie przez Mary Anne Dominie, która nawet w wieku osiemdziesięciu lat wciąż uważała Jasona Tavernera za osobistość, a spotkanie z nim za kamień milowy w długim i pełnym sukcesów życiu.

Niebieska waza wykonana przez Mary Anne Dominie i zakupiona przez Jasona Tavernera jako prezent dla Heather Hart znalazła się w prywatnej kolekcji nowoczesnej ceramiki. Pozostaje tam do dziś, niezwykle ceniona. Prawdę mówiąc, wiele osób znających się na ceramice otwarcie i szczerze ją podziwia. Wręcz uwielbia…